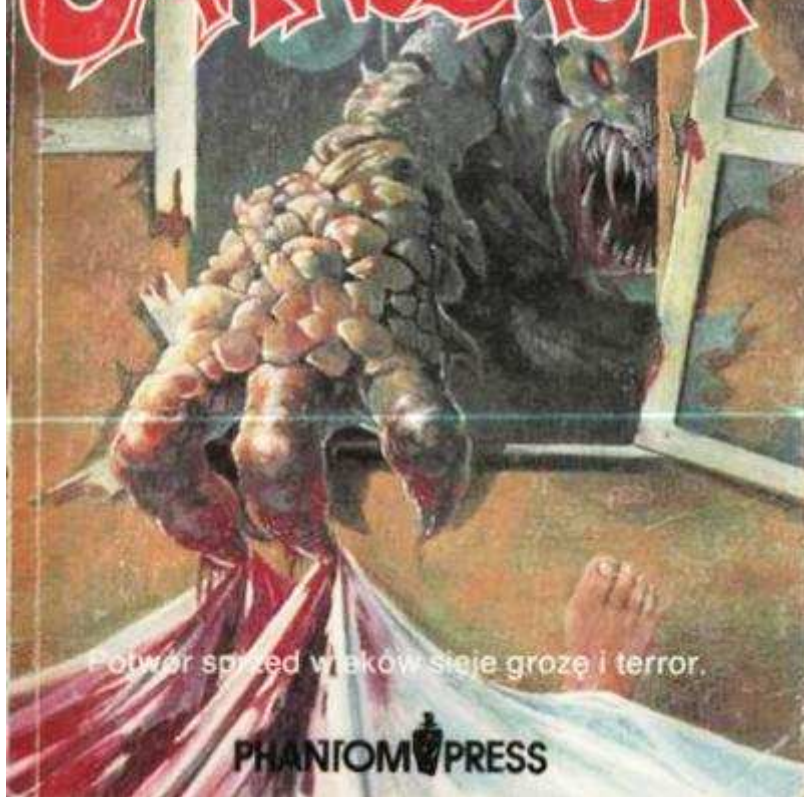


HORROR

HARRY ADAM KNIGHT

Autor książki "FUNGUS"

CARNOSAUR



Potwór sprzed wieków staje grozą i terror.

PHANTOM PRESS

HARRY ADAM KNIGHT

13000-zł

CARNOSAUR

Profesor Perward, właściciel nietypowego ZOO, prezentującego skamieniałe pozostałości zwierząt sprzed wieków, zastanawia się nad możliwością otrzymania autentycznego materiału komórkowego dinozaura.

Czy jest to możliwe?

Jaki będzie finał jego pracy?

Już niedługo ukaże się nowy horror
Guya N. Smitha:



MANIA

Opowieść o małym hoteliku, w którym ludzie żyją w diabolicznym świecie opętania i szaleństwa, potępione stwory snują się po korytarzach, a cuchnące ciała zalegają w piwnicach.

„Cała szóstka spoglądała teraz na niego z dachu kabiny. Wi-
dział po ich minach, że posądzali go albo o żart, albo o pomie-
szanie zmysłów.

Nagle Charlotte zapytała tonem niemal łagodnym:

- Tony, gdzie jest Melissa?

- Mówiłem już! - ryknął rozdrażniony. - Coś ją... Nie skoń-
czył, bowiem zobaczył, jak ich twarze zmieniają wyraz, a oczy
wprost rosą ze strachu. Zorientował się, że wcale nie patrzą na
niego lecz poza niego...

- Co...? - zaczął. Poczł mocne, pozbawiające tchu uderze-
nie. Nie rozumiał jeszcze, co się stało; nie docierało to do niego
nawet, gdy został uniesiony w górę, ściśnięty niczym w ogrom-
nym imadle.

Dopiero, czując zamykającą się nad nim zimną wodę, zaczął
powoli rozumieć co się stało. Co się dzieje. Nawet nie bolało. A
przynajmniej, nie od razu...”

HARRY ADAM KNIGHT

CARNOSAUR

Przełożyła Katarzyna Czaykowska-Stój

PHANTOM PRESS INTERNATIONAL GDAŃSK 1991

Tytuł oryginału: Carnosaur

Redaktor:

Piotr Borys

Opracowanie graficzne:

Piotr Dylis

Copyright ©1984 by Harry Adam Knight All rights reserved

©Copyright for the Polish edition by Phantom Press International Gdańsk 1991

Wydanie I

ISBN 83-852-76-51-3

Zakłady Graficzne Spółka z o.o.

64-920 Piła, ul. Okrzei 5 Zam. 457/91,

Rozdział I

Des, obudź się! Des Cartwright próbował zignorować żonę, szarpiącą go za ramię. Bardzo chciał powrócić do swojego cudownego snu. To, że został on tak brutalnie przerwany, wydawało mu się nie do zniesienia.

- Zostaw mnie - mruknął, wciąż na wpół śpiąc.
- Des! - krzyknęła znowu, potrząsając nim mocniej.
- Kurczęta! Coś je niepokoi.

- Zawsze je coś niepokoi - wymamrotał. Był już jednak na tyle rozbudzony, że sen opadł z niego, niczym jakieś piękne i kuszące wspomnienie. Nie mógł sobie wprawdzie przypomnieć, co mu się śniło, ale ostro odczuł stratę sennego marzenia.

Z uczuciem dziwnego smutku odwrócił, się na plecy, nasłuchując, czy Julie miała rację. Rzeczywiście - kurczęta szalały. Co mogło je tak wystraszyć - pomyślał. Lis? Może jeden z okolicznych psów? Ale jak jakiegokolwiek zwierzę mogło się dostać do środka? Parę dni temu sam sprawdzał ogrodzenie.

Westchnął i zapalił lampkę nocną. Budzik wskazywał dopiero 2.17. Rozdrażniony wstał i założył szlafrok. Julie zacisnąwszy powieki przed światłem, wsunęła się pod kołdrę. Ogarnęła go fala odrazy. - Gruba, leniwa krowa - pomyślał spojrzawszy na nią i natychmiast poczuł się winny. Przecież nie miała wpływu na to, że podczas swej paroletniej choroby mocno przytyła. - Wciąż ją kocham - powiedział sobie stanowczo. Wiedział, że to nieprawda. Nie czuł do niej nic, co by można nazwać miłością. I to od wielu lat, zanim jeszcze zachorowała.

Idąc do kuchni, usiłował odegnać od siebie te niechciane myśli. Kurczaki gdały szaleńczo. Robiły więcej hałasu, niż kiedykolwiek przedtem. Z jednej z szop doszedł go głośny trzask przewracanej klatki. To nie mogły być lisy. To musiał być któryś z okolicznych psów. I to duży. Może nawet więcej niż jeden.

Podszedł do szafki przy tylnych drzwiach i wyjął dwunastostrzałową śrutówkę. Załadował ją nabojami znalezionymi w szufladzie w kuchni i wyszedł na zewnątrz. Była ciepła sierpniowa noc i powietrze pachniało latem. Gdy zmierzał podwórzem ku budynkom, w których znajdowały się kurczęta, przyszedł mu na myśl wspomnienia letnich nocy z przeszłości. Niespodziewanie przypomniał mu się fragment snu. Był to obraz dziewczęcej twarzy. Wydawała mu się znajoma, ale nie mógł sobie przypomnieć, kim była. Czy był to ktoś ze szkolnych czasów? Dziewczyna, której kiedyś pragnął? Czy też to tylko wytwór wyobraźni? Wrażenie znajomości mogło być tylko złudzeniem. Sny bywają dziwne...

Hałas dochodził ze środkowej szopy. Otworzył drzwi i wszedł do środka. Długi wąski budynek mieścił ponad tysiąc ptaków i był teraz wypełniony ich jazgotem. Cartwright zatrzymał się przy drzwiach i spojrzał na przejście wzdłuż środkowego rzędu klatek. Światła - jak zwykle - były włączone, widział więc całe wnętrze budynku. Nie było jednak żadnego śladu napastnika. Trzymając broń w pogotowiu, rozejrzał się. Zauważył cały rząd przewróconych klatek. Były połamane, dookoła zaś bieleła mnóstwo piór. Zbliżył się, zaciekawiony co też mogło spowodować takie zniszczenie. Nie bał się. Był pewny, że śrutówka stanowi wystarczającą ochronę przed każdym psem, bez względu na jego wielkość. A sądząc po wyglądzie klatek, musiał być duży.

Usiłował sobie przypomnieć, kto w pobliżu miał dużego wilczura lub dobermana, ale na próżno.

Nagle uderzył go dziwny zapach. Zatrzymał się jak wryty nie wiedząc dlaczego, odczuł atawistyczny strach. Zapach nie przypominał woni jakiegokolwiek zwierzęcia, z którym się dotychczas spotkał. Przeszedł go dreszcz. Wiedział, że musi się stamtąd wydostać...

Odwrócił się i szybkim krokiem skierował ku drzwiom. Na plecach czuł nieprzyjemne mrowienie, nogi zeszywniały mu ze strachu, ale zwalczył w sobie chęć panicznej ucieczki. - Spokojnie - powiedział sobie - gdy się stąd wydostaniesz, będziesz bezpieczny...

To wyszło spoza rzędu klatek, odcinając mu drogę.

Cartwright zamarł. Nie wierzył własnym oczom.

To miało sześć stóp wysokości i barwę zakrzepłej krwi. Cartwrightowi, absurdalnie kojarzyło się z oskubanym strusiem, chociaż oczywiście nim nie było. Miało głowę gada. W na wpół otwartym pysku widniały rzędy zakrzywionych, ostrych zębów. Oczy, obserwujące go zimno spoza dwóch kostnych wypustek, były także gadzie. Przebiegłe, niemal inteligentne, przeraziły go bardziej niż cokolwiek innego. Bardziej niż drapieżne szpony...

Zauważył je natychmiast. Te na przednich kończynach wyglądały groźnie i było ich po trzy na każdej łapie. Ale pazury na nogach stworzenia sprawiały wrażenie, jakby zostały stworzone przez chory umysł obłąkanego demiurga. Środkowy pazur na każdej z trójpalczastych nóg był zakrzywiony ku górze, niczym siedmiocalowe ostrze kosy.

Człowiek i stworzenie stali w odległości kilku stóp, obserwując się nawzajem. Cartwright czuł, że jego serce bije coraz mocniej, a dłonie ściskając strzelbę stają się śliskie od potu. Gdy patrzył rozszerzonymi strachem oczami na znieruchomiałego potwora, przemknęło mu przez myśl, że to jego ostatnie chwile. Wiedział, że umrze.

Krótką chwilą, przez którą na siebie spoglądali była dla Cartwrighta wiecznością. Ogon stworzenia, dotychczas wolno zamiatający podłogę, nagle zeszywniał i uniół się, potwór stał teraz na tylnych łapach w prawie pionowej pozycji.

W momencie gdy mózg Cartwrighta zarejestrował tę zmianę stworzenie zaatakowało. Wydając ogłuszający skrzek, przebyło dzielącą ich przestrzeń zaledwie dwoma krokami mocnych stóp. Szpony przednich łap pochwyciły go za ramiona i uniosły w powietrze.

Równocześnie podobny do kosy, pazur rozdarł Cartwrighta od szyi do pachwin, nim ten zorientował się, co się z nim dzieje.

Po chwili leżał na plecach, spoglądając na lampy u sufitu. Było mu przeraźliwie zimno. W uszach dźwięczał mu odgłos wystrzału, ale nie miał pojęcia, czy trafił stworzenie. Może huk je przepłoszył. Nie wiedział, jak bardzo zranił go potwór lecz nie miał odwagi spojrzeć.

Nagle ukazała się głowa stwora, pochylającego się nad nim. Z bliska smród jego oddechu był niesamowity. Zęby zacisnęły się na szyi Cartwrighta, który przestał odczuwać cokolwiek.

Najpierw straszny ryk zwierzęcia, potem huk wystrzału. Julie usiadła na łóżku, przekonana, że coś jest nie w porządku. Co za zwierzę mogło wydać taki głos? Nagle poczuła się bardzo niespokojna o męża.

Wstała z łóżka i pospieszyła ku tylnym drzwiom. Zasapała się porządnie przebiegając przez dom. Odkąd przybrała na wadze, najmniejszy wysiłek pozbawiał ją oddechu.

Przebiegła przez podwórze ku środkowej szopie.

- „Des!” - krzyknęła - „Co się stało? Nic ci nie jest?” Sapiąc, chwiejnie przestąpiła próg i zamarła. Jej mózg odmówił przyjęcia tego, co ujrzała oczy.

Parę jardów dalej, w środkowym przejściu leżało ciało jej męża. Głęboka rana, biegnąca przez całą długość tułowia, odsłaniała wnętrzności...

A nad ciałem, z rozkraczonymi nogami, stało coś, co mogło istnieć tylko w koszmarnych snach. Podczas gdy stała spoglądając na potwora, ten zanurzył pysk w rozprutym brzuchu jej męża wgryzając się w jelita.

Zamknęła oczy i przeraźliwie krzyknęła.

Zaskoczone stworzenie spojrzało sponad ciała i ujrzało ją stojącą w pół drogi ku drzwiom. A czując się zagrożone, zaatakowało.

Julie Cartwright poczuła silne uderzenie. Ciężki cios odrzucił ją w tył i upadła. Otworzywszy oczy, ujrzała potwora przy wyjściu. Raz jeszcze usłyszała okropny skrzek, brzmiały milion razy głośniejszy od skrzeku papugi. A potem usłyszała oddalający się w głąb podwórza głuchy odgłos stąpania potężnych nóg.

Nie była w stanie się podnieść. W piersiach czuła potworny ból. Jakby stalowa dłoń ścisnęła jej serce coraz mocniej i mocniej...

Pat Housemann szybko doszła do przekonania, że seks został przereklamowany. Wprawdzie był to jej drugi dopiero stosunek, ale okazał się równie niezadowolający, jak za pierwszym razem. I doprawdy, nie była w stanie wyobrazić sobie, aby dalsza praktyka mogła wpłynąć na zmianę jej doznań. Jednego była pewna - było tam cholernie niewygodnie. Robili to w samochodzie ojca Jeremy'ego i mimo, iż był to Bentley, nie mieli dla siebie zbyt wiele miejsca. Lewą nogę trzymała na oparciu siedzenia kierowcy, prawa zaś sterczała przez otwarte tylne okno. Tę nogę miała już zdrętwiałą i dusiła się z gorąca pod spoconym cielskiem Jeremy'ego.

- Czy on nigdy nie skończy? - zastanawiała się. Miała wrażenie, że godzinami już obserwuje jego ogromny goły tyłek unoszący się i opadający rytmicznie... Było inaczej niż z Royem,

chłopakiem z sąsiedztwa. Ten był tak szybki, że zanim się zaczęło, już było po wszystkim. - Czy to jest to? - zapytała wtedy, czym go strasznie zdenerwowała.

Teraz zaczynało to być nieco bolesne...

Żałowała, że Jeremy nie zgodził się kochać na trawie, tak jak tego chciała. Noc była ciepła i byłoby im wygodniej. No i przynajmniej mogliby zdjąć ubrania. A tak, sukienkę miała zadartą pod samą brodę, on zaś był w koszuli i marynarce. Domyślała się, że bał się, aby ktoś ich nie ujrzał. Było to głupotą, bowiem samochód zaparkowali w lesie, daleko od drogi. Przypuszczała, że nerwowość Jeremy'ego wynikała z lęku przed prokuratorem. Niemalże zjechał na pobocze, gdy mu powiedziała, że ma dopiero 15 lat. Wiedziała, że wygląda na więcej.

Ale za to jutro będzie miała co opowiadać Josie i Sarah - w aptecce, gdzie wszystkie trzy pracują. Tamte pewnie już od dawna były w domach. Wyszły z potańcówki o północy, chcąc zdążyć na ostatni autobus. Nie zabrała się z nimi, gdyż Jeremy obiecał odwiedzić ją swoim samochodem. A raczej samochodem ojca. Wiedziała, o co mu chodzi, było to oczywiste. Ona zaś z radością poddała się jego oczekiwaniom. Nie dlatego, żeby uważała go za atrakcyjnego. Miał okrągłą, czerwoną twarz, niemal zawsze błyszczącą od potu i pełną pryszczy. Ciało miał muskularne, kłocowate, krótko mówiąc, niezbyt jej się podobał. Woląла chłopców szczupłych i ciemnowłosych. Jeremy miał włosy zaniedbane i rzędzące mimo swoich 21 lat.

Uczciwie mówiąc, jedynym powodem, dla którego zgodziła się z nim kochać, był Bentley. Nigdy przedtem nie zdarzyło jej się siedzieć w tak luksusowym samochodzie. Poza tym istotny był jeszcze fakt, że ojciec Jeremy'ego był członkiem parlamentu i że był bogaty. Schlebiało jej, że miała do czynienia z kimś z wyższych sfer.

Fascynacja jednak szybko minęła. Obserwując jego tyłek podskakujący już chyba z tysięczny raz, obliczając, że niemalże tyle samo miał na twarzy pryszczy, zastanawiała się, jak doprowadzić sprawę do szybkiego zakończenia. Może powinna pojęcie nieco głośniej...

I właśnie wtedy zauważyła, że coś przemknęło za oknem. Ujrzała to tylko przelotnie, niby cień i pomyślała, że to wytwór wyobraźni. Może gałąź poruszona wiatrem.

Jeremy z twarzą wtuloną w jej obojczyk, kontynuował rytmiczne ruchy ciała.

Coś dotknęło jej nogi wystającej przez okno. Coś ciepłego i suchego. Coś żywego.

Krzyknęła szarpnąwszy się, chowając nogę do samochodu. - Co... - Co się stało? - Co zrobiłem? - zapytał Jeremy zaskoczony.

- Ktoś jest na zewnątrz! - krzyknęła. Dotknął mojej stopy. - Tak? - Jesteś pewna? - wycofał się z niej i począł się wiercić na siedzeniu. Jeżeli ktoś tam jest, skręć mu kark.

Usiłując naciągnąć spodnie jedną ręką, pochylił się do okna, wbijając jej przy tym boleśnie kolano w brzuch.

Usłyszała, jak zachłysnął się z wrażenia - Jezu Chryste - i ku swojemu osłupieniu ujrzała łapę zakończoną długimi szponami wsuwającą się przez okno. Szpony wbiły się w gardło Jeremy'ego i łapa wolno się wycofała - zabierając go ze sobą. Chłopak szarpał się szaleńczo, ale nie mógł się uwolnić.

Krzyżując, Pat usiłowała usiąść, ale jedna z wierzgających nóg Jeremy'ego wyrznęła ją w brodę. Dziewczyna opadła na siedzenie.

- O Jezu, pomocy! - usłyszała jeszcze jęk i kopiące nogi zniknęły z samochodu.

Spróbowała się unieść i tym razem jej się to udało. Lękliwie zerknęła przez okno. Jeremy, wciąż wyrywając się ciągnięty był

po ziemi przez ogromnego jaszczura stąpającego na tylnych nogach niczym człowiek. Potwór, zaciskając szczęki na ciele chłopaka, energicznie szarpał jego ciałem. Nagle rozległ się wyraźny chrzęst kości i Jeremy przestał wierzgać nogami...

Pat obserwowała, jak znika on w krzakach. Nagle odzyskała zdolność ruchu. Mamrocząc pod nosem na wpół zapomniane modlitwy, pozamykała wszystkie okna i wgramoliła się za kierownicę. Nigdy jeszcze nie prowadziła samochodu, ale mniej więcej wiedziała jak to się robi.

Całą wieczność trwało uruchamianie silnika. Zerkając nerwowo w stronę krzaków, w których zniknął Jeremy, docisnęła stopą pedał, jak jej się wydawało - gazu. Samochód szarpnął do przodu, szybko nabierając niespodziewanie dużej prędkości. Pat wpadła w panikę.

Siedziała wciąż za kierownicą majestatycznego Bentleya, bez jakiegokolwiek reakcji, gdy całym impetem uderzył on w okazały dąb. Ciało dziewczyny wypadło przez przednią szybę i znieruchomiało na strzaskanej masce samochodu.

Rozdział II

David Pascal zajechał do Warchester, małego miasteczka w Cambridgeshire i zaparkował samochód przed budynkiem lokalnej gazety. Wszedł do środka i rozejrzał się po dużym, przestronnym biurze. Prócz pani Fleming - sekretarki redaktora naczelnego, nie było nikogo więcej. Przywitawszy się, podszedł, zgodnie ze swym codziennym rytuałem, do ekspresu do kawy.

Następnie, z filiżanką w rękę, zbliżył się do teleksu i przejrzał wiadomości, jakie nadeszły w nocy. Te ciekawsze zabrał ze sobą, by je dokładniej przeczytać przy kawie. Była prawie 8.00, gdy skończył. Następnym punktem jego rytuału było zabranie od pani Fleming londyńskich gazet i ich lektura.

Kulminacyjny punkt dnia, pomyślał Pascal. Czuł się zmęczony, znudzony i przygnębiony. Tego ranka obudził się z uczuciem dziwnego podniecenia, jakby w oczekiwaniu jakiegoś emocjonującego wydarzenia. Przeczucie to opuściło go, gdy wyjechał na peryferie miasta, przytłoczony nagle znajomą monotonią. Nigdy nic emocjonującego nie działo się w Warchester. W ogóle nic się tam nigdy nie działo.

No, może nie tak zupełnie nic. Historie godne odnotowania zdarzały się jednak czasami. Były to skandale erotyczne, małomiasteczkowe afery korupcyjne - ale nigdy nie pozwolono by Pascalowi napisać o tym w „Warchester Times”. Szef i redaktor naczelny - ultrakonserwatysta Digby Brownlowe, traktował gazetę jako cukierkowaty dodatek dla społeczności biznesmenów. Była ona raczej lokalnym dziennikiem Izby Handlowej. Nic nie

miało prawa zmącić oficjalnie prezentowanego obrazu miasta w gazecie. Miasta, będącego kwitnącą utopią, zamieszkałą przez wielbiących prawo bezpłciowców.

Pascal rozpaczliwie pragnął wynieść się z Warchester. Jego ambicją było zaczepić się w jednej z gazet przy Fleet Street, ale jak dotąd, jego starania nie przynosiły efektów. Teraz, mając 26 lat, czuł, że życie toczy się gdzieś poza nim, a on utknął w miernej lokalnej gazecie na zawsze.

Obawiał się, że skończy jak Johnny MacGibbon prowadzący rubrykę sportową „Warchester Timesa”. Pascal lubił MacGibbona, miał on bowiem cięty dowcip i był doskonałym kompanem, tak w pracy, jak i przy kieliszku. Wiedział jednak, że ten 53-letni dziennikarz uważał się za życiowego pechowca. Fasadowa krzepa kryła zgnębiętego człowieka, będącego na najlepszej drodze do alkoholizmu. Myśl, że MacGibbon - to on za 27 lat, przerażała Pascala. Wiedział jednak, że jeżeli nie wydobędzie się z Warchester, niechybnie spotka go taki los.

Przebrnął już przez połowę gazet, gdy do biura weszła Jenny Stamper. Była wysoka i szczupła, o oryginalnej urodzie, miała 23 lata. Nie była ładna w tradycyjnym znaczeniu; nos był trochę za szeroki, a jeden z przednich zębów rósł nieco krzywo. Ale kombinacji dużych i zielonych oczu, pełnych zmysłowych ust, nieskazitelnie gładkiej skóry i burzy czarnych, sięgających ramion loków nie można było się oprzeć.

Stosunek Pascala do niej był niejasny: to stwierdzał, że jest w niej zakochany, to znów zupełnie odrzucał to uczucie. Pojawiała się w „Timesie” niecały rok temu, rzekomo jako jego asystentka w kolumnie lokalnej, mimo że dla niego samego było niewiele roboty. Dla wszystkich jednak było jasne, że powodem dla którego dostała tę pracę, była przyjaźń jej ojca z Brownlowem. Kiedy mimo ukończenia Cambridge z doskonałymi wynikami, nie

dostała pracy w telewizji Brownlowe zaoferował jej posadę. Miało to być rozwiązanie tymczasowe, ale jedenaście miesięcy wciąż jeszcze była w „Timesie”. Porzuciła marzenia o telewizji; praca w gazecie dała jej przedsmak dziennikarstwa. Teraz miała tę samą ambicję, co Pascal: by dostać pracę w jednym z cieszących się wysoką renomą pism przy Fleet Street.

Ku swojej irytacji, Pascal zdawał sobie sprawę, że jej szanse na zrealizowanie marzeń były o wiele większe niż jego. Prócz przewagi uniwersyteckiego wykształcenia miała większy talent. Pisała lepiej niż on, co przyznawał z bólem w sercu. Prawdopodobnie była także lepszą dziennikarką - miała intuicyjną umiejętność otwierania ludzkich serc. W gazecie takiej jak „Times”, gdzie niepotrzebne było prawdziwe dziennikarstwo, trudno było to jednak ocenić.

Niemniej był przeświadczony, że Jenny wkrótce odbije na Fleet Street, zaś on będzie gnął w „Timesie”. Toteż przedwcześnie, częściowo z zazdrości zakończył ich romans, częściowo zaś dlatego, że zdawał sobie sprawę iż jej utrata byłaby cięższa do zniesienia, gdyby pozostali kochankami. Był pewien, że utraciłby ją, bo gdyby nadszedł wreszcie angaż z Fleet Street, Jenny nie wahałaby się bez względu na to, jak bardzo byliby ze sobą związani. Był o tym przekonany. Sam postąpiłby tak samo.

Sześć tygodni temu spokojnie oznajmił jej, że uważa ich związek za pomyłkę. Zdenerwowało ją to niepomierne i zażądała wyjaśnień. Odmówił jednak i od tego czasu traktował ją z wystudiowanym chłodem. Przez pierwszy tydzień próbowała przebić tę niewidzialną ścianę, jaką się od niej oddzielił. Poddawała się jednak w końcu i rewanżowała mu się podobnym traktowaniem. Od tego czasu ich wzajemne stosunki oscylowały między wysiloną uprzejmością, a dziecinną wrogością.

Bardzo szybko zaczął żałować zakończenia tego romansu. Dwa miesiące intymności były naprawdę wspaiałe, musiał to

przyznać, i bardzo mu ich brakowało. Szczególnie w takie poranki, jak ten, gdy Jenny wyglądała wyjątkowo ślicznie. Miała na sobie drelichowe spodnie, męską biało-niebieską koszulę w paski, marynarkę i promieniowała powabem. Samo patrzenie na nią pobudzało krążenie krwi i Pascal znowu zwątpił, czy odrzucenie jej było rozsądnym manewrem. Patrząc z perspektywy czasu, coraz częściej chwytał się na tym, że żałuje swego posunięcia.

Niespodziewanie wypłynęło z jego pamięci wspomnienie ostatniego razu, kiedy się kochali. Robili to na dywanie biura Brownlowe'a - jak zresztą wiele razy przedtem. Było to chyba jedyne miejsce w mieście, gdzie mogli być sami. Jenny mieszkała z rodzicami, on - ze swoją matką.

- Cześć David - powiedziała pogodnie, siadając przy swoim biurku naprzeciw niego. - Jak się masz?

- Świetnie - odparł, czując nagłą suchość w ustach. Przypomniało mu się jej nagie ciało w spazmach rozkoszy, wtedy, na dywanie. Plecy wygięte w łuk, skóra błyszcząca od potu... Cudowne ciało... Najdoskonalsze, jakie zdarzyło mu się widzieć. Ciało stworzone do zaspokajania jego erotycznych potrzeb. Za każdym razem, gdy ją rozbierał, doznawał silnego podniecenia, które ani o jotę nie malało podczas zbliżeń. Ze smutkiem zdał sobie sprawę, że Jenny Stamper jest bliższa jego seksualnemu ideałowi, niż ktokolwiek inny będzie kiedykolwiek.

- Nie wyglądasz dobrze - zauważyła, zdejmując marynarkę i wieszając ją na oparciu krzesła. - Mrukiwy jak zwykle. Co się stało?

Starał się nie patrzeć na jej pełne, kształtne piersi rysujące się wyraźnie pod cienkim płótnem koszuli.

- Czuję się świetnie - warknął.

- Brzmi to stanowczo. - Powinieneś zmienić dietę. - Zdecydowanie coś jest nie tak z twoim porannym poziomem cukru we krwi.

Wstał.

- Jeżeli Brownlowe będzie mnie potrzebował, będę w komisariacie - powiedział oschle, ruszając w stronę drzwi.

- Jak zwykle. - Spędzasz tam więcej czasu niż tutaj. - Powinieneś być raczej policjantem niż dziennikarzem.

- Może jeszcze wstąpię - odparł, wychodząc z biura.

Komisariat mieścił się trzy budynki dalej przy głównej ulicy i zwyczajem Pascala, częścią jego porannego rytuału, było wpadać tam, by dowiedzieć się, co słychać w okolicy. Zazwyczaj nie działo się nic.

Gdy wszedł do pokoju służbowego, zobaczył trzech dobrze sobie znanych policjantów. Jeden z nich - posterunkowy Keith Driscoll - był jego chyba najstarszym kumplem, chodził z nim do szkoły. Z dwoma pozostałymi regularnie pił podczas weekendów.

- Uwaga! - powiedział Driscoll, ujrawszy Pascala - chować tajne akta. - Oto znów nasz węższy reporter.

Pascal zmusił się do śmiechu. Znowu stare dowcipy. Cokolwiek robili, czy powiedzieli - było z góry wiadome, oklepane. Jak nakręcone roboty, trzymające się ustalonego scenariusza. Następne pytanie było także jego częścią...

- Co nowego?

Driscoll przechylił się wraz z krzesłem do tyłu i posłał mu szelmowskie spojrzenie.

- Co nowego? - Przecież wiesz, że tu się nic nigdy nie dzieje.

Pascal poczuł drobne szpileczki podniecenia. Driscoll drażnił się z nim. Coś się szykowało.

- Okay, co się stało? - zapytał stanowczo. - Co się dzieje? - Nie wyjdę stąd, dopóki mi nie powiecie.

Driscoll zerknął na kolegów. Szczerzyli zęby w uśmiechu. Keith odwrócił się i powiedział:

- Przykro mi Deve, ale to nieco zbyt drażliwe i soczyste dla uszu reportera.

- Nie wkurwiał mnie - zniecierpliwiał się Pascal. - Jeżeli to rzeczywiście coś soczystego, to wiesz że stary Brownlowe i tak tego nie wydrukuję, więc zasuwał, powiedz co się święci.

Driscoll udawał, że się namyśla. Pascal wiedział, że za chwilę zostanie poinformowany o tym co się dzieje; musiał najpierw przetrwać tę głupią grę.

Wreszcie Driscoll rzekł: Mieliliśmy dzisiaj rano telefon od Stanleya Pitta. Jego syn nie wrócił na noc do domu.

- Jeremy? - Pascal nie znał dobrze syna członka parlamentu, ale nie miał o nim najlepszego mniemania. Jeremy Pitt był forsiastym, aroganckim, tępym snobem. Jedyne, w czym był dobry to rugby.

- Tak. - Pitt martwił się, że może chłopak miał wypadek, ale według mnie, to on bardziej martwi się o samochód niż o syna. Młody Pitt pożyczył tatusia Bentleya na wieczór. A w zeszłym roku zdołał rozwalić dwa swoje samochody...

- A miał ten wypadek?

- Żadnych zgłoszeń o wypadkach, i sprawdzaliśmy w szpitalu. - Ale posłuchaj dalej, mieliśmy wiadomość od posterunkowego z Tricklewood, że kobieta o nazwisku Hausemann zgłosiła zaginięcie córki. Wybrała się z dwoma koleżankami do miasta na potańcówkę dobroczynną w klubie - i nie wróciła.

Pascal zmarszczył brwi. - Co to ma za związek z Pittem?

- Spodoba ci się. Posterunkowy przesłuchał koleżanki zaginionej i dowiedział się, że miał ją podwieźć do domu nikt inny, tylko nasz młody Pitt.

- Zaczynam rozumieć - powiedział Pascal.

- Nie, to nie wszystko - rzekł Driscoll i głupio się uśmiechnął. - Dziewczyna ma dopiero 15 lat.

- Oho - Pascal błysnął zębami. - Podoba mi się to. - Czy Pitt senior już o tym wie?

Driscoll potrząsnął głową. - Nie. Jak się dowie, chyba skręci biednemu Jeremy'emu kark.

- Taaak - zgodził się Pascal, wciąż się uśmiechając. - Pitt był wielce uczulony na punkcie swego wizerunku żelaznego strażnika moralności publicznej walczącego ze swobodą obyczajów. - Hej, nie myślisz chyba, że Jeremy urwał się z dziewczyną, co? - zapytał z nadzieją.

- Myślisz, że uciekli? - Nie - odparł Driscoll. Nic z tego. Najprawdopodobniej zaparkowali gdzieś z dala od drogi, zajęli się sobą, a potem zasnęli z wycieńczenia.

- Teraz pewnie się budzą i zastanawiają, gdzie u diabła są.

- Czy ktoś ich szuka?

- Tak - sierżant i młody Hazelmere. Jadą trasą, którą mógł jechać Pitt, sprawdzając zarośla. Myślę, że lada moment ich znajdą.

Pascal podszedł do stale podgrzewanego dzbanka i nalał sobie do kubka kawy. Nie mógł powstrzymać uśmiechu. A więc Jeremy Pitt wlaź w gówno! Jakież świetny tytuł byłby z tego. Nikt bardziej niż on nie zasłużył na coś takiego.

Czuł się zdecydowanie lepiej niż jeszcze parę minut temu. Może to poranne przeczucie sensacji nie było fałszywym alarmem.

Może to będzie dobry dzień.

Nagle na biurku Driscolla zadzwonił telefon, powodując u Pascala nerwowe drgnięcie. Driscoll podniósł słuchawkę, a sekundę później usiadł sztywno w krześle, przybierając poważną minę. Pascal usłyszał, jak wymamrotał: Jezu Chryste. Zaraz tam będziemy. Proszę zostać na miejscu... Aha, i niczego nie dotykać.

Cała trójka spoglądała nań wyczekująco gdy odkładał słuchawkę. Pascal zauważył, iż był lekko oszołomiony.

- To był Tom Gooch, z kurzej ферmy. Właśnie przyszedł do pracy i zastał szefa, Desa Cartwrighta i jego żonę, martwych. Przypuszcza, że zostali zamordowani.

W dyżurce zaległa cisza, po czym jeden z policjantów wydał przeciągły gwizd zdumienia.

Morderstwo. Pascal nie pamiętał żadnego morderstwa w Warchester. A przynajmniej nie w czasie, odkąd pracował w gazecie.

Driscoll pośpiesznie zakładał kurtkę i czapkę.

- Nigel, jedziesz ze mną. Terry, ty zostaniesz na śmieciach, ach, i złap sierżanta jeżeli jest w samochodzie i powiedz mu co się dzieje. Próbuje, aż ci się uda.

Pascal udał się za Driscollem na parking z tyłu komisariatu. - Mogę się zabrać z wami? - zapytał.

Driscoll posłał mu roztargnione spojrzenie, i po chwili odpowiedział: Dobrze, czemu nie?

Ferma Cavendish mieściła się cztery mile za miastem. Było to dość ustronne miejsce, do najbliższego sąsiada było pół mili. Z trzech stron otoczona była pastwiskiem, zaś z tyłu przylegał do niej gęsty las.

Na spotkanie policyjnego samochodu wjeżdżającego przez bramę wybiegł człowiek. Mniej więcej dwudziestoletni, miał dość długie włosy, ubrany był w szary, brudny kombinezon. Jego chuda twarz była bardzo blada, zaś oczy spoglądały tępo pod wpływem szoku.

- Nie żyją! - krzyczał w otwarte okno samochodu. Oboje, wszędzie mnóstwo krwi!

- Dobra, spokojnie powiedział Driscoll wysiadając. Proszę nam pokazać, gdzie oni są.

Driscoll, posterunkowy McCaffrey i Pascal poszli za wstrząśniętym człowiekiem za róg domu. Pascal poczuł mieszaną strachu i podniecenia. Obawiał się, że swoją reakcją na widok ciała narobi sobie wstydu. Driscoll zatrulby mu życie, gdyby, nie daj Boże, zemdleł. Widział już trupy - jak tego starego trampa, zamarniętego zeszej zimy w polu, ale przypuszczał, że tym razem widok będzie szczególnie makabryczny.

Najpierw ujrzeni kobietę. Leżała na wznak w drzwiach jednego z kurników. Była to tęga kobieta, w wieku około 50 lat. Ubrana była w różową koszulę nocną, zadartą tak, iż odsłaniała niemal całe nogi. Były bardzo grube i bardzo białe. Na lewej stopie miała różowy pantofel z wypłowiałym pomponem. Drugi pantofel leżał w głębi kurnika. Oczy kobiety były szeroko otwarte, a twarz zastygła w grymasie bólu i zdziwienia.

- Nie wygląda najgorzej - pomyślał Pascal przyglądając się jej. Na szczęście nie było otwartych ran ani też śladów krwi. Popatrzył w głąb budynku i ujrzał mężczyznę...

Driscoll obszedł już ciało kobiety i zmierzał w stronę drugiego ciała. McCaffrey poszedł za nim, a po długiej chwili dołączył do nich Pascal. Wcale nie miał ochoty tego robić - wystarczająco dużo ujrzał z tej odległości, ale nie miał wyboru. Była to kwestia honoru.

Jego przejściu między rzędami klatek towarzyszył ogłuszający hałas kurczaków. Poczul zawroty głowy i nudności. Uczucie nudności nasiliło się, gdy zbliżył się do ciała. Zwłoki były odziane w pidżamę i szlafrok, leżały na plecach w ogromnej kałuży zaschniętej krwi. Stado much uleciało w górę, gdy Pascal i McCaffrey się zbliżyli. Pascal zaś widział pozostałe owady rozkładające się po zaschniętej krwi i wybebeszonych zwojach jelit.

Zatrzymał się kilka kroków od trupa, odór był przytłaczający. Pascal szybko zamknął oczy, by opanować falę zawrotów głowy. W końcu zmusił się do ponownego spojrzenia na upiorny widok.

Długa rana biegła aż do szyi, która była niemal oddzielona od reszty ciała. Pascal zauważył ślady zębów na ciele. Przypomniało mu to widziane niegdyś fotografie ofiary rekina.

- Zwierzę! - usiłował przekrzyczeć zgiełk kurczaków. - To zabiło zwierzę!

Driscoll i McCaffrey odwrócił się, spojrzeli na niego. Twarze obu były śmiertelnie blade. Driscoll kiwnął głową.

Pascal wrócił spojrzeniem na ciała. Cóż to musiało być za zwierzę, pomyślał z rosnącym przerażeniem.

Rozdział III

Sierżant Harry Monroe czuł się nieprzyjemnie. Dzień zaczął się zwyczajnie, ale stało się coś niezwykłego. Telefon o Cartwrightach zdeprimował go. Zamordowani? To przecie? niemożliwe. Czemuż, na Boga Ojca, ktokolwiek miałby mordować właściciela kurzej ферmy i jego żonę? Bardziej prawdopodobne było, że to wynik rodzinnych nieporozumień. Może Cartwright zamordował żonę, a potem popełnił samobójstwo. Potworne, owszem, ale łatwiejsze do zniesienia, niż myśl, że w Warchester grasuje morderca.

Monroe niecierpliwie oczekiwał na kolejne szczegóły tego, co się zdarzyło. Wiedział, że powinien przerwać poszukiwanie młodego Pitta i udać się do Cartwrightów osobiście natychmiast po otrzymaniu wiadomości, ale obiecał ojcu Jeremy'ego znaleźć chłopca; a w ciągu ostatnich lat nauczył się, że jeżeli chciało się żyć spokojnie - należało nie zadzierać ze Stanleyem Pittem. Miał jedynie nadzieję, że wkrótce znajdą tego młodego idiotę.

- Hej sierżancie, chyba widzę jakiś błysk spoza drzew - mówiąc to Hazelmere wskazał na prawo.

Monroe przyhamował. Westchnął.

- To pewnie tylko rozbita butelka ale lepiej sprawdźmy.

Zjechał z drogi i zatrzymał się, obaj wysiedli. Zanosilo się na kolejny upalny dzień. Była dopiero 9.15 rano a temperatura przekroczyła już 20°C.

Piękny dzień, sierżancie, prawda? - rzekł Hazelmere, gdy weszli do lasu. Monroe chrząknął.

Parę minut później znaleźli Bentleya i Pat Hausemann. Monroe nie musiał jej dotykać by wiedzieć, że jest martwa.

Jego niepokój wzrósł. Już widział tytuł na pierwszej stronie: „Syn członka parlamentu i 15-latka zabici w wypadku samochodowym.”

Zajrzał do samochodu, w oczekiwaniu, że ujrzy ciało Pitta, ale nie było go. Zauważył, że pozycja ciała dziewczyny na masce wskazywała na to, że to ona siedziała za kierownicą, gdy samochód zderzył się z drzewem. Monroe zmarszczył brwi. Kolejna komplikacja. Tak, jakby cała reszta nie była już dostatecznie zagmatwana.

- Jak myślisz, co się stało zapytał Hazelmere w napięciu. Niczym zahipnotyzowany spoglądał na martwą dziewczynę. Monroe przypomniał sobie, że od dawna nie był na służbie. - W głowie się nie mieści - powiedział, snując niepokojące domysły co do tego, co się wydarzyło, i mając szczerą nadzieję, że się myli. Otworzył tylne drzwi i sprawdził siedzenia i podłogę. Ujrzał buty dziewczyny, rajstopy i figi. To przygnębiło go jeszcze bardziej. Wyglądało na to, że młody Pitt usiłował zmusić dziewczynę do posunięcia się dalej niż chciała; może próbował ją zgwałcić. Może ją nawet zgwałcił. Musieli się szamotać, udało jej się wypchnąć go z samochodu i odjechała. Wprost na drzewo.

Zamknął drzwi i w zamyśleniu wpatrzył się w las poza samochodem. - Gdzie może być chłopak? - zapytał Hazelmere podchodząc.

- Dobre pytanie - mruknął Monroe. Ruszył śladami samochodu. Jeszcze jedna możliwość zaświtała mu w głowie. Może dziewczyna czymś uderzyła Jeremy'ego - kamieniem, kluczem, a teraz znajdują go leżącego w lesie nieprzytomnego albo martwego. Mógł też spanikować widząc wypadek i się ukryć. Cokolwiek się stało, dumał Monroe, oznaczało to mnóstwo kłopotów.

Obaj policjanci w milczeniu szli przez las dochodząc do miejsca, gdzie musiał parkować Bentley. Stamtąd ślady prowadziły do pobliskiej drogi. Ale ani śladu Pitta.

- Hej, sierżancie odezwał się Hazelmere - jak pan myśli, czemu dziewczyna jechała w głąb lasu, zamiast ruszyć ku drodze?

Monroe nie zwracał na niego uwagi. Zauważył bowiem muchy krążące nad czymś leżącym na ziemi. Podeszedł bliżej. Natknął się na dużą plamę zaschniętej krwi. Potem na jeszcze jedną - mniejszą. Wyglądało to, jakby ktoś krwawiąc włókł się po trawie.

Z ponurą miną doszedł po krwawych śladach do kępy krzaków. Sądząc po ilości krwi, jego teoria miała sens; młody Pitt został raniony przez dziewczynę. I to ciężko.

Przetrzęsając krzaki w poszukiwaniu dalszych śladów krwi Monroe'a dogonił Hazelmere.

- No i co sierżancie? Co pan znalazł?

- Jeszcze nic odburknął ponuro Monroe.

Hazelmere przyłączył się do poszukiwań. Wkrótce Monroe zatrzymał się niezdecydowany. Stali na kwietnym kobiercu dzwoneczków, zaś ślad znikł. Nie wiedzieli w którą stronę się udać. Nagle Hazelmere schylił się i podniósł z ziemi wysoki but.

Sierżancie!

Monroe wziął w rękę znaleźisko. But był niemal nowy i dobrze wypastowany. Był także niespodziewanie ciężki. Monroe zerknął do środka i nagle zrozumiał dlaczego... W środku tkwiła część stopy.

- Jezu - zachłysnął się Hazelmere.

Monroe usłyszał z tyłu jakiś dźwięk. Ktoś się zbliżał przez las.

Pascal chciał się wydostać. Nieustający jazgot kurcząt, upał, muchy i smród wzmagały w nim uczucie nudności. Ale twardo stał w miejscu, usiłując przybrać nonszalancką postawę. Zastanawiał się, czy Driscoll i McCaffrey czują się równie źle.

Driscoll powtarzał pytanie, jakie zadawali sobie od znalezienia ciała: „Jakie zwierzę mogło tak rozedrzeć człowieka?”

- Może duży kot? Lew lub tygrys zasugerował Pascal, starając się nie patrzeć na trupa.

- Nie było zgłoszeń o zaginięciu zwierzęcia z zoo czy cyrku rzekł Driscoll.

- To wcale nie musi być zoo czy cyrk. Może to czyjś pupilek. To się już zdarzyło. Ktoś hoduje w domu lwie szczeniátko, w tajemnicy, aż w końcu zwierzę ucieka, a właściciel jest zbyt przerażony, by o tym poinformować kogokolwiek.

- Taak... możliwe - rzekł powątpiewająco Driscoll. McCaffrey wskazał dubeltówkę leżącą przy szczątkach Cartwrighta. Myślisz, że ranił to coś?

Driscoll potrząsnął głową. Kurczaki to prawdopodobnie jedyne, co trafił - sądząc po widoku.

Kilka martwych kurczaków leżało w klatkach po prawej stronie korytarza. Pascal domyślił się, że broń wypaliła, gdy zwierzę rzuciło się na Cartwrighta. Nagle zdał sobie sprawę z pewnej niejasności. Wokół ciała była ogromna kałuża krwi, a mimo to nie było żadnych śladów wiodących do ciała. - Jak to możliwe? - zastanawiał się. W żaden sposób nie udałoby się zwierzęciu nie wdepnąć w krew.

Podzielił się odkryciem z Driscollem, który zmarszczył brwi. - Tak, masz rację - powiedział. - Zupełnie nie ma śladów. Driscoll wyszedł na zewnątrz, Pascal z ulgą udał się za nim. Zapach świeżego powietrza był cudowny. Driscoll podszedł do Goocha, kręcącego się nerwowo po obejściu.

- Gooch, sprzątałeś tu zapytał Driscoll.

Gooch spojrział na niego ze zdziwieniem.

- Sprzątałem? Co masz na myśli?

- No, czy sprzątałeś krew z podłogi.

- Do diabła, spojrziałem raz na Desa i więcej tam nie byłem.

- Nie było tu nikogo innego?
- Gooch potrząsnął głową - Nie. Nikogo nie widziałem.
Driscoll zdjął czapkę i potarł tył głowy.
- Bardzo dziwne - rzekł zaniepokojony.
 - Myślisz, że ktoś zamordował Cartwrighta, a potem próbował upozorować napad zwierzęcia? - zapytał Pascal.
 - Myślę, że to możliwe - zerknął na ciało pani Cartwright.
- Na pewno nie została zabita przez żadne dzikie zwierzę. Nic na to nie wskazuje.
- Ńo to jak umarła?
 - Nie mam pojęcia.
 - Miała chore serce odezwał się Gooch. Według mnie to był śmiertelny atak serca.

Driscoll rozważył to, skinął głową. Możliwe. Dochodzi do miejsca, widzi zaatakowanego męża i szok ją zabija. Ale jeżeli to był dziki zwierzę, dlaczego nie zjadł i jej. Był przecież głodny.

- Może jej pojawienie się wystraszyło go - odezwał się Pascal. Jeżeli to było zwierzę.

Driscoll westchnął. - Na razie, żeby się nie narażać, przyjmujemy, że tak było. A to oznacza najwyższe pogotowie i odizolowanie całego terenu. Będziemy musieli ostrzec społeczeństwo i zorganizować zakrojone na szeroką skalę polowanie na to zwierzę. Trzeba ściągnąć posiłki z całego kraju, strzelców wyborowych, helikoptery.

Z kurnika wyszedł McCaffrey i przyłączył się do nich. - Obejrzałem te zrujnowane klatki. Cokolwiek to było, jest cholernie silne.

- Dobra, wystarczy - powiedział Driscoll. Przekażemy od razu, że podejrzone dzikie zwierzę jest na wolności, prawdopodobnie lew lub tygrys. - Nigel - rozejrzyj się, jak mógł się dostać do obejścia. Zabierz Goocha ze sobą. Ja wezmę posiłki.

Pascal udał się za Driscollem do samochodu patrolowego zaparkowanego na podwórzu. Driscoll wsiadł do wozu i skontaktował się z komisariatem.

Podczas gdy policjant rozmawiał, Pascal usłyszał znajomy odgłos MG należący do Jenny, zbliżający się do bramy frontowej. Obserwował z kamienną twarzą jak zajechała na podwórze i zaparkowała obok samochodu policyjnego.

- Szybka robota - odezwał się, gdy wyłączyła silnik. Jak się o tym dowiedziałaś?

- Brownlowe chciał z tobą rozmawiać - odparła z uśmiechem. - Zadzwońiłam do komisariatu i dowiedziałam się od Terry'ego, gdzie jesteś. Co się dzieje? Terry mówił coś o morderstwie.

- Tego jeszcze nie wiemy, ale mamy tu dwa trupy. Możliwe, że zostali zabici przez jakiegoś dzikiego zwierzę. Czemu nie pójdziesz, rzucić na nich okiem? Są w środkowym kurniku dodał złośliwie.

Zawahała się przez moment, nim odpowiedziała. - Dobrze, pójdę - wysiadła z czerwonego sportowego samochodu i zerknąwszy na niego podejrzliwie, skierowała się zdecydowanym krokiem ku tyłom budynku. Natychmiast poczuł się winny. Rozważał, czy nie zawołać jej z powrotem, lub chociaż ostrzec przed tym co zobaczy, ale nie uczynił nic.

Zapomniał o Jenny, gdy Driscoll trzasnął drzwiami samochodu tak mocno, że cały pojazd nagle się rozkołysał. Obszedł samochód dookoła, klnąc pod nosem. Pascal popatrzył nań pytająco.

- To dzikie zwierzę - powiedział Driscoll ponuro. - Alarm już został ogłoszony przez sierżanta. Zgłosił się parę minut temu. Powiedział, że wpadł na paru ludzi sir Penwarda. Dowiedział się od nich, że polują na zbiegłe zwierzę. Wydostało się w nocy z zoo Penwarda. I zgadnij, co to za zwierzę - cholernie wielki tygrys syberyjski.

- Do diabła - powiedział Pascal. Prywatne zoo sir Darrena Penwarda było jedynym powodem do sławy Warchester. Ekscentryczny i egocentryczny sir Penward zebrał unikatową w skali światowej kolekcję niebezpiecznych zwierząt i umieścił ją

w dużym zoo, jakie rozrosło się wokół jego okazałego domu - Penward Hall.

Od czasu do czasu społeczeństwo wyrażało swój niepokój z powodu obecności tylu dzikich zwierząt w majątku sir Penwarda, ale zoo było dokładnie zabezpieczone - aż do teraz.

- I wygląda na to, że Cartwrightowie nie byli jedynymi, których zwierzę zaatakowało tej nocy - kontynuował Driscoll. Sierżant i Hazelmere znaleźli szczątki młodego Pitta w lesie Ashton. Dziewczyna także nie żyje.

Pascal poczuł się zaszokowany. Ledwie godzinę temu zniknięcie Pitta i dziewczyny było tematem dowcipów, a teraz stało się nagle tragedią. Mimo, iż żał mu było tych dwoje, Pascal nie mógł zwalczyć w sobie podniecenia po usłyszeniu wiadomości. Nie mógł też odegnąć myśli, że oto tkwi u źródeł historii, która stanie być może w centrum zainteresowania całego kraju...

- Keith, zrób mi uprzejmość i pozwól skorzystać z telefonu Cartwrightów - poprosił.

Driscoll zmarszczył brwi. - Nie wiem czy...

- Posłuchaj. Jeżeli będę pierwszym, który rozdmucha historię, to będzie to wielki przyczynek do mojej kariery. Liczy się każda sekunda. Muszę skorzystać z telefonu!

- No dobra, idź... - powiedział Driscoll z powątpiewaniem.

- Dzięki. Zrewanżuję się kiedyś, przyrzekam! - krzyknął Pascal biegnąc już w stronę domu.

Telefon odnalazł w salonie. Najpierw połączył się z redakcją, by dowiedzieć się o numer Associated Press w Londynie. Rozmawiał z panią Fleming, która szukając numeru AP, poinformowała, go że pan Brownlowe chciał z nim rozmawiać „jak najszybciej” o festynie kościelny w sobotę.

- Pieprzyć kościelny festyn - wymamrotał Pascal, odłożywszy słuchawkę. Szybko połączył się z redakcją AP, przedstawił się i

zaczął opisywać poranne wydarzenia. Kobieta z drugiej strony kabla przerwała mu. - Proszę zaczekać, już tę historię mamy.

- Co? - Ale jak? Lokalna policja dowiedziała się o tym dopiero parę minut temu.

Rzecznik sir Penwarda opublikował oświadczenie dla prasy pół godziny temu. Wszystkie serwisy kablowe je znają: „Trzyletnia samica tygrysa syberyjskiego, zwana „Pokey” uciekła z prywatnego zoo sir Penwarda we wczesnych godzinach rannych, forsując dwa płoty, które dotychczas uważano za nie do przebycia. Ucieczkę zwierzęcia odkryto o 7.00 i sir Penward ze swoim personelem natychmiast wyruszył w pościg. Zwierzę zostało wytropione na lesistym terenie niedaleko miasta Warchester i sir Penward jest przekonany, że wkrótce zostanie ono złapane bez dalszych ofiar śmiertelnych.”

- Dalszych ofiar śmiertelnych - powtórzył Pascal oszołomiony. To znaczy, że wiecie już o ofiarach?

- Tak - żywo odparła kobieta. - Oświadczenie prasowe zawierało ich nazwiska. Pan i pani Cartwright, Jeremy Pitt i Patricia Hausemann. Sir Penward bierze pełną odpowiedzialność za wszystkie cztery nieszczęśliwe wypadki i obiecał pełną rekompensatę dla rodzin.

Pascal odłożył słuchawkę zupełnie skonfudowany. Jakim cudem sir Penward tak szybko dowiedział się o wypadkach? Pracownica AP powiedziała, że oświadczenie zostało wydane 30 minut leniu. To oznaczało, że Penward wiedział o Cartwrightach przed policją. Jak?

Pascal przypomniał sobie brak śladów zwierzęcia w kurniku. Ktoś tam już był. Penward z ludźmi wytarli ślady i odeszli nie zgłaszając policji śmierci Cartwrightów. Ale dlaczego?

Co starali się ukrywać?

Rozdział IV

Jenny czekała przy samochodzie, gdy Pascal wyszedł z domu. Wyglądała na rozdrażnioną, gdy zaś podszedł bliżej zauważył, że wyraźnie zbladła.

- Ty draniu - powiedziała do niego - mogłeś mnie chociaż uprzedzić.

- Przepraszam - rzekł myśląc o czym innym.

- Za to nie podrzucę cię do lasu Ashton - odwróciła się i przrzuciwszy swoje długie nogi przez burtę MG usadowiła się za kierownicą.

- Wiesz o lesie Ashton? - zapytał zdziwiony.

- Keith mi powiedziała - zapaliła silnik. - Do zobaczenia, opowiem ci co się zdarzyło.

- Hej, poczekaj! - zawołał niespokojnie. - Proszę cię Jenny, zabierz mnie ze sobą. Muszę to zobaczyć.

Obserwowała go chłodno, z figlarnym błyskiem w zielonych oczach.

- Podaj mi choć jeden powód, dla którego powinnam ci pomóc, po tym, co mi zrobiłeś przed chwilą.

Namyślił się szybko. - Mam informacje, które cię zafascynują. Naprawdę.

Po długiej pauzie kiwnęła głową. - No dobrze. Robię błąd, ale wskakuj. I lepiej, żeby to było naprawdę fascynujące.

- Jest! - szybko wskoczył do samochodu.

Podczas gdy mknęli polną drogą, Jenny odezwała się. - No i co to za fascynująca informacja?

Pascal zawahał się, zanim odpowiedział. Nie miał ochoty dzielić się z nią wiadomościami i żałował swej nieroztropności.

Ale teraz nie mając wyboru, opowiedział jej czego się dowiedział z Associated Press. Jej pierwszą reakcją było nazwanie go znowu draniem.

- Chciałeś przypisać sobie całą sławę, nawet mnie nie informując! - napadła na niego.

- Nie wiedziałem, że postanowiliśmy pracować nad tą sprawą jako ekipa. Poza tym, byłem pierwszy. Na moim miejscu zrobiłabyś to samo.

Posłała mu chłodne spojrzenie. - Nie. I to jest różnica między nami. Lub przynajmniej jedna z różnic.

- Słuchaj, daj spokój - zniercierpliwił się. Teraz ważne jest, żeby spróbować zgadnąć, co knuje Penward i jego ludzie. Jestem pewien, że byli u Cartwrighta pierwsi. Odkryli ciała, ale nie zgłosili tego policji. Mieli powód dla którego zatarli ślady po tygrysie. Dlaczego?

- Usiłowali ukryć fakt ucieczki tygrysa? - zasugerowała.

Pascal zmarszczył brwi. - Ale dlaczego? Wiadomość o tym wcześniej czy później ujrzałaby światło dzienne. Trudno by było utrzymać ją w tajemnicy, zwłaszcza po tym, jak zginęli ludzie. Poza tym, Penward osobiście wydał oświadczenie dla prasy... jeszcze przed powiadomieniem policji. Nie rozumiem tego. Myślę, że on coś ukrywa.

- David, cierpisz na syndrom Bernsteina i Woodwarda. Wszędzie węszysz intrygi. Nawet tu, w Warchester. A tymczasem to wszystko można bardzo prosto wytłumaczyć. Wiesz, jak arogancki jest sir Penward; wciąż uważa się za feudalnego pana na włościach, a policję za swą prywatną własność.

Pascal przemyślał to. - No tak, to prawda. Penward wciąż uważa się za właściciela Warchester, jego mieszkańców i policji, ale nawet on musiał sobie zdawać sprawę, z reperkusji jakie pociągnie za sobą zatajenie przed policją faktu odkrycia ucieczki tygrysa. A zachowuje się tak, jakby miał do ukrycia coś więcej.

- Co masz na myśli?
- Jeszcze nie jestem pewien. Ale możemy być na tropie czegoś dużego. Ten tygrys na wolności spowoduje ogromne zainteresowanie, za parę godzin w Warchester zaroi się od dziennikarzy i fotoreporterów. Teraz już za późno, żebyśmy wykorzystali tę historię, ale jeżeli uda nam się spojrzeć na to z innego punktu widzenia, lub odkryć, to co Penward usiłuje ukryć, to będziemy mieli wyłączność. I możemy to przedstawić w jednej z ogólnokrajowych gazet wyrabiających sobie markę.
- Oho, teraz ty sugerujesz, że działamy drużynowo - rozśmiała się.
- Nie mam wielkiego wyboru prawda? Poza tym będę potrzebował twojej pomocy.
- Ależ wspomniałomyślnie, że się do tego przyznajesz.
- No i co powiesz na to?
- Przemyszę to sobie. Nie jestem przekonana, czy Penward rzeczywiście coś ukrywa.

Nie mieli żadnych trudności z odnalezieniem ekipy poszukiwawczej. W połowie drogi przechodzącej przez las Ashton natknęli się na samochody zaparkowane na poboczu. Dwa z nich były wozami policyjnymi, zaś reszta - to Land Roversy i ciężarówki z herbem Penwarda, wyobrażającym stojącego smoka i gryfa zwróconych ku sobie.

Wysiadłszy z samochodu usłyszeli odgłos nisko lecącego helikoptera. W pierwszym momencie Pascal myślał, że to helikopter policyjny, dopiero po chwili rozpoznał, jedną z maszyn Penwarda. Był to duży Sikorsky S-76, który Pascal niejednokrotnie widywał nad Warchester.

Na pierwszy rzut oka wyglądało to, jakby faktycznie operacją kierował Penward a nie policja. Jego ludzie, ubrani w identyczne białe kombinezony i białe czapki, przewyższali liczebnie policjantów, których tam zauważyli. Pascala zawsze intrygowali

ludzie, którzy pracowali w zoo Penwarda. Żaden z nich nie pochodził stąd, wszyscy byli w wieku od 25 do 30 lat, mocno zbudowani i nosili identyczne fryzury. Sprawiali wrażenie jakby zostali uformowani z tej samej gliny, jakby wszyscy byli ex-żołnierzami. Trzymali się razem i nie utrzymywali kontaktów towarzyskich z mieszkańcami Warchester. Niektórzy z nich mieli w zwyczaju bywać w pubie „Phoenix Arms”, położonym tuż obok posiadłości Penwarda, ale nawet tam trzymali się razem i nie rozmawiali z nikim obcym. Paru z nich było żonatych, a jak pozostali radzili sobie w sprawach damskiego towarzystwa, Pascal nie miał pojęcia. Pewnie gdzieś jeździli....

Następną ich wspólną cechą, był widoczny podziw dla sir Penwarda. Nie były to normalne stosunki między pracodawcą, a jego ludźmi.

Pascal podejrzewał, że są kryptofaszystami, przyciągniętymi przez autokratyczny styl Penwarda i jego teorie tak reakcyjne, że w porównaniu z nimi poglądy Nietzschego zdawały się być mrzonkami niewydarzonego liberała.

Pascal dojrzał sir Penwarda. Zresztą trudno było go nie zauważyć. Miał ponad 6 stóp wzrostu, szerokie bary i był potężnie zbudowany. Włosy miał kruczoczarne, jedynie na skroniach posiwiałe. Wyglądał na twardego i bezlitosnego. Gdyby go ubrać w kolczugę - byłby normańskim najeźdźcą prosto z bitwy pod Hasting.

Mężczyzna, z którym rozmawiał, prezentował sobą jego dokładne przeciwieństwo. Był mały, okrągłutki, jasnowłosy i miał czerwoną twarz. A w tym momencie miał bardzo czerwoną twarz i był bardzo zdenerwowany. Był to inspektor Bodycombe, starszy oficer policji z Warchester. Pascal, a za nim Jenny, podszli bliżej, by usłyszeć o czym mowa.

- Ależ, do diabła, sir Penward, pańskie postępowanie jest niewybaczalne! - Bodycombe aż zapluł się ze zdenerwowania. -

To jest sprawa policji! Musi pan poczekać, aż nadjadą jednostki z Cambridge.

- Nie możemy czekać, inspektorze. Moi ludzie to specjaliści. Lepiej pracują sami, niż z hordami niezdarnych policjantów - spokojnie odparł Penward.

- Niezdarnych... NIEZDARNYCH? - Twarz Bodycombe'a poczerwieniała jeszcze bardziej. Wyraz twarzy Penwarda pozostał nieprzenikniony.

Pascal skorzystał z okazji, wystąpił krok do przodu i głośno się odezwał.

- Sir Penward, czy to prawda, że pan i pańscy ludzie jako pierwsi odkryliście, że pan i pani Cartwright zostali zabici przez pańskiego zbiegłego tygrysa, ale nie zawiadomił pan o tym fakcie policji?

Penward odwrócił się i spojrzał na niego. Pascal ujrzał błysk złości w szarych oczach i poczuł jak odwaga szybko go opuszcza. Zupełnie jakby był znów uczniakiem stojącym przed swym dyrektorem.

- A kimże ty jesteś - zapytał zimno.

- Och, to jest młody Pascal - powiedział Bodycombe poirytowany - pracuje w gazecie. Jeden z ludzi Brownlowe'a.

Szare oczy zatrzymały się na nim, niczym dwa obiektywy kamer. Penward odwrócił się do Bodycombe'a. - Powiedz temu idiocie, żeby sobie poszedł - powiedział do inspektora.

Ku zdziwieniu Pascala Bodycombe wykonał ku niemu odprawiający gest. - Tak, odejź, Pascal.

Pascal wziął głęboki wdech.

- Nie, dopóki sir Penward nie odpowie na moje pytanie.

Irytacja Bodycombe'a wzrosła. - Pascal, nie powtórzę tego więcej, zjeżdżaj. To sprawa policji. Odejź, albo każe cię aresztować!

Z twarzą płonąca z zażenowania, Pascal wskazał palcem na Penwarda i rzekł: To on powinien być aresztowany za utrudnianie - odwrócił się i odszedł nie czekając na ich reakcję.

Jenny stanęła za nim: - Dobre zagranie panie Woodward. Z całą subtelnością młota kowalskiego. A teraz zirytowałeś ich obu. Powinieneś mnie pozwolić to rozegrać.

Zignorował jej słowa. - Boże, czemu nie pracuję w prawdziwej gazecie - powiedział gniewnie. Przygwoździłbym tych dwóch.

Dziewięcioletnia Fiona Smythe-Graves jechała na swoim kucyku Robbie po lesie niedaleko domu. Trasa jak zazwyczaj, ale tego ranka kucyk zachowywał się dziwnie. Parokrotnie nagle się zatrzymał, ruszył zaś ścieżką dopiero po usilnych namowach swojej pani.

- Robbie, co się z tobą dzisiaj dzieje? - zawołała poirytowanym głosem Fiona, gdy kucyk ponownie się zatrzymał. - No dalej! Wio! - wbiła kolana w jego żebra, i dała mu klapsa w zad, lecz kuc tylko kwiknął.

Chciała mu dać jeszcze jednego klapsa, gdy nagle tuż przed nimi coś wyszło z krzaków. Fiona zdążyła ujrzeć to coś w przelocie, bo przerażony kucyk szarpnął się do tyłu. Zaskoczona dziewczynka nagle została wyrzucona z siodła.

Ciężko uderzyła o ziemię i leżała bez tchu, podczas gdy kucyk, odwróciwszy się, pogalopował z powrotem ścieżką. Ujrzała jak coś szybko przebiegło na dwóch nogach obok niej. Wyglądało, jak ogromna jaszczurka, większa od człowieka.

Usiłując chwycić powietrze w płuca, usłyszała rozdzierający serce pisk bólu Robbiego. Usiadła i patrzyła rozszerzonymi z przerażenia oczami. Dziwne stworzenie dogoniło kuczka i powaliło go na ziemię.

Dziewczynka nie wahała się. Poderwała się na nogi, podniosła długą gałąź leżącą obok ścieżki i pośpieszyła z pomocą swemu ukochanemu konikowi.

- Zostaw go w spokoju, ty potworze! - krzyknęła, uderzając stwora w grzbiet gałęzią.

Stworzenie warknęło zaskoczone i odwróciło się, porzucając kuczka. Dziewczynka pojrzała w oczy stwora, zobaczyła rzędy

straszliwych zębów i poczuła jak opuszczają odwaga. Cofnęła się o krok, trzymając wciąż gałąź. Stwór wydawszy złowieszczy dźwięk gdzieś z głębi gardła złapał dziewczynkę.

W tym czasie okaleczony kucyk skorzystał z szansy. Podniósł się na nogi i rzucił do ucieczki. To pobudziło stwora do działania. Zdecydowawszy, że Fiona nie stanowi dla niego zagrożenia, uderzył przednią łapą. Dziewczynka zginęła natychmiast z roztrzaskaną czaszką. Teraz stwór odwrócił się i ruszył za swą zbiegłą ofiarą.

Teresa Smythe-Graves, matka Fiony właśnie kończyła sprzątanie stajni kuczka, gdy usłyszała w pobliżu jego przeraźliwy kwik. Zaciekawiona wyjrzała ze stajni. Nie zobaczyła ani kuczka ani jeźdźca. Zawołała 8-letniego syna bawiącego się w ogrodzie: - Simon, czy ty też słyszałeś Robbie'go, czy ja mam omamy?

Nie podnosząc głowy, znad zabawek, Simon odparł:

- Też go słyszałem, mamusiu.

Zmarszczywszy brwi, Teresa przebiegła wzrokiem rząd drzew przylegających do padoku położonego na pochyłości terenu za dużym ogrodem. Ujrzała nagle kuczka wylaniającego się galopem z lasu. Serce podskoczyło jej niespokojnie, gdy zauważyła brak Fiony. - Ten cholerny zwierzak musiał ją zrzucić - pomyślała, oczyma duszy widząc Fionę raną, leżącą gdzieś obok ścieżki.

Nagle zobaczyła coś, co wynurzało się z lasu za kuczkiem. W pierwszym momencie pomyślała, że to człowiek ubrany w jakiś dziwny kostium, ale zauważyła z tyłu długi sterczący sztywny ogon. Równocześnie usłyszała przenikliwy i przerażający ryk i zrozumiała, że widzi coś, co nie powinno istnieć.

Ale jednak stwór tam był, biegł za kuczkiem z wyciągniętymi przed siebie szponiastymi łapami. A kucyk ociekający krwią z niewiarygodnie wielkiej dziury w grzbiecie, biegł prosto do stajni. Prawie dotarł do końca padoku.

- Simon! - krzyknęła - chodź tu! Biegiem!

Nie wydawał się słyszeć. Wciąż tkwił pomiędzy swymi samochodami, niczym zahipnotyzowany widokiem nadbiegającego kucyka i goniącego go stwora. Kucyk biegł teraz przez rzędy sałaty na skraju ogrodu.

- Simon! - krzyknęła znowu, biegnąc ku niemu. Wiedziała, że nie wystarczy jej czasu by do niego dobiec i unieść go bezpiecznie ze sobą.

Wreszcie chłopiec bardzo wolno wstał, odwrócił się i zaczął biec ku niej.

Teresa zagarnęła syna w ramiona i pobiegła ku otwartej stajni. To była jedyna szansa. Dom znajdował się zbyt daleko.

Kucyk przegalopował obok, niemalże przewracając ją. Teraz nic jej nie dzieliło od pędzącego stwora. Szybkie zerknięcie przez ramię upewniło ją, że zbliża się szybko. Zobaczyła wyraźnie jego głowę i wydało jej się, że to rodzaj niezwykle gada. Wargi odsłaniały rzędy długich, zakrzywionych zębów.

Kucyk wbiegł do stajni tuż przed nimi. Kiedy Teresa tam dotarła po paru sekundach - Robbie kulił się pod przeciwległą ścianą, ciężko dysząc. Wokoło było już pełno krwi tryskającej ze straszliwej rany.

Teresa rzuciła Simona na siano i zatrzasnęła wrota stajni. W samą porę. Cały budynek zatrzęsł się, gdy stwór uderzył siłą rozpędu w ciężkie drewniane drzwi. Simon rozplakał się.

Przez krótką chwilę nic się nie działo i Teresa odważyła się mieć nadzieję, że to coś odeszło. Ale wtedy właśnie drzwi zadrzęły. Długi pazur przebił je na wylot. Teresa krzyknęła.

Zaraz potem w stajni rozegrał się koszmar jak z najgorszego snu. Powtarzający się łomot do drzwi przyprawił kucyka o szaleńczą panikę. Krew tryskająca z rany opryskała Teresę i jej syna, choć próbowała go osłonić przed oszalałym koniem. Przez cały czas wielki, podobny do kopy pazur systematycznie powiększał dziurę w drzwiach.

Kiedy drewno pękło, jedyną myślą Teresy był jej syn. Zasłoniła go sobą i zwróciła się twarzą ku stworzeniu przeciskającemu właśnie swe cielsko przez pozostałości drzwi. Teresa wydała okrzyk będący mieszanką przerażenia i wściekłości.

Stwór ryknął i trójpalczasta tylna łapa wykonała błyskawiczny ruch do przodu. Ostry niczym brzytwa środkowy pazur rozdarł ciało Teresy od szyi aż po klatkę piersiową. Nie żyła już, gdy jej ciało opadło na przesiąknięte krwią siano.

Simon obserwował śmierć matki, ale bez zrozumienia tego, co widzi. Poszarpany kształt u jego stóp nie miał nic wspólnego z jego matką. Tak, jakby oglądał coś w telewizji. Było to interesujące, ale go nie dotyczyło.

Z takim samym dystansem obserwował jak stwór chwytając kucę i wgrzyza się w jego szyję. Robbie kwiczał i wyrwał się, w końcu krew popłynęła mu z pyska. Wolno opadł na bok i leżał bezwładnie.

Niewidzące spojrzenie Simona nie zmieniło się nawet wtedy, gdy w drzwiach stajni ukazali się ludzie. Mieli strzelby z wyjątkowo grubymi lufami. Wymierzili je w stwora; ale oczekiwany przez Simona huk wystrzałów nie nastąpił. Dał się słyszeć za to stłumiony dźwięk, jakby świst i dwa żółte, pierzaste pęczki ukazały się na grzbiecie potwora.

Stwór wyprostował się rycząc tak głośno, że Simon poczuł w uszach ostre klucie. Jaszczur odwrócił się ku dwóm mężczyznom, ale zanim zdołał postąpić choć jeden krok, nogi mu się ugięły i z ciężkim łomotem upadł na ziemię. Nie był martwy - Simon widział, jak klatka piersiowa wznosi się mu podczas oddechu, lecz nie poruszał się.

Jeden z mężczyzn obszedł stwora dookoła i podszedł do kąta w którym siedział Simon. Schylił się i podniósł go. - Nie martwy synu - powiedział spoza maski z drutów i grubego plastiku. - To nie dzieje się naprawdę. To wszystko sen.

- Wiem - odparł Simon.

Mężczyzna wyniósł go ze stajni; daleko od czegoś martwego co wyglądało jak mama; daleko od innego martwego kształtu podobnego do kucyka siostry. Daleko od śpiącego potwora...

Nawet się nie zdziwił gdy ujrzał duży czerwono-żółty helikopter stojący na środku ogrodu. Byli tam jeszcze inni ludzie, niektórzy w ochraniaczach, inni w białych kombinezonach. Właśnie czterej ubrani na białą biegli ku stajni, niosąc siatkę.

Mężczyzna postawił Simona na ziemi.

- Co z nim zrobimy?

- Możemy go zostawić - odpowiedział ten, który go wyniósł ze stajni..

Drugi zmarszczył brwi. - Czy to mądre? Jest jedynym świadkiem.

- Jest tylko dzieckiem. Kto mu uwierzy? Mówię, żeby go zostawić.

- No, nie wiem - powiedział tamten z powątpiewaniem - myślę, że lepiej zapytać szefa - odwrócił się i pobiegł do helikoptera.

Simon ziewnął. Ten film, sen, czy czymkolwiek to było - robiło się nudne. Zastanawiał się, gdzie się podziała mama.

Rozdział v

- Coś się dzieje - powiedział Pascal.

Po starciu z Bodycombem i Penwardem spodziewał się nakużu opuszczenia terenu, ale nikt nie zwracał na nich uwagi. Teraz, po 15 minutach, zdawało się, że tygrys został wytropiony. Jeden z ludzi Penwarda poprosił go pilnie do Land Rovera wyposażonego w radio o dużej mocy. Na twarzy Penwarda nie drgnął ani jeden mięsień podczas krótkiej konwersacji, ale zaraz potem przywołał Bodycombe'a i wskazał mu coś na mapie. Już i tak zdenerwowany inspektor uległ jeszcze większemu podnieceniu i pobiegł ku swojemu samochodowi wrzeszcząc po drodze rozkazy.

- Co teraz? - zapytała Jenny - Jedziesz za nimi?

- Pewnie, ale dajmy im trochę fory.

Ludzie Penwarda wskakiwali do swych samochodów, podczas gdy samochody policyjne ruszały z maksymalną prędkością na syrenach. Pascal obserwował przejeżdżającego obok Land Rovera Penwarda - jak wypadł na drogę tuż za samochodami policyjnymi. Twarz Penwarda była jak zwykle kamienna i nieodgadniona.

- Okay, jedziemy - powiedział Pascal do Jenny.

Podjechali za konwojem, drogą pod górę poprzez las, zachowując odległość około 100 jardów od ostatniego samochodu. Gdy las zaczął się przerzedzać, konwój skręcił w prawo, w boczną drogę. Mijali drogic domy z dużymi ogrodami. Była to bogatsza dzielnica rezydencji Warchester, zwana Flagenglen.

Ponad głowami rozległ się znajomy klekoczący dźwięk. Pascal spojrział w górę i ujrzał helikopter. Leciał nisko w stronę

posiadłości Penwarda. Pod czerwono-żółtym kadłubem zawieszona była siatka unosząca jakiś owinięty w brezent kształt.

- Wygląda na to, że złapali tygrysa - odezwał się Pascal zawiadziony - Straciliśmy taką scenę...

Około trzy czwarte mili dalej konwój zjechał aleją wiodącą do dużego domu na skraju lasu.

- O Boże - krzyknęła Jenny. - To dom Smythe-Gravesów?

- Znasz ich?

- Przyjaciele moich rodziców. Mam nadzieję, że nic im się nie stało.

Z trudem znaleźli nieco miejsca na podjeździe. Wysiedli, gdy Jenny zaparkowała swojego MG za jednym z Land Roverów Penwarda. Nie widać było nikogo, ale zza budynku dochodziły głosy. Pascal udał się za Jenny przez różany ogród wzdłuż domu. Domyślił się, że kiedyś był to budynek gospodarzy farmy.

Ogród za domem roił się od ludzi. Centrum zainteresowania wydawał się być mały budynek w połowie ogrodu.

- Stajnia - powiedziała Jenny. - Trzymają tam kucyka Fiony.

Pascal domyślił się, co się wydarzyło.

- Spróbujmy się przyjrzeć temu z bliska - powiedział. Ruszyli ku stajni. Dzieliło ich od budynku niewiele, gdy jeden z policjantów Bodycombe'a zauważył ich.

- Przykro mi. Tam nie wolno wchodzić.

- Och Ian, pozwól - poprosił Pascal. - Tylko rzut oka.

Posterunkowy Ian Nolan potrząsnął głową. Był młodszy od Pascala, miał okrągłą poważną twarz i bardzo niebieskie oczy. Pascal zauważył, że był bledszy niż zazwyczaj.

- Nie, Dave, nie mogę, - powiedział policjant. - Bodycombe zrobiłby z moich kiszek podwiązki. Poza tym robię wam uprzejmość - tam jest jak w jatce.

- Co się stało? - zapytała Jenny niespokojnie.
- Cholerny tygrys zabił kobietę. Rozerwał też konia...
- Och, nie! - Jenny podniosła dłoń do ust.

Pascal ścisnął ją za ramię.

- Ona zna tę rodzinę - wytłumaczył Nolanowi.
- A co z dziećmi? - zapytała Jenny.
- Znaleźli w stajni chłopca. Nic mu nie jest - przynajmniej fizycznie, ale musiał widzieć jak zginęła matka...

- Są jeszcze jakieś dzieci?

- Dziewczynka. Fiona, około 9 lat - wyjaśniła Jenny.

Nolan odrzekł ponuro - od lasu prowadzi ślad krwi. Przyjęto tezę, że tygrys zaatakował kucyka w lesie, a potem gonił go aż tu. Ludzie Penwarda przeszukują las, w poszukiwaniu jeźdźca.

Jenny spojrzała na Pascala z lękiem - David, to straszne, Fiona także.

- Posłuchaj Jenny - wtrącił się Nolan - może byś posiedziała z chłopcem, dopóki ktoś po niego nie przyjedzie? Pomogłoby mu, gdyby zobaczył znajomą twarz i do tego jeszcze kobietę. Pete jest z nim w domu - w kuchni.

Jenny kiwnęła głową. - Oczywiście posiedzę.

Gdy pobiegła przez ogród ku domowi, Pascal zapytał Nolana, jak został schwytany tygrys. Nolan zdjął czapkę i przejechał palcami po spoconych blond włosach. - Jeszcze nie wiemy. Inspektor usiłuje wydobyć z sir Penwarda całą historię. Jeszcze nigdy nie widziałem starego w takiej złości - wskazał na koniec ogrodu, gdzie Bodycombe rozmawiał gniewnie z Penwardem, który prezentował swój zwykły spokój. - Wiemy tylko, że ludzie Penwarda uspili zwierzę nabojami usypiającymi. Przybyli akurat, by ocalić chłopca. Matki nie zdążyli, pokręcił głową z niesmakiem. - Okropnie wygląda. Potwornie...

- Rzeczywiście, czasu to oni nie tracili z wywiezieniem tygrysa - powiedział Pascal. - Gdy jechaliśmy, widziałem jak go transportowali helikopterem.

- I to jest jeszcze jeden powód furii starego. Chciał zobaczyć tę bestię.

- A skąd taki pośpiech?

- Cholera go wie - odparł Nolan. Może środek usypiający szybko przestaje działać. Ale zupełnie nie rozumiem, dlaczego nie zastrzelili tego diabelstwa od razu. I tak będą musieli to zrobić.

- Tak - Pascal kiwnął głową. - To dobre pytanie - znowu miał uczucie, że Penward coś ukrywa. Ale co?

- Oho!

Pascal podążył za wzrokiem Nolana i zrozumiał powód westchnięcia. Dwóch ubranych na biało pracowników Penwarda wyszło z lasu. Nieśli mały tobołek. Pascal domyślił się, że to ciało dziecka. Nawet z tej odległości widać było, że dziewczynka nie żyje.

- Ofiara numer sześć - wymamrotał. - Cena jaką społeczeństwo płaci za zamiłowanie sir Penwarda do dzikich zwierząt.

- Zamkną zoo po tym wszystkim - powiedział Nolan ponuro.

- Tym biedakom to i tak nie pomoże.

- Lepiej powiadomię Jenny, że znaleźli dziewczynkę - powiedział Pascal bez entuzjazmu.

Idąc ku domowi usłyszał zbliżający się odgłos syren. Albo posiłki policyjne, albo karetka pogotowia - nie był pewien. Zastanawiał się, co ukrywał Penward. Zachodził w głowę, co to mogło być. Ale cokolwiek to było, musiało być ważniejsze, albo bardziej kłopotliwe niż zbiegły tygrys mordujący sześć osób.

Chłopiec wyglądał na wyjątkowo opanowanego. Pascal oczekiwał, iż zastanie go tonącego we łzach, a tymczasem znalazł go usadowionego przy kuchennym stole, spokojnie pijącego mleko. Obok niego siedziała Jenny. Posterunkowy, młody człowiek z

twarzą ex-boksera, stał opodal i z zakłopotaniem przyglądał się swoim butom.

- Jak on się czuje? - zapytał Pascal.

- Dobrze - szybko odparła Jenny, posyłając Pascalowi ostrzegawcze spojrzenie. - Prawda, Simon?

Chłopiec ponuro przytaknął. Patrzył na Pascala bez jakiegokolwiek ciekawości. Pascal poczuł się zniechęcony pustym spojrzeniem chłopca.

- Kiedy mamusia wróci? - zapytał spokojnym głosem i Pascal zorientował się, że umysł chłopca nie przyjął tego co się wydarzyło w stajni, nie zaakceptował śmierci matki.

- Już niedługo - odparła Jenny. - Ale tatuś będzie tu szybciej.

Simon wzruszył ramionami. Najwyraźniej obecność ojca była sprawą obojętną.

- A gdzie Fiona? - zapytał. Jenny spojrzała pytająco na Pascala. Pokręciła głową. Drgnęła, ale odpowiedziała lekko:

- Fiona jest z mamusią, Simon. Już niedługo obie je zobaczysz.

Ktoś zadzwonił do frontowych drzwi. Posterunkowy Davenport powlókł się by otworzyć. - Pewnie ambulans - wymamrotał idąc.

Pod wpływem chwili, Pascal zdecydował się zrobić coś, co wiedział, że zdenerwuje Jenny. - Simon - powiedział cicho - widziałeś tygrysa?

- Dawid! - Krzyknęła Jenny, zanim chłopiec zdążył odpowiedzieć. - Nie bądź potworem! Zostaw go w spokoju!

- W porządku Jenny - odparł Pascal. - Nie denerwuję go. Prawda, Simon?

Chłopiec pokręcił głową bez zainteresowania.

- Nie przeszkadza ci rozmowa o tygrysie? - nalegał Pascal.

- To i tak wszystko pozory...

- Dawid! - głos Jenny zabrzmiał niemal jak krzyk. - Ani słowa więcej! Wynoś się stąd, bo inaczej nie odezwę się do ciebie już nigdy! - Jej twarz poczerwieniała z gniewu. Nigdy przedtem Pascal nie widział jej tak zdenerwowanej. Jednak nie przerwał.

- Widziałeś tygrysa, Simon?

Jenny podniosła się i dopadła go, uderzając mocno obiema pięściami w piersi: - Zamknij się Dawid!

Pascal cofnął się, zdumiony. Z głębi domu dochodziły odgłosy kroków i rozmów, zbliżające się do kuchni. Pozostało niewiele czasu. Simon, tygrys... - zdążył zawołać, zanim Jenny nie wypchnęła go za drzwi.

Dobiegła go odpowiedź chłopca, bardzo wyraźna i bez emocji: - To nie był tygrys, to był dinozaur.

- Jesteś draniem - powiedziała Jenny. - I pomyśleć, że kiedyś mi się wydawało, że się w tobie zakochałam,

To było godzinę później, gdy jechali już MG Jenny z powrotem do miasta.

- Posłuchaj, Jenny - odezwał się - bądź rozsądna. Nic mu nie zrobiłem. Widziałem, że odciął się od tego wszystkiego. Dla niego to była fikcja. Jakby rozmawiał o czymś, co widział w telewizji.

- Tak, ale mówiąc o tym, mogłeś wyzwolić w nim reakcje, na które jeszcze za wcześnie. Mogłeś mu wyrządzić okropną emocjonalną krzywdę.

- Ale nie wyrządziłem, prawda? W najmniejszym stopniu go to nie obchodziło.

- Nie miałeś prawa podejmować takiego ryzyka. I tak nie na wiele ci się zdało.

Pascal odparł wolno. - Nie jestem tego taki pewien.

Obrzuciła go zrozpaczonym spojrzeniem - David, on powiedział, że widział dinozaura.

- Wiem.

- Coś mu się zdawało. To część jego tarczy ochronnej, jaką jest wyobraźnia. Z tygrysa zrobił fantastyczne stworzenie, by wydawało się mniej realne.

- Możliwe - przyznał Pascal. - Ale z pewnością duży tygrys, pojawiający się w ogrodzie przydomowym byłby wystarczająco fantastycznym tworem dla małego chłopca. Po cóż miałby go jeszcze zmieniać w dinozaura? A na dodatek brzmiało to bardzo przekonywująco.

- On pewnie nawet nie wie, jak wygląda dinozaur. To tylko słowo, które posłyszał gdzieś w telewizji, albo w radio.

- Nie przypuszczam. Młodzi chłopcy miewają bzika na punkcie dinozaurów. Jak byłem w jego wieku, miałem dużą kolekcję plastikowych figurek, i byłem w stanie podać poprawną nazwę każdego z nich. Nie wahałbym się założyć, że mały Simon wie o dinozaurach więcej niż ty.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że wierzysz, że on ujrzał dinozaura?

- Nie. Chcę powiedzieć, że ja wierzę, iż on wierzy, że ujrzał dinozaura. I cokolwiek to było, nie był to na pewno tygrys syberyjski. Penward kłamie.

- Dlaczego? - zapytała.

- A to właśnie chciałbym wiedzieć.

Westchnęła. - Biedny, mały Simon nie jest jedynym, który cofnął się do świata fantazji. Tak się palisz, żeby położyć rękę na wielkiej, wyjątkowej historii, że aż sam sobie ją tworzysz.

- To nie moja fantazja, że ktoś zatarł ślady zwierzęcia na kuzrej fermie. No i sposób, w jaki ludzie Penwarda rozdeptywali ślady za domem Smythe-Gravesów. Założę się, że do teraz nie został ani jeden czytelny ślad. A sposób, w jaki tygrys został usunięty przez helikopter zanim policja przybyła? Według mnie - cholernie podejrzane.

Jenny zmarszczyła brwi - No tak, nieco - przyznała niechętnie. - Ale pomyśl, że sir Penward ukrywa w swoim zoo żyjącego dinozaura jest absurdalny.

- Penward finansuje ekspedycje poszukujące rzadkich okazów dzikich zwierząt. Może jedna z nich powróciła z czymś bardzo rzadkim...

- David, dinozaury wymarły - powiedziała protekcyjnym tonem. Wymarły przed milionami lat. Niemożliwe, żeby jakiś przeżył aż do dzisiaj. Pomysł jest zupełnie absurdalny.

- Posłuchaj - nalegał. - Nie twierdę, że Penward kryje w swoim zoo akurat dinozaura, rozwijam tylko teorię, że może być to zwierzę w jakiś sposób przypominające dinozaura. Coś jak olbrzymia jaszczurka, czy może nawet dotychczas nieznanymi gatunek ssaka.

- Więc dlaczego trzyma to w sekrecie? - zapytała.

- A któż to wie. Może wywiózł to coś z jego rodzinnego kraju nielegalnie, a może dlatego, że jest typowym kolekcjonerem. To są typy obsesyjne: jak dorwą się do czegoś rzeczywiście rzadkiego, chcą to zachować tylko dla siebie. Szczególnie, gdy ich prawo własności jest wątpliwe. Jeżeli Penward naprawdę ma jakiś rzadki okaz nieznanymi nauce, to każdy zoolog na świecie będzie się o ten okaz upominał.

Jenny milczała przez chwilę, wreszcie odezwała się: - No dobrze. Przyznaję, że brzmi to logicznie, ale nierealnie. Nie masz dowodów lecz tylko jakieś dzikie teorie i słowa biednego dziecka, po straszliwych przeżyciach.

- Och, znajdę na to dowody - powiedział pewnym tonem. - Nawet jeżeli będę musiał włączyć się do tego cholernego zoo Penwarda, żeby je znaleźć.

Rozdział VI

- Nie mogę uwierzyć w to, że nic mu za to nie zrobią - wymamrotał Pascal.

- To ważne oświadczenie, chłopcze - odparł John McGibbon, nalewając sobie nieco wody do swojej podwójnej szkockiej.
- Na tym świecie są ludzie, którym wszystko ujdzie na sucho. I jednym z nich jest sir Penward.

Znajdowali się w Green Man, ich lokalnym pubie i pili coś co niesłusznie nazywano „szybkim drinkiem po pracy”. W rzeczywistości zanosilo się na to, że Pascal spędzi tam jeszcze następną godzinę, zaś McGibbon nie wyjdzie stamtąd aż do zamknięcia, jak zwykle zresztą.

Mijały właśnie dwa tygodnie od ucieczki tygrysa z zoo Penwarda i osobliwego polowania. Zastępy dziennikarzy i ekipy telewizyjne, jakie przewinęły się przez Warchester już dawno odjechały, ale sprawa wciąż żyła w środkach masowego przekazu. Ostatnie wiadomości brzmiały, że Stanley Pitt zgodził się nie wnosić przeciwko sir Penwardowi do sądu sprawy o zaniedbanie, chociaż jeszcze parę dni temu oznajmił prasie, że nie spocznie, dopóki nie doprowadzi do skazania i zamknięcia jego zoo.

- Najwidoczniej ktoś na niego naciskał, by się wycofał - powiedział McGibbon.

- Na Pitta? - zdziwił się Pascal. - On jest członkiem parlamentu. I to konserwatystą, na miły Bóg. Jeżeli ktokolwiek ma wpływy, to właśnie on.

McGibbon zachichotał i jednym haustem opróżnił szklanekę. Przywołując barmankę, powiedział - nie miej mi za złe, ale jesteś

jeszcze strasznie naiwny, jeżeli chodzi o realia życia.

- Na przykład? - zapytał Pascal lekko urażony.

- Na przykład, jesteś naiwny, jeżeli sądzisz, że politycy trzymają całą władzę w kraju. Możemy żyć w latach 80-tych, ale Brytania nie zmieniła się aż tak bardzo. Większość prawdziwej władzy i bogactwa znajduje się w rękach niewielu rodzin. Aristokracja brytyjska jest tak samo silna jak była. I tylko nie mówi się o tym tak głośno jak kiedyś.

- Daj spokój... - uśmiechnął się Pascal.

- Nie przesadzam, wierz mi. A sir Penward jest jednym z najbogatszych ludzi w Anglii. Jego rodzina jest właścicielem kawałków Kanady, Południowej Afryki, Australii i Bóg wie czego jeszcze.

- To, że ktoś jest bardzo bogaty nie znaczy, że może przekupywać prawo. A przynajmniej nie w Anglii.

McGibbon spojrział na niego ze smutkiem. - Boże, ileż ty jeszcze musisz się nauczyć. Ale w przypadku Penwarda to nie tylko pieniądze, to także powiązania. A on ma potężnych przyjaciół. Aristokraci trzymają się razem. Jak któryś ma kłopoty, obojętnie jak bardzo poważne, z miejsca zacieśniają szeregi. Weź na przykład lorda Lucana. W błyskawicznym zniknięciu mogli mu pomóc tylko wysoko postawieni przyjaciele.

Pascal bez przekonania kiwnął głową. - Nie mogą sobie wyobrazić, w jakim stopniu ci potężni przyjaciele mogli wpłynąć na opinię urzędników.

Urząd, odpowiedzialny za bezpieczeństwo w prywatnych ogrodach zoologicznych w Anglii wezwał Penwarda przed sąd, ale wycofał sprawę po inspekcji przeprowadzonej przez swych przedstawicieli w wybiegu dla tygrysów. Orzeczenie brzmiało, iż wybieg ten odpowiada normom bezpieczeństwa, a fakt ucieczki nie jest winą sir Penwarda.

- Sugerujesz...?

- Ależ ja nic nie sugeruję, ja tylko chcę ci uzmysłwić jak daleko sięgają wpływy Penwarda - odparł chytrze McGibbon.

- I myślisz, że jakoś nacisnął Pitta, by ten odstąpił od roszczeń wobec niego? Jak?

- Któż to wie. Ale powiem ci coś. Wiesz, że Penward obiecał zwiększyć nakłady na bezpieczeństwo wokół swojej posiadłości pomimo, że nie miał takiego obowiązku?

- Tak. Wspomnieliśmy o tym w gazecie. Powiedział, że zainstaluje podwójny rząd płotów wokół całej swojej posiadłości. A wewnętrzny zostanie podłączony do prądu. Dla pewności, że nawet jeżeli jakieś zwierzę wydostanie się z zoo, to nie będzie mogło wydostać się z posiadłości. Twierdzi, że kosztuje go to fortunę.

- Tak jest. A zgadnij, czyja firma dostała kontrakt na środki bezpieczeństwa? - zapytał McGibbon.

- Chyba nie Pitta? - powiedział zdumiony Pascal.

- Właśnie jego.

- Boże, to znaczy, że Pitt dał się podkupić przez Penwarda? Ale jego syn został zabity przez to zwierzę.

- Pitt jest przede wszystkim człowiekiem biznesu. Ktoś musiał mu widocznie szepnąć na ucho, że to wielka szansa, wybór pomiędzy wielką marchwią, a dużym kijem... Wybrał marchew. Doskonale sobie zdaje sprawę z tego, że jednym kichnięciem Penward mógłby go finansowo zdmuchnąć z powierzchni...

Pascal pokręcił głową z dezaprobatą. - Penward doszedł także do porozumienia z rodzinami ofiar. Zaofiarował ogromne zadośćuczynienie finansowe, na które wszyscy przystali, nawet pan Smythe-Gravers... No i udało mu się wygładzić nastroszone piórka inspektora Bodycombe'a - powiedział z niechętnym podziwem w głosie McGibbon - co musiało nie być zbyt łatwe. Inspektor ze swoimi ludźmi wyszedł na głupka...

- Wiem. I nie mogę zrozumieć, dlaczego Bodycombe pozwała sprawę odłożyć ad acta. Wiem przecież, że Penward zwlekał z powiadomieniem policji o ucieczce zwierzęcia, i że zatarł ślady na fermie.

McGibbon potarł palcem koniuszek swego czerwonego nosa i odezwał się cicho. - Słyszałem plotki, że również wobec Bodycombe'a zastosowano metodę kija i marchewki.

- Chcesz powiedzieć, że Penward przekupił inspektora? - zapytał Pascal zaszokowany.

- Nie. Niezupełnie. Powiedzmy, że dano mu do zrozumienia, że jego perspektywy awansu lepiej będą wyglądały, gdy zapomni o całej sprawie. Gdyby zaś nie zdołał zapomnieć, jego kariera mogłaby się nagle skończyć. Jest parę spraw z przeszłości inspektora, które nie powinny być wywleczone na światło dzienne. Mówiono mi, że niegdyś powziął parę nierozważnych decyzji...

Pascal spoglądał na McGibbona z respektem. - A gdzie ty się tego wszystkiego dowiedziałeś?

- Och, tu i ówdzie - odparł McGibbon nonszalancko. - Ludzie mi opowiadają różne rzeczy. Głównie dlatego, że nie traktują mnie poważnie. A przynajmniej nie jako dziennikarza.

- Słuchaj - powiedział z zapalem Pascal. - Czemu nie napiszemy o tym wszystkim? Z twoimi i moimi wiadomościami, moglibyśmy nieźle namieszać. A w rezultacie moglibyśmy zmusić Penwarda do zamknięcia zoo. Może udało mu się przekupić tych idiotów, co zarządzają miastem, ale całe mnóstwo ludzi boi się, że znów jakieś zwierzę mogłoby uciec, bez względu na to ile płotów tam będzie.

McGibbon pokręcił głową. - Nie licz na mnie. Nie mam wiele, ale nie myślę stracić i to przez uwikłanie się w beznadziejną sprawę. I tobie radzę postąpić podobnie. Nie rozumiem, dlaczego obsesyjnie trzymasz się tej sprawy, tak jakbyś miał osobiste

anse do Penwarda. Ale tracisz czas. Nie wygrasz z kimś takim jak on, możesz mi wierzyć.

- Zobaczmy - odparł Pascal zawiedziony. Dokończył drinka i zamówił następnego. Zapatrzył się smętnie w szklanekę.

Pascal nie porzucił podejrzeń, że zwierzę, które uciekło z zoo i zabiło sześć osób, nie było tygrysem. Nawet mimo tego, że zaraz następnego dnia Penward pokazał prasie ciało zabitej dużej samicy tygrysa syberyjskiego. Została zabita strzałem w głowę. Z pewnością Penward przeprowadził egzekucję osobiście pomimo, że wychował tygrysię, zwaną Pochontas, od małego. Subtelnie uzmysłowiono dziennikarzom ogromną wartość tygrysa, co podniosło czyn sir Penwarda do rangi niemal bohaterskiego poświęcenia.

Nie przekonało to Pascala. Trzeba by przeprowadzić analizę zawartości żołądka tygrysa, aby stwierdzić, że to to samo zwierzę, które zjadło dwoje ludzi i kucyka, lecz oczywiście nikt z władz nie zażądał sekcji. I dlaczego mieliby czegoś takiego żądać? Jedyłą osobą podejrzewającą Penwarda o podmienienie zwierząt był Pascal, lecz dopóki nie miał dowodów na podtrzymywanie tej tezy - wiedział, że nie było sensu nikogo o tym powiadamiać.

Jak dotychczas, jego wysiłki zmierzające do zdobycia dowodów, utknęły w miejscu. Nie miał szczęścia próbując dostać się do zoo Penwarda po wypadku. Nie zezwolono mu nawet przyłączyć się do innych reporterów, zaproszonych do Penward Hall by obejrzeć ciało tygrysa. Oczywiście próbował wejść, ale został zatrzymany tuż przy samej bramie przez dwóch ludzi Penwarda. Ludzie ci poinformowali go, ku jego irytacji, że „Warchester Times” nie znajduje się na liście, którą otrzymali, więc nie mogą go wpuścić. Na próżno próbował ich przekonać, że reporter z lokalnej gazety na pewno ma więcej prawa do wejścia niż obcy; nie spotkał się jednak ze zrozumieniem.

Następnego dnia zadzwonił więc do sekretarza Penwarda, człowieka o nazwisku Charles Pearson i poprosił o osobisty wywiad z sir Penwardem. Pearson obiecał oddzwonić. W rezultacie 20 minut później, Brownlowe wezwał go do swojego gabinetu i zażądał wytłumaczenia, co miały znaczyć te wygłupy z sir Penwardem. Najspokojniej, jak tylko mógł, Pascal wyjaśnił, że czytelnicy Timesa mogą być zainteresowani tragedią Penwarda opowiedzianą jego własnymi słowami. Był im to winien, ale było to gadanie jak do słupa... Brownlowe zareagował bez zrozumienia. - Z tobą chyba coś nie w porządku, Pascal, jak możesz prześladować sir Penwarda w takiej sytuacji.

Pascal już otwierał usta, żeby powiedzieć, że na tym polega praca dziennikarza, żeby prześladować ludzi takich jak Penward i w takiej jak ta sytuacji, ale poczuł, że byłoby to stratą energii. Zamiast tego po prostu wymamrotał. - To chyba wpływ upalów, szefie, przepraszam... - i wyszedł z biura.

Nie widział sposobu, żeby rozglądnąć się po zoo. Nie mógł tam po prostu wejść, bowiem po wypadku, zostało zamknięte na czas nieokreślony. A z jego przechwałek przed Jenny, że się tam wkradnie, też nic nie wyszło, bo właśnie budowano dodatkowe płoty...

Pascal usiłował wymyślić jakiś inny sposób prowadzenia śledztwa. Najlepszym wyjściem byłoby przepytanie małego Simona, ale było to niemożliwe bowiem zrozpaczony ojciec zabrał go gdzieś do krewnych w Devon. Zresztą wątpił, żeby mu w ogóle pozwolono rozmawiać z chłopcem.

W końcu została mu jedna możliwość i tę postanowił wprowadzić w życie jeszcze tej nocy...

- Spójrz, to Jenny.

Słowa McGibbona wyrwały go z zadumy. Rozejrzawszy się, ujrzał Jenny wkraczającą do baru. Towarzyszył jej Tony Chilton, młody dyrektor jednego z lokalnych banków.

Ostatnio ku wielkiej irytacji Palcata coraz częściej widywano ich razem. Jenny poznała go sześć miesięcy temu w swoim klubie tenisowym i zawsze twierdziła, że jest tylko znajomym. Teraz wyglądało na to, że ich znajomość zmieniła się w coś poważniejszego. Pascal wiedział, że po zerwaniu nie miał do niej prawa, ale to nie zlikwidowało bolesnego uczucia zazdrości ilekroć ich razem widział.

- Wybacz moje pytanie - odezwał się McGibbon. - Ale co jest z wami. Przez jakiś czas wydawało mi się, że coś was łączy, a potem nagle wszystko się skończyło.

- Och, między nami... - To był przypadek - szybko odpowiedział Pascal, nie chcąc się nad tym rozwodzić. - Nic poważnego.

McGibbon pokręcił głową. - Jeżeli pozwolisz sobie coś powiedzieć, to dając jej się wymknąć robisz poważny błąd. Takie dziewczyny jak Jenny pojawiają się w życiu tylko raz i to tylko przy dużym szczęściu.

- Raz wystarczy wymamrotał Pascal obserwując ją kątem oka. Stała przy drugim końcu baru, śmiejąc się z czegoś, co powiedział Chilton. Nieznośne było już to, że Chilton był opalonym, atletycznie wyglądającym typem, ale jeszcze gorsze było, że potrafił rozśmieszyć Jenny...

Stosunki między Pascalem, a Jenny były chłodniejsze od czasu afery z tygrysem, nie przebaczyła mu bowiem jego postępków wobec Simona Smythe-Gravesa, ale również dlatego, że od tego czasu skrzętnie omijał w rozmowach z nią temat swoich teorii dotyczących ucieczki zwierzęcia. Właściwie nawet żałował, że w ogóle o tym z nią rozmawiał. Gdyby jego przeczucia się sprawdziły, byłby na tropie największej sensacji dekady i nie podobał mu się pomysł dzielenia się tym z Jenny.

Znowu się roześmiała. Najwidoczniej Chilton był bankowym odpowiednikiem Monty Pythona. Ten widok pomógł Pascalowi

powziąć decyzję. Szybko dopił drinka i powiedział: - muszę lecieć, Johnny. Mam jeszcze coś do załatwienia, zanim pójdę do domu.

McGibbon uniósł brwi ze zdziwienia. - Chyba nie sprawy gazety? Miałem wrażenie, że wyleczyłem cię z tych brzydkich przyzwyczajień...

- Nie, to czysto prywatna sprawa. Do jutra.

Wychodząc, zignorował Jenny, mając cichą nadzieję, że go zawoła. Ale nie zrobiła tego. Wsiadając do swojej poobijanej Cortiny pomyślał, że nawet go pewnie nie zauważyła, gdy wychodził z baru.

Parę minut później jechał już na przedmieścia Warchester. Jego celem był pub „Phoenix Arms” - miejsce spotkań ludzi Penwarda.

Rozdział VII

Pascal rzadko bywał w „Phoenix Arms”. Nie przepadał za tym pubem. Zazwyczaj pełno tam było hałaśliwych bohaterów, znawców wędkarstwa i polowań, bogatych farmerów i tym podobnych. Obsługa także była znana z chamstwa wobec każdego, kto nie był stałym bywalcem. Nie przepuścili takiemu żadnej okazji by dać odczuć, że jest tu intruzem.

Pascal, gdy tylko wszedł, z zadowoleniem zauważył czterech pracowników Penwarda. Można ich było rozpoznać z daleka, nawet w ubraniach cywilnych. Jak zwykle, stali nieco na uboczu i rozmawiali między sobą.

Pascal przyglądał im się z zainteresowaniem, zamówiwszy kufel Guinnessa u gburowatego barmana. Znowu poczuł się zafascynowany ich wielkim podobieństwem do siebie. Sprawiał to sposób, w jaki mieli obcięte włosy, muskularna budowa ciała i zdrowy wygląd całej sylwetki.

Wyglądają jakby powstałi w efekcie klonowania - pomyślał podchodząc do nich z kuflem.

- Przepraszam, że się wtrącam - odezwał się niewinnie - ale wy chyba jesteście z zoo, prawda?

Przerwali rozmowę i jednocześnie odwrócili się w jego stronę. Pod zimnym spojrzeniem czterech par oczu Pascal poczuł, że jego stanowczość się zachwiała.

Wreszcie jeden z nich odparł: - Tak, jesteśmy.

Ton jego głosu zdradzał nieodpowiedzialne - „a co ci do tego?”

Pascal nie ustępował. - Z tym tygrysem, to było okropne, nie? Całe szczęście, że go tak szybko złapaliście, przecież mógł pożreć o wiele więcej ofiar...

- Tak - cztery pary oczu obserwowały go chłodno.
- Rozumiem, że sir Penward sam osobiście zastrzelił zwierzaka - kontynuował Pascal.

- Tak - odparł ten, który rozmawiał dotychczas z Pascalem, jeśli to w ogóle można było nazwać rozmową.

Temperatura spotkania opadła jeszcze bardziej.

- Musiało to być dla niego bardzo trudne. Czytałem, że bardzo jest przywiązany do swoich kotów. To był bardzo cenny tygrys?

- Bardzo.

I znów zimna pytająca cisza. Pascal obdarzył ich swym najwdzięczniejszym z uśmiechów. - Czy to nie jest dziwne, że tygrys, urodzony i wychowany w niewoli, nagle staje się ludojadem?

- Nie, tygrysy są nieobliczalnymi zwierzętami. Są najgroźniejsze ze wszystkich wielkich kotów.

Pascal był pod wrażeniem; to było niemalże przemówienie. Zdecydował się zacząć z innej beczki. - Sir Penward musi wam dobrze płacić za pracę w tak ryzykownym miejscu...

- Praca dla sir Penwarda to przywilej - chłodno odparł rozmówca.

Pascal z trudem utrzymywał uśmiech na twarzy. Nie szło mu najlepiej.

W tym właśnie momencie, jakby wyczuwając jego myśli, jeden z tych czterech zmrużył oczy i niemal oskarżająco powiedział: - Poznaję cię, pracujesz dla gazety.

- Racja - odezwał się inny. - W dniu polowania był w lesie Ashton, a potem w domu Smythe-Gravesów. Z dziewczyną...

- Co ty knujesz? - szorstko zapytał jego rozmówca.

- Knuję? Ja nic nie knuję? - odparł Pascal z uśmiechem przyklejonym do warg. - Po prostu chciałem wam zadać parę pytań bo chcę napisać co nieco o waszym zoo...

- To najlepiej o tym rozmawiaj z sir Penwardem, a nie z nami. Znowu skrzyżowali spojrzenia i szybko dokończyli swoje drinki.

Pascal zorientował się, że zaraz wyjdą.

- Hej, zaczekajcie - prosił. - Nie odchodźcie jeszcze. Pozwólcie mi postawić wam jeszcze po drinku.

Postawili szklanki na kontuarze i ruszyli bez słowa, pozostawiając Pascala samemu sobie. Pozostali bywalcy spoglądali na tę scenę z zaciekawieniem. Czując się głupio, zaklął pod nosem. Jego wyprawa do „Phoenix Arms” była zupełną stratą czasu. Jedyne, co osiągnął, to niepotrzebne zwracanie na siebie uwagi.

Od strony parkingu doszedł go odgłos zapuszczanego silnika. Domyślił się, że to ich Land Rover. Ujrzał odbłask reflektorów na szybach oddalający się w stronę Penward Hall.

- To twój zwyczaj, co?

Odwrócił się i stanął oko w oko z właścicielem pubu. Był to wielki grubas o puciołowatej, czerwonej twarzy zaopatrzonej w potężne wąsiska. Odznaczał się szorstkim stylem bycia, słynnym w okolicy.

- Słucham? - zapytał Pascal.

- To twój zwyczaj przepłaszać klientów? - Jeżeli tak, to nie chcę cię tu więcej widzieć - mówił wystarczająco głośno, by być słyszany w całym barze.

Pascal zaczerwienił się ze wstydu. - Proszę się nie martwić - odpowiedział z największą dawką sarkazmu, na jaką mógł się zdobyć. - Właśnie wychodzę, już tu nie wrócę. Wypił resztę piwa z kufła i z impetem odstawił go na kontuar.

- Tego możesz być pewien! - krzyknął za nim właściciel, wzbudzając powszechną wesołość wśród klientów.

Wciąż kipiąc ze złości i wstydu, Pascal otworzył drzwi swego samochodu. Nie zauważył, że nie był sam na parkingu.

Pierwsze uderzenie zaskoczyło go zupełnie. Przez chwilę nie zdawał sobie sprawy co się stało; jedynie czego był pewien to silne uderzenie w tył głowy za prawym uchem. Moment później znalazł się na czworakach, z pulsującym bólem w głowie. Kiedy próbował się podnieść, ciężki bucior wylądował na jego lewym boku, powalając go na żwir.

Zdezorientowany doszedł po chwili do siebie. Przekręcił się, by przyjrzeć się napastnikowi, ale pociągnęło to za sobą następnego kopniaka. Czubek ciężkiego roboczego buciora uderzył go w brew nad prawym okiem. I pomimo, że na razie nie czuł bólu, wiedział, że długo będzie się leczył.

Leżąc na plecach spoglądał w nocne niebo. Feerie błysków w mózgu nasiliły się. Ogarnęła go niemoc. Był kompletnie bezbronny. Bezwolnie oczekiwał następnego kopnięcia.

Nie nastąpiło ono jednak. Zamiast niego, usłyszał chrzęst żwiru na parkingu, pod oddalającymi się, podwójnymi krokami. Słyszał jak ze żwiru ścieżki kroki przeniosły się na bitumiczną nawierzchnię drogi. Zaraz potem otworzono drzwi i rozległ się odgłos silnika samochodowego. Dźwięk był znajomy.

Zrozumiał, że ludzie Penwarda, odjechawszy kawałek, zatrzymali się i dwóch z nich wróciło, by na niego zaczekać w ciemności na parkingu.

Wolno usiadł i począł obmacywać ciało, by ocenić jak bardzo ucierpiał. Wciąż nie czuł bólu, ale wiedział, iż nie obejdzie się bez zimnych kompresów. Dotknął twarzy i odkrył, że była zalana krwią. Już robiła mu się ogromna śliwa pod prawą brwią i oko poczęło puchnąć. Ale najbardziej niepokojący był pomarańczowy błysk wewnątrz oka. - Czyżby została uszkodzona siatkówka? Usiłował sobie przypomnieć czy może to automatycznie oznaczać ślepotę.

Wstał i oparł się o bok samochodu. Zastanawiał się, czy nie wrócić do pubu po pomoc. Jednak, pamiętając swoje rozstanie z właścicielem pubu, zdecydował się nie wracać. Wgramolił się do

samochodu, zastanawiając się, czy będzie w stanie go prowadzić w drodze do miasta. Nie czuł zawrotów głowy i na lewe oko widział dobrze, więc zdecydował się spróbować. Czuł dziwny spokój, jadąc pustą drogą w stronę Warchester, mimo, że z rozcięcia nad brwią wciąż sączyła się krew, a prawa strona głowy zaczynała boleśnie pulsować. Jedyne, co go obchodziło w tej chwili, to ewentualne kłopoty, na jakie mógł być narażony.

Znajdował się w lekkim szoku.

Gdy wjechał do miasta, pomyślał, że nie byłoby rozsądnym jechać wprost do domu. Nie chciał denerwować matki swoim wyglądem. Zdecydował się zejść do redakcji i umyć się. Potem będzie mógł zejść do szpitala na opatrunek i wreszcie zadzwonić do matki.

Gdy parkował przed redakcją, prawe oko było zupełnie zapuchnięte, a pomarańczowy błysk wewnątrz pulsował coraz silniej. No tak pomyślał - to załatwia sprawę. Będzie musiał odwiedzić szpital.

Wyłączwszy alarm przeciwwłamaniowy, wszedł do zagrożonego w ciemnościach biura. Skierował się ku tyłowi budynku. Nie chciał zapalać świateł, by nie zwabić przyjaciół z pobliskiego komisariatu. Odpowiadanie na kłopotliwe pytania byłoby ostatnią rzeczą na jaką miał w tej chwili ochotę.

Mijając gabinet Brownlowe'a pomyślał, że lewe oko także zaczyna szwankować, bowiem ujrzał blask świateł spod drzwi. Przyjrzawszy się uważniej, zrozumiał, że światło rzeczywiście paliło się w biurze. Zdumiony, że pryncypał pracuje tak późno, szczególnie iż wiedział, że to nie leży w jego zwyczaju, otworzył drzwi - i doznał następnego szoku tego wieczoru.

Opodał biurka Brownlowe'a klęczała naga Jenny podpierając się rękoma. Za nią - także nagi, obejmował ją w pasie Tony Chilton.

Energicznymi ruchami ciała wbijał się w nią, za każdym pchnięciem powodując niemalże utratę równowagi Jenny. Ona zaś, każdorazowo wydawała z siebie niski, zwierzęcy niemal jęk rozkoszy. Pascal nie słyszał, by się tak przy nim zachowywała.

Stał, nie wierząc w to co ujrzał. Jego świadomość broniła się przed zaaprobowaniem widoku. Czas jakby się zatrzymał. Akt przedłużał się w nieskończoność. I nagle Chilton otworzył oczy i ujrzał go. Lekko rozchylone usta otworzyły się mocniej. Znieruchomiał i milcząc spoglądał na Pascala.

Czując, że coś jest nie tak, Jenny podniosła głowę, zerknęła, mając jeszcze zamglone rozkoszą oczy. Krzyknęła.

Pascal był tak zaskoczony widokiem Jenny i Chiltona, że zupełnie zapomniał o swoim wyglądzie. Dopiero jej krzyk uzmysłowił mu jak musi wyglądać z zakrwawioną twarzą, ze strużkami z pękniętego łuku brwiowego.

Niepewnie podniósł dłoń, mówiąc: wszystko w porządku... - To tylko tak groźnie wygląda. W tym momencie nogi ugięły się pod nim i upadł twarzą do przodu. Ostatnią jego myślą przed zemdleniem było to, że pobrudzi krwią dywan Brownlowe'a.

Gdy Pascal oprzytomniał, leżał na kanapie w biurze szefa. Jenny pochylała się nad nim z mokrą szmatką poplamioną krwią. Chilton, czując się nieswojo, stał w głębi gabinetu. Oboje z Jenny byli już ubrani.

Pascal usiadł i jęknął. Czuł się fatalnie. Pulsowanie w głowie stało się o wiele silniejsze, czuł też ostry ból w lewym boku.

- David! Co ci się stało! - Jenny uniosła głos. - Miałeś wypadek?

- Nie - wymamrotał. - To była bójka. Rodzaj bójki. Powinnaś zobaczyć tamtych chłopaków. Ani draśnięcia - usiłował spojrzeć na zegarek, bez skutku. - Która godzina?

- Kwadrans po jedenastej. Bileś się? Z kim?
- A tego właśnie nie wiem.
- Powinniśmy go zawieść do szpitala. To pęknięcie nad okiem musi być moim zdaniem zszyte - odezwał się Chilton.

Pascal posłał mu dzikie spojrzenie. - Spływaj do domu. - Jesteś na pewno bardzo zmęczony po takim wysiłku.

Twarz Chiltona pociemniała, ale nie odezwał się więcej.

- On ma rację, David - powiedziała Jenny. - Musimy cię zawieść do szpitala. Wyglądasz strasznie.

- Sam tam pojedę powiedział, wstając z kanapy.

Pokój zawirował.

- Nie jesteś w stanie sam jechać. Powiedz mu, Tony...
- Tony może swoje rady zachować dla siebie. Idę do łazienki - zataczając się lekko, przeszedł obok Jenny i wyszedł z biura.

Prawie zemdlał, ujrzawszy swoją twarz w lustrze. Wyglądał, jakby przeleciał przez przednią szybę samochodu. I to podwójną. Oczy miał podbite, nos zapuchnięty i krwawiący, zaś cała prawa strona twarzy była nabrzmiąta niczym nadmuchiwana zabawka. Najgorzej wyglądało głębokie pęknięcie nad prawym okiem, z którego nadal ciekła krew.

Rozpiąwszy koszulę, sprawdził bok. Silne stłuczenie biegło w poprzek żeber. Westchnął. To by było na tyle, jeżeli chodzi o dotychczasowe rezultaty jego prywatnego śledztwa.

Gdy wrócił do biura, Jenny i Chilton byli w trakcie szeptanej dyskusji. Gdy wszedł, raptownie umilkli, odwróciwszy się ku niemu. Pascal zauważył, że Jenny miała na tyle poczucia przyzwoitości, aby zrobić zawstydzoną minę. Chilton dla odmiany, odzyskał już część swojej pozy.

- Zabieram cię do szpitala - powiedziała Jenny.
- Nie ma potrzeby. Sam mogę pojechać. Wy możecie zostać i dokończyć to, co robiliście.

Jenny wzdygnęła się. Chilton zapytał szybko: jesteś pewna, że nie mam zostać?

- Nie. Wszystko w porządku. Możesz iść.

Okay. Uważaj na siebie - pocałował ją w policzek. - Zadzwo-
nię do ciebie rano.

- Tak, zrób to - powiedział Pascal sarkastycznie.

Chilton posłał mu wrogie spojrzenie i już otwierał usta, by
coś powiedzieć, rozmyślił się jednak. Kiwnąwszy Jenny głową na
pożegnanie, wyszedł spieszenie z redakcji.

Gdy zostali sami, Pascal powiedział: Myślę, że miałem szczę-
ście, że mi nie przyłożył. Jest wielki. I w dobrej kondycji. Z pew-
nością dzięki regularnej grze w tenisa.

Jenny westchnęła: - Ty nic nie rozumiesz...

Usiłował się roześmiać, nie udało mu się.

- Ja nie rozumiem... Mój Boże! Może jestem ślepy na jedno
oko, ale zdołałem zauważyć, co robiliście. I nie przypominało to
ćwiczenia backhandu!

W szpitalu założono Pascalowi trzy szwy na łuk brwiowy,
sprawdzono zębra i prześwietlono głowę. Na szczęście nie było
żadnego złamania. A gdy okazało się, że siatkówka prawego oka
nie jest odklejona, poczuł jeszcze większą ulgę.

- Te błyski w oku są wynikiem podrażnienia nerwu wzroko-
wego - powiedział mu lekarz. - To przejściowy stan, ale może
utrzymywać się parę dni.

Jenny nalegała, by zawieźć go do domu.

Zapytała w drodze: - Powiesz mi w końcu, co się naprawdę
stało?

- Mówiłem ci już. Miałem bójkę.

- Ale z kim?

- Z dwoma takimi, którzy są w tym ode mnie lepsi.

- Nie chcesz mi powiedzieć?

- Nie.

Przez chwilę jechali w milczeniu. Słuchaj. Jeżeli chodzi o To-
nyego i mnie...

- Wiem. Nie trudź się tłumaczeniem. Jesteście tylko dobrymi przyjaciółmi. BARDZO dobrymi przyjaciółmi. Nie zniósłbym myśli, że robiłaś to wszystko dla zabezpieczenia rachunku bez pokrycia...

- Jeżeli tak sądzisz to nie ma sensu dłużej rozmawiać.
- Masz rację.

Spoglądał przez okno mając w głowie kompletny chaos. Teraz, gdy obawa o oko znikła, poczuł, że zaczyna go ogarniać tępe uczucie złości. Wypadki potoczyły się tej nocy tak, że wyszedł na idiotę: ostatni dureń pobity przez dwóch neandertalczyków. A na deser mimowolny udział w live show urządzonym przez tych dwoje w gabinecie szefa... To prawda, że w rzeczywistości Jenny była jego ex-dziewczyną, ale ten fakt wcale nie zmniejszał uczucia dotkliwego upokorzenia.

Pascal bardzo chciał się odegrać. Chciał skrócić Tony'emu Chiltonowi kark, ale przede wszystkim pragnął dorwać się do sir Darrena Penwarda. Stał się on symbolem wszelkiego zła, jakie przytrafiło się w życiu Pascala. Tak czy inaczej, zdecydował, że zrukuje to małe imperium, bez względu na cenę, jaką mu przyjdzie za to zapłacić. Zrobi to, nawet gdyby miał zginąć.

Rozdział VIII

Dinozaury były wymarłym gatunkiem.

Pascal musiał stawić czoła temu faktowi, po spędzeniu całego tygodnia swojej rekonwalescencji na studiowaniu wszystkich dostępnych pozycji na ten temat, jakie jego matce udało się dla niego wypożyczyć z biblioteki, gdzie pracowała na pół etatu. Wszystkie książki mówiły to samo: dinozaury wymarły około 65 milionów lat temu. Badania skamielin potwierdzają tę tezę. Prawdopodobieństwo, że jakikolwiek gatunek dinozaurów mógł przetrwać do dnia dzisiejszego nie wchodził w grę.

- Skąd to nagle zainteresowanie paleontologią? - zapytała go matka któregoś dnia, gdy siedzieli w ogrodzie za domem. Była to wysoka, szczupła kobieta, około 50-ki. Niegdyś nauczycielka, lecz komplikacje zdrowotne zmusiły ją do przedwczesnego przejścia na emeryturę. Posiadała niesłychaną umiejętność odgadywania prawdy, kiedy usiłował coś przed nią ukryć.

- Noszę się z zamiarem napisania artykułu o dinozaurach - odparł ostrożnie. - Wiesz, coś na sezon ogórkowy.

Pokiwała głową z aprobatą - dobry pomysł. Warchester ma wiele historycznych związków z dinozaurami.

- Naprawdę? - zapytał zdumiony.

- Myślałam, że wiesz. Teren był bardzo bogaty w skamieliny dinozaurów. Pierwsze skamieliny, jakie znaleziono w tym kraju, w XVII wieku, pochodziły właśnie z Warchester. Odkryto je w kamieniołomie. Oczywiście, nikt w owych czasach nie wiedział, co to było. Jedna z teorii głosiła, że odkryto pozostałości wielkoludów... - roześmiała się. - Kości były pozostałością dinozaura

znanego jako megalosaurus, jednego z pierwszych wielkich carnosaurów.

- Bardzo dużo wiesz na ten temat - powiedział Pascal zdziwiony.

- Nie ma się czemu dziwić. Regularnie zabierałam moich uczniów do kamieniołomów. W XIX wieku odkryto tam mnóstwo nowych skamielin i przez jakiś czas był on z tego słynny. W latach 50-tych XIX wieku panowało ogromne zainteresowanie dinozaurami i Warchester stało się mekką poszukiwaczy-amatorów.

- To interesujące - powiedział wolno, zastanawiając się, czy miało to jakieś znaczenie, czy też był to tylko dziwny zbieg okoliczności. - Gdzie jeszcze, oprócz kamieniołomu, odkryto te skamieliny?

- Całe mnóstwo było w kopalni gliny, która zaopatrywała starą cegielnię Penwardów. Glina z Cambridgeshire i Bedfordshire była morskim osadem z późnego okresu jurajskiego i zawierała dużo skamielin. Większość z nich to gady morskie, takie jak plezjozaury, które nie są formalnie dinozaurami, ale wiele skamielin dinozaurów zostało odkrytych w kopalni... Te pochodziły najprawdopodobniej ze szkieletów dinozaurów, które spłynęły rzeką do morza...

Przewracał strony książki, dopóki nie natknął się na kolorową planszę z plezjozaurem. Był to stwór o długiej szyi i czterech dużych płetwach. Podobny do popularnego wizerunku potwora z Loch Ness. Pokazał go matce: - Zawsze myślałem, że to były dinozaury.

Pokręciła głową: - bez wątplenia miały wspólnego przodka, ale stanowią odrębną grupę. Dinozaury są specyficzną klasą gadów lądowych i są rozpoznawalne poprzez budowę czaszki i kończyn. Te były najdoskonalej ukształtowane, że tak powiem, ze wszystkich lądowych gadów i dlatego tak im się powiodło. I to przez tak długi czas.

- 140 milionów lat, tak piszą - Pascal stuknął w książkę. - To cholernie długo. A jednak nie zostało po nich nic, oprócz starych kości - zauważył.

- Może nie tak zupełnie, jak mówisz - powiedziała matka.

- Co masz na myśli? - zapytał unosząc brwi.

- To, że niektórzy naukowcy uważają, że ptaki ewoluowały z jednego z gatunków dinozaurów. Jeżeli to prawda, to dinozaury są wśród nas.

- Och - westchnął zawiedziony. Spojrzał na wróbla skaczącego po ogrodowym murze. Wydawało się absurdalnym, żeby to niegroźne małe stworzenie mogło być w linii prostej potomkiem dinozaurów. No, ale równie absurdalnym wydawało się, że ten uroczy ogródek z krzakami róż i rozstawionymi leżakami, był niegdyś dnem pradawnego morza. I nagle zdał sobie sprawę z okropnej tymczasowości jaka panowała wszędzie. To tak trwale wyglądające otoczenie istniało i będzie istniało z geologicznego punktu widzenia jedynie przez ułamek sekundy. Ta myśl przeszła go lekkim chłodem.

- A kiedy ostatnio ktokolwiek tu coś odkrył?

- Och, minęło już parę lat. Ludzie jednak wciąż znajdują jakieś skamieliny w kamieniołomie. Kawałki zębów i tym podobne. Nie wiem, jak z kopalnią gliny. Została zamknięta około 15 lat temu. Ale wydaje mi się, że ostatnie większe odkrycie miało tam miejsce w latach dwudziestych naszego wieku. I dokonał go dziadek sir Penwarda - Oswald. Sir Oswald był zapalonym paleontologiem amatorem i stworzył całkiem pokaźną kolekcję szkieletów dinozaurów. Swego czasu we dworze była wystawa. Pamiętam, że widziałam ją jako dziewczynka. Jeden Bóg wie, co się stało z eksponatami. Myślę, że po śmierci sir Oswalda zostały przesłane do muzeum. A może wciąż są gdzieś na terenie posiadłości.

- To coraz ciekawsze - wymamrotał Pascal, zastanawiając się, czy był to dziwny zbieg okoliczności, czy też sam sobie stworzył historie, które nie istniały.

- A przy okazji, kochanie, wcale nie jesteś jedynym w tym mieście, który interesuje się dinozaurami - powiedziała jego matka.

Wyprostował się na leżaku: - Nie jestem jedyny?

- Nie. Twoja przyjaciółka, Jenny, była dzisiaj rano w bibliotece w poszukiwaniu książek o dinozaurach. Powiedziałam jej, że ty masz wszystkie. I wcale nie wydawała się zdziwiona...

Założę się, że nie - pomyślał ze złością. - Ona pomaga mi przy artykule - powiedział szybko. - Muszę do niej zadzwonić i powiedzieć jej, że mam wystarczająco dużo materiałów, i że nie musi się już o to martwić.

- To taka śliczna dziewczyna.

- Kto taki? - zapytał.

- Jenny, oczywiście.

- A... tak - zmarszczył brwi.

A więc nie zapomniała o jego teorii, mimo że nie poruszali tego tematu od dnia masakry. Prowadziła za to śledztwo na własną rękę...

- Nie przyprowadzasz jej tu już od wieków. Nie mówisz o niej więcej. Domyślam się, że nie jesteście już tak bliskimi przyjaciółmi?

Uśmiechnął się do siebie słysząc tak wyszukany dobór słów.

- Nie - powiedział. - Nie jesteśmy.

- Co się stało? Klótnia?

Westchnął. - Tak.

Nie chciał tego z nią omawiać.

- I to wszystko? Nie powiesz mi nic więcej?

- Wolalbym nie, jeżeli pozwolisz.

Ze smutkiem pokręciła głową. - Chciałabym, żebyś mi się zwierzył, David. Niewiele ostatnio ze sobą rozmawiamy.

Spojrzał na mizerną twarz matki. Wciąż widać było, że niegdyś musiała być bardzo piękną kobietą, ale teraz już poorana

zmarszczkami twarz była naznaczona nerwową troską, jaka towarzyszyła jej od czasu śmierci męża. To wtedy zaczęły się jej migreny. Odezwał się z poczuciem winy: - Nie mam się z czego zwierzać, wierz mi. Moje życie jest teraz szalenie nudne.

- Nudne? Ktoś cię przecież ciężko pobił. Nie nazwałabym tego nudnym. A poza tym, wciąż mi nie powiedziałaś, kto to zrobił.

- Mówiłem ci, że nie wiem. Nie widziałem ich twarzy. To się stało tak szybko.

- A nie podejrzewasz, dlaczego to zrobili?

- Pojęcia nie mam - odparł zakłopotany.

- Martwisz mnie, David. Nie chcę by cokolwiek ci się stało.

Wiesz, że zostałeś mi tylko ty...

Skrzywił się. Wiedział, że rozmowa skończy się tym stwierdzeniem. Odpowiedział sucho. - Nic mi się nie stanie. Odwrócił się do niej i udawał, że zainteresował go wróbel. Siedział teraz na murze, dziobiąc zawzięcie spoinę pomiędzy dwiema cegłami. Wreszcie ukazał się z pająkiem w dziobie. Zwycięski ptak odleciał na czubek muru i spokojnie przełknął ofiarę.

Pierwszym zadaniem Pascala po powrocie do gazety, było opisanie festynu kościelnego mającego się odbyć w najbliższą sobotę. Wprawdzie miał się on odbyć już parę tygodni temu, ale został odłożony ze względu na tragiczne zdarzenia.

Pascal przybył na festyn sfrustrowany i w złym nastroju. Nie miał zupełnie pomysłów na wytropienie prawdy o zbiegłym zwierzęciu Penwarda. Jedyнным sposobem na osiągnięcie celu było dostać się do zoo i zobaczyć na własne oczy... ale jak?

Dzień przedtem stracił parę ładnych godzin, spacerując wzdłuż wysokich płotów wokół posiadłości Penwarda. Ochrona, jak zauważył, została zwiększona. W regularnych odstępach zamontowano na płocie kamery telewizyjne. Były także inne

urządzenia, których nie znalazł, a poza tym wewnętrzne płoty miały przyłączone napisy ostrzegające przed napięciem. Najwyraźniej ekipa Stanleya Pitta doskonale wykonała swoją robotę.

Ale gdy tak obserwował te zabezpieczenia, Pascal nagle zdał sobie sprawę, że bardziej służą one zatrzymaniu ciekawskich poza posiadłością, niż utrzymaniu zwierząt wewnątrz.

Później, przejeżdżając obok farmy przylegającej do posiadłości Penwarda, zatrzymał się i podszedł do farmera naprawiającego pompę na jednym z pól. Farmer nie był zadowolony z tego, że ktoś mu przerywa pracę i odpowiadał na pytania Pascala z rosnącą irytacją. Nie, niczego dziwnego nie widział w posiadłości Penwarda; tak, odgłosy ryczących zwierząt były słyszalne bardzo często, zależnie od kierunku wiatru, i owszem niepokoiły zwierzęta na farmie, ale to się zdarzało od wielu lat. Zapachy z zoo też zawsze niepokoiły zwierzęta na farmie...

Gdy Pascal zapytał go, czy ostatnio nie słyszał jakiegoś głosu zwierzęcego, którego by nie znał, farmer spojrzał na niego jak na wariata. - O co panu chodzi? - zapytał.

- No, o zwierzę, które nie wydaje takiego głosu jak tygrys czy lew - powiedział bezsilnie Pascal - lub inne, jakie pan zazwyczaj stamtąd słyszał. Z trudem powstrzymał się od powiedzenia: „Ryku, jaki wydaje dinozaur”. - Jak, do diabła ryczał dinozaur? Nikt nie wiedział. Całkiem możliwe, że dinozaury nie wydawały w ogóle żadnego dźwięku. Wykopaliska nic o tym nie mówiły.

Szybko zakończył przepytывanie farmera i wrócił do samochodu, czując się głupio. W sytuacjach jak ta, miewał poważne wątpliwości co do sensu całej tej sprawy...

Dzień był upalny. Temperatura wynosiła około 25 stopni, więc gdy tylko dotarł na dziedziniec kościelny, od razu skierował się do namiotu z napojami. Był znużony i pełen urazy. Zoo Penwarda skrywało w sobie historię, która mogłaby być sensacją

dekady, a tymczasem on ma pisać o festynie kościelnym. To takie beznadziejne.

W namiocie było tłoczno. Większość tu obecnych Pascal znalazł, łącznie z fotografem gazety, Henry Watesem. Nie przepadał za nim. Był to mały, niezmordowany człowieczek około trzydziestki, którego zakres konwersacji obejmował tylko dwa tematy: seks i samochody. Ten ostatni temat był dla Pascala nużącym, zaś patologiczna obsesja seksu - niesmaczna. Każdy kto mówił tyle o seksie - swoim własnym czy też cudzym - i w dodatku z tak klinicznymi szczegółami, z pewnością miał jakieś problemy.

Wates podszedł do niego. Nieodłączny Canon wisiał mu na szyi, z kącika ust sterczał równie nieodłączny papieros. Ściskając w garści kufel piwa, przyjacielsko klepnął Pascala w ramię. - Cześć Davey, chłopcze - wykrzyknął, puszczając doń oko. - Ależ wyglądasz! Co się stało? Mąż wrócił zbyt wcześnie?

Pascal posłał mu zbołały uśmiech. Wates nie widział go od pamiętnej bójki. - Powinieneś mnie zobaczyć tydzień temu. Teraz wyglądam prawie jak człowiek.

I było to prawdą. Opuchlizna zeszła i jedyne, co pozostało, to siniaki dookoła prawego oka.

- A jak brzmi prawdziwa historia? - zapytał Wates, zniżając głos do konspiracyjnego szeptu. - Możesz zaufać staremu Henry'emu...

Pascal cierpliwie powtórzył to samo, co opowiadał wszystkim. Został napadnięty przez dwóch ludzi na parkingu „Phoenix Arms”. Nie znalazł ich, nie widział ich twarzy, ani nie zna przyczyny dla której go zaatakowali. Może pomylili go z kimś, a może byli pijani i musieli się na kimś wyżyć.

Wates był zawiedziony. - To wszystko?

- Obawiam się, że tak - powiedział Pascal. Rozejrzał się dookoła. Zmieniając temat zapytał czy coś ciekawego się tu wydarzyło?

- Żartujesz chyba. Jedynym ciekawym momentem było łapanie zębami wiszących jabłek. Trzeba było to widzieć. Napięcie było niesamowite.

Pascal zmusił się do śmiechu i poszedł kupić kufel piwa. Gdy wrócił, Wates był zajęty obserwowaniem żeńskiej połowy towarzystwa w namiocie, przy czym jego spojrzenia były coraz bardziej pożądliwe. Wyglądał jak mały, łysawy satyr. Pascal nie znał nikogo bardziej rażąco lubieżnego niż Wates, ale jakoś mu to uchodziło bezkarnie.

Zgodnie z przewidywaniami, Pascal musiał znieść całą litanię Watesa o seksualnych plusach i minusach obecnych tu kobiet, łącznie z detalami, które ponoć pochodziły z pierwszej ręki. Pascal dał sobie spokój z dociekaniem, ile w tych opowieściach jest prawdy, a ile fantazji. Musiał przyznać, że pomimo niepociągającego wyglądu, kobiety jednak zwracały uwagę na Watesa.

Podczas gdy Wates opowiadał, Pascal wrócił myślami do tematu, który zaprzętał jego umysł przez ostatnie parę tygodni. Tajemnicze zwierzę Penwarda. Gwałtownie jednak został przywołany do rzeczywistości przez Watesa, który ponownie stuknął go w ramię i powiedział: - Czy ty mnie w ogóle słuchasz, kolego? Powiedziałem, nie patrz teraz, ale Lady Kiel ma cię wyraźnie na oku...

- Słucham? - zapytał Pascal, zastanawiając się o co, do diabła chodzi Watesowi. - Lady Kiel?

- Jej Czcigodność - odszepnął niecierpliwie. - Wielka Dama, lady Penward we własnej osobie. Tam...

Pascal spojrział we wskazanym dyskretnie kierunku i ujrzał lady Jane Penward stojącą w odległości pięciu jardów i pijącą szampana z żoną burmistrza. Rzeczywiście, patrzyła na niego. Lecz gdy tylko ich spojrzenia się spotkały, odwróciła wzrok.

- Spodobałeś się jej, kolego - powiedział Wates półgębkiem.

- Nie gadaj bzdur - roześmiał się Pascal - najprawdopodobniej zastanawia się, kto mi podbił oko.

- Posłuchaj kolego, trudno nie dostrzec, co mówiło jej spojrzenie. Możesz mi wierzyć, masz u niej szanse.

- U lady Penward? - Pascala rozśmieszyła absurdalność pomysłu.

- Davey, nie mów mi, że nic o niej nie wiesz. Jest cholerną nimfomanką. Przelatuje chłopaków jak młockarnia, nie zostawiając nic, prócz kości i uśmiechu...

Pascal roześmiał się prosto w zarumienioną, przejętą twarz Watesa. - Przestań wierzyć we wszystko, co przeczytasz w wychodku.

- Ale to prawda - zaprotestował Wates. - Nie grasuje na własnym terenie, połowy przeprowadza poza Warchester. Cambridgeshire jest jej łowiskiem. Ma tam nawet mieszkanie. Zapytaj kogokolwiek, jeżeli mi nie wierzysz...

Pascal z zaciekawieniem spojrział ponownie na lady Penward, i znowu ich wzrok się spotkał. Czy była to wyobraźnia, podjudzona opowiadaniem Watesa, czy też naprawdę jej spojrzenie zatrzymało się na nim nieco dłużej? Słyszał, że jej małżeństwo z sir Penwardem było dalekie od sielanki i że brała sobie kochanków, ale zawsze był przekonany, że to tylko lokalne plotki. Nie znaczyło to, że byłby zdziwiony, gdyby naprawdę okazało się, że jej małżeństwo było nieszczęśliwe - być żoną sir Penwarda nie mogło być frajdą.

Widywał już lady Penward przedtem przy oficjalnych okazjach jak ta, ale nigdy nie zdarzyło mu się z nią rozmawiać. Teraz, po raz pierwszy złapał się na tym, że uważnie jej się przyglądał. Była frapującą kobietą. Raczej przystojna niż atrakcyjna. Wysoka, szczupła, trzymała się prosto. Włosy miała czarne jak węgiel, spadające luźno na ramiona. Twarz kanciastą o bardzo wystających kościach policzkowych. Oczy, jej największy atut,

były duże i pełne wyrazu. Gdy była poważna, jej twarz była surowa. Natomiast gdy się uśmiechała, twarz nabierała miękkich rysów i stawała się niemal piękna.

Podczas gdy kontynuował swoje oględziny, ona ponownie spojrzała na niego. Tym razem to on nie wytrzymał jej wzroku. Ale nie mylił się, w tym spojrzeniu było chłodne wyzwanie...

- Widzisz, mówiłem ci - zachrypiał Wates - jesteś w domu, koleś.

Czując się mile zaskoczony i dziecinnie podniecony, odezwał się bez zbytniego przekonania: - Dobra, dobra, to tylko twoja wyobraźnia. Z jakiegoż to powodu miałyby się mną interesować?

- Bo masz wygląd i młodość. Dlatego tyle czasu spędza w Cambridge. Chodzi jej o studentów...

- Nie jestem taki młody, mam 26 lat.

- Jeżeli dobija się do 40, jak ona, to twoje 26 jest kąskiem nie do pogardzenia. A poza tym, ze swoimi blond loczkami i błękitnymi oczami wyglądasz na mniej. Czasem nawet mnie się podobasz...

- Dzięki. Poprawiłeś mi humor - odparł Pascal ironicznie.

- I co z tym fantem zrobisz?

- Co zrobię? Zwariowałeś? Nic nie zrobię... - przerwał. Pomyśl jaki zaświtał w jego podświadomości, teraz przybrał realne kształty. Jego śmiałość aż go poraziła.

Ponownie spojrzał na lady Jane. Teraz ujrzał ją w innym świetle; jawiła mu się jako możliwe rozwiązanie dręczącego problemu.

Mogła zostać jego przepustką do zoo Penwarda.

Rozdział IX

Dinozaur uderzył swym dwutonowym cielskiem o tytanowe kraty, wydając z siebie gniewny ryk. Cały budynek zawibrował od tego dźwięku i uderzenia, ale kraty osadzone głęboko w betonie nawet nie drgnęły.

Zwierzę to było megalozaurom, przedstawicielem olbrzymich gadów, które opanowały tereny współczesnej Anglii i Francji w erze jurajskiej i po części w kredowej. Jego skóra była pokryta łuskami i miała jaskrawozielony kolor. Gdy potwór prostował masywny tułów, czubek jego dużej głowy znajdował się jakieś 10 stóp nad podłogą klatki.

Był to młody, dwuletni samiec, jeszcze nie całkiem wyrosnięty. Powodem jego agresywności była niemożność zaspokojenia popędu płciowego. Powodowało to, że zwierzę stało się bardziej rozdrażnione i niebezpieczne; bardziej nawet niż wtedy, gdy było głodne.

Dinozaur przeszedł do tyłu klatki i uderzył potężnym ogonem o ścianę. Budynek znowu zadrżał. Powtórzył się okropny, rozdzierający powietrze ryk furii, zmuszając dwu dozorców do zasłonięcia sobie uszu rękami.

- Jezu, co mu odbiło? - zapytał jeden z nich, gdy ucichło - dostał jedzenie godzinę temu.

- Może jest chory - powiedział drugi mężczyzna. - Zostawił dużo nietkniętego żarcia. Wskazał na trzy zakrwawione ciała owiec. Owce zostały zabite, ale tylko częściowo zjedzone.

- On nie zachowuje się jakby był chory - powiedział pierwszy mężczyzna, podchodząc bliżej krat. - Może boli go ząb.

- Uwważaj!

Uchylił się w samą porę. Dinozaur odwrócił się z zaskakującą szybkością i błyskawicznym ciosem uderzył spomiędzy krat przednią kończyną uzbrojoną w trzy długie szpony. Dozorca odskoczył od klatki w ostatniej chwili.

- Jezu, ależ to jest szybkie! - wykrzyknął poruszony.

- Lepiej chodźmy powiedzieć o tym sir Penwardowi - zaproponował drugi dozorca. - Musimy jakoś uspokoić zwierzaka. Zaczyna denerwować pozostałe.

Pascal wyjeżdżał z Warchester. Była 19.00. Kierował się ku małemu miasteczku Thrappham, niecałe 18 mil od Warchester. Miał na sobie swój najlepszy garnitur i był szalenie podekscytowany. Nie był pewien, czy poradzi sobie z tym, co go czekało tej nocy.

A tym, co go czekało była lady Penward.

Jeszcze się otrząsnął z zaskoczenia w jakie wprawilo go tempo wydarzeń. Wzmocniwszy się piwem dla kurażu, podszedł ku lady Jane, mimo iż wciąż rozmawiała z żoną burmistrza. Był to jeden z najtrudniejszych momentów jego życia i wcale nie pomagała mu świadomość, że Henry Wates obserwował go zafascynowany.

Czując suchość w ustach, przedstawił się lady Jane i zapytał czy będzie mógł przeprowadzić z nią króciutki wywiad. Żona burmistrza, chuda, wyniosła kobieta, dała mu do zrozumienia, że jest oburzona jego natręctwem, ale lady Jane uśmiechnąwszy się ciepło, zapewniła go, że będzie szczęśliwa mogąc rozmawiać z reporterem „Warchester Times”.

Pascal zadał jej więc parę bezmyślnych pytań o festynie i spodziewanych korzyści dla lokalnych instytucji charytatywnych, ona zaś udzieliła równie pustych odpowiedzi. Robiła to

jednak z taką wprawą, że sprawiało wrażenie bardzo interesującej rozmowy.

Po paru minutach żona burmistrza poczęła rzucać Pascalowi coraz wyraźniejsze spojrzenia, mimo iż lady Jane zdawała się być całkiem zadowolona. Pascal czuł jak zasób płytkich, nic nie znaczących pytań zaczyna się już wyczerpywać i wiedział, że nie zdoła przedłużyć rozmowy. Nagle cały ten pomysł wydał mu się absurdalny - jak mógł choć przez moment pomyśleć, że żona sir Penwarda poleci na niego...

Gdy poczuł, że konwersacja się nie klei, wpadł w panikę. Co teraz? To nie miało sensu. Skończy się tym, że zamilknie i wyjdzie przed tymi kobietami na głupka.

Niespodziewanie lady Jane zwróciła się do żony burmistrza z prośbą o przyniesienie szklaneczki szampana. Prośba została przyjęta z ulgą. Kiedy zostali sami, Jane odwróciła się do Pascala z pytaniem czy lubi pstrągi.

- Pstrągi? - powtórzył za nią.

Konwersacja nagle skreśliła na bardzo dziwne tematy.

- Eee, tak, lubię pstrągi - odpowiedział wreszcie, mając nadzieję, że to prawidłowa odpowiedź.

- Jest taka mała wiejska gospoda, zwana „Trzy Słońca” tuż za Trapham. Podają tam najlepsze gotowane pstrągi w całej Anglii. Czy zechce pan tam być moim gościem na kolacji? Powiedzmy o 20.00.

Pascalowi wydawało się, że się przesłyszał. Spojrzał jej w oczy i ujrzał w nich zaproszenie, nie mające nic wspólnego z pstrągiem...

Głośno przełknął ślinę i powiedział: - Tak, oczywiście. Bardzo chętnie.

- W porządku - powiedziała. Jesteśmy więc umówieni.

W tym momencie powróciła żona burmistrza z szampanem.

Biorąc z jej rąk szklaneczkę, lady Jane zwróciła się do Pascala:

- Czy to, co powiedziałam jest wystarczające dla pańskiej gazety, panie Pascal?

- Słucham? - zapytał nieprzytomnie, nim zdał sobie sprawę, że ona przecież mówi o wywiadzie. Pokiwał głową ochoczo. - Och tak, w zupełności...

- Muszę przyznać, że podziwiam pański profesjonalizm, panie Pascal - dodała.

- Naprawdę? Co ma pani na myśli? - zapytał chmurnie.

- Prowadził pan cały wywiad bez jednej notatki w pańskim notesie. Musi pan mieć doskonałą pamięć - posyłając mu jeszcze jeden uśmiech, powróciła do przerwanej rozmowy z żoną burmistrza.

Pascal wrócił do Watesa oszołomiony.

- No? - spytał Wates - Co się stało?

- Nic - skłamał Pascal. - Miałem małą rozmowę na temat festynu i pstrągów.

Wates spojrział na niego podejrzliwie. - Pstrągów?

Pascal wyduł z siebie długie westchnienie. - Potrzeba mi następnego drinka i to bardzo.

Był spóźniony. Zgubił się i musiał się zatrzymywać, by zapytać o kierunek trzy razy. Była dwudziesta dwadzieścia, gdy dojechał do gospody. Zaparkował na małym dziedzińcu malowniczego starego domu, stojącego nad strumykiem i pośpieszył do środka. Obawiał się, że lady Jane znudziło się czekanie i już jej tam nie ma, ale z ulgą zauważył ją siedzącą przy malutkim barze zaraz obok głównego wejścia. Była sama i ubrana zupełnie inaczej niż tego popołudnia. Na festynie miała na sobie prostą błękitną sukienkę i biały kapelusz z szerokim rondem; teraz była ubrana w obcisłe jeansy, kozaki i stary blezer mogący z powodzeniem pochodzić z wyprzedaży ciuchów. Takie zestawienie miało zapewnić jej młodszy wygląd.

Uśmiechnęła się, gdy podszedł do niej i ucięła jego przeprosiny i tłumaczenia dlaczego się spóźnił. - Nie ma znaczenia - powiedziała. - Najważniejsze, że jesteś. Jednym łykiem dopiła swojego drinka i podniosła się ze stołka.

- Chodźmy na górę.

Zdał sobie sprawę z tego, że mówiła o sypialni. Nerwowy skurcz żołądka stał się silniejszy.

- Teraz? - zapytał zdziwiony. - Nie zjemy czegoś najpierw?

Zatrzymała się i popatrzyła na niego unosząc jedną brew, jakby posądzając go o niezrozumiały dowcip.

- Możesz zjeść później, jeżeli będziesz chciał - i szybko wyszła z baru. Pascal niechętnie podązał za nią, żałując, że nie dane mu było choć wypić drinka. Najlepiej podwójnego.

Przechodząc obok recepcji, lady Jane skinęła głową starszej kobiecie siedzącej za kantorem.

Kobieta uśmiechnęła się i powiedziała: - Dobranoc, panno Bailey, dobranoc panu.

Uśmiechnął się słabo w odpowiedzi, czując się nieprzyjemnie wyróżnionym. Oczywiście było, że lady Jane - lub raczej miss Bailey - była tu dobrze znana. Prawdopodobnie przywoziła wszystkie swoje zdobycze właśnie do tej gospody. Zastanawiał się zawstydzony, co myśli obsługa o tej niekończącej się paradyzie młodych mężczyzn. A tego, że tak właśnie było, był pewien. W tym przynajmniej przypadku Henry Wates nie zmyślał.

Wchodzili wąskimi, krętymi schodami. Pascal, spiesząc za nią miał nadzieję, że jej nie rozczaruje. Czuł się jak aktor mający wystąpić przed wymagającą publicznością. Jeżeliby nie udało mu się jej usatysfakcjonować, wiedział, że znajomość zakończy się, niwecząc jego plany odkrycia sekretu jej męża.

Gdy wprowadziła go do małego pokoiku o niskim suficie, dłonie miał już całkiem spocone. Większość miejsca w tym małym pomieszczeniu zajmowało duże, podwójne łóżko. Nie krył

swego podziwu dla tych, którzy je tu wnieśli. Odwrócił się ku lady Jane, by uczynić na ten temat jakąś dowcipną uwagę i zdumiał się, ujrawszy ją już jedynie w staniku, który rozpięła, gdy na nią spojrział.

Jej ciało, mimo iż szczupła i muskularna, nosiło na sobie widoczne oznaki wieku. Na udach i biodrach widoczna była siateczka rozstępów, nogi były zeszpecone żylakami, zaś jej piersi, nie podtrzymywane stanikiem, opadły. Pascal czuł, że całe podniecenie właśnie zaczyna go opuszczać. Wiedział, że duża wybredność wyrobiła w nim taki stosunek do seksu. Nagle przestraszył się, że nie będzie w stanie kochać się z kobietą o tyle od niego starszą.

Zupełnie naga, stała teraz przy łóżku, spoglądając na niego wyczekująco. W jej pozie nie było cienia nieśmiałości, rozebrała się jak do kąpieli.

- No? - zapytała. - Na co czekasz?

Wzruszył bezradnie ramionami: - Przepraszam. Ale to dlatego... No, ruszasz się nieco szybciej, niż jestem przyzwyczajony. Zazwyczaj robię to nieco inaczej...

Znowu uniosła brwi. Ten gest nadał jej władczy wygląd.

- Naprawdę? W jaki sposób? - No - odparł niezdecydowanie - wolę raczej sam rozbierać kobiety.

Uśmiechnęła się po raz pierwszy od wejścia do pokoju.

- Jakież to uroczo młodzieńcze. Może następnym razem...

Podchwycił w tym niedopowiedziane: „jeżeli będzie następny raz”.

Czując się nieswojo pod jej badawczym spojrzeniem, szybko zaczął się rozbierać. Gdy zdjął z siebie już wszystko, poczuł ulgę - podniecenie wracało.

- Masz ładne ciało - powiedziała z aprobatą, ale prawdopodobnie tym samym tonem chwaliła znajomych za dobrą grę w tenisa. Poczuł się jak kawał mięsa. Drażniło go to uczucie, które było jednak jednocześnie dziwnie podniecające. I co teraz,

zastanawiał się. Nie byłby zdziwiony, gdyby założyła nagle buty do jazdy konnej i świsnęła batem.

Stali tak naprzeciw siebie, aż Pascal poczuł się w pełni podniecony.

- Wiesz, nie robię tego zazwyczaj - odezwała się nagle.
- Nie? - nie był w stanie powstrzymać niewiary w głosie.
- Och, nie chodzi mi o to - wskazała pokój. - Z reguły nie wiąże się z nikim z Warchester. To taktyka. Tak naprawdę, to ty jesteś pierwszy.

- A skąd ta zmiana taktyki?

- Nie wiem - zachmurzyła się - jesteś bardzo atrakcyjny, ale to niemądry postępek. Miejmy nadzieję, że nie będę musiała tego żałować... - rozwarła ramiona. Objął ją. Przyłgnęła do niego z nagłym pożądaniem. Była mu prawie równa wzrostem i silna. Pascal czuł niemal męską siłę jej ramion...

Przez pierwszych parę minut bardziej przypominało to zapasy niż akt miłosny. Lady Jane wiła się wokół niego. Czuł się zobowiązany dotrzymać jej kroku w tej pasji. Jednak podczas ich zmagani w łóżku Pascal czuł się dziwnie obojętny. Było to tak inne od jego miłości z Jenny. Z nią było delikatniej, wolniej. I bardzo intymnie. Leżał teraz nagi wraz z lady Jane w łóżku, jednak nie byli sobie bliscy.

Ułożyła się na nim, przyciskając mocno swoje usta do jego, sięgając w nie nieprawdopodobnie głęboko językiem. Kiedy już myślał, że się udławi zsunęła się wzdłuż jego ciała. Poczul na swoim członku najpierw dotknięcie jej ust, potem język. Wstrząsnął nim dreszcz rozkoszy.

Wkrótce okazało się, że lady Jane jest w tym ekspertem i Pascal był bliski utraty kontroli nad sobą. - O Boże, przestań... - jęczał. Czuł zbliżający się orgazm, a wiedział, że jeżeli go osiągnie, to koniec z przedstawieniem.

Poczul, że lady Jane przesuwa się na łóżku; coś wsunęło się na jego nabrzmiały członek, obejmując go ciepłą, jedwabistą

wilgocią. Otworzył oczy. Siedziała na nim okrakiem, wyginając plecy i starając się posiąść go jak najgłębiej mogła. Pochyliła się, aż sutkami dotknęła jego piersi. Jej twarz była mokra od potu, oczy niemal okrutne.

- Spróbuj mnie zrzucić - powiedziała ochryple. - Najmocniej jak potrafisz.

Posłuchał jej i zaczął szybko podrzucać biodrami.

- Mocniej... Mocniej... - jęczała pośród pomruków rozkoszy.

Z każdym podrzutem odrywał pośladki od łóżka. Kołysząc się nad nim miarowo, ścisnęła dłońmi swoje piersi, miętosząc je zapamiętane.

Pascal zorientował się, że znowu jest niesamowicie podniecony i grozi mu ponowna utrata panowania nad sobą. Rozpaczliwie odwołał się do swych sztuczek, które pomagały mu opóźnić orgazm. Jeden z niezawodnych sposobów polegał na wyobrażeniu sobie całych kolumn cyfr i ich dodawaniu. Niegdyś żartobliwie wspominał o tym Jenny: - Wam kobietom, dobrze jest w łóżku; podczas gdy macie frajdę osiągając orgazm, ja ciężko pracuję dodając i odejmując.

Myśl o Jenny przywołała obraz jej i Chiltona na podłodze w biurze Brownlowe'a. Nagły przypływ złości spowodował nawrót energii. Wyobraził sobie, że zamiast lady Jane to Jenny leży na nim, a on musi jej udowodnić, że potrafi ją pieprzyć równie dobrze, jak Chilton. A więc dobrze, dotrze do czubka jej mózgu...

Łóżko zaczęło skrzypieć i uginać się niepokojąco, gdy Pascal zdwoił swe wysiłki: Och, tak, tak! - krzyczała lady Jane.

Zatracił się w swoim własnym wszechświecie wszechogarniającej namiętności. Zupełnie stracił poczucie czasu, aż nagle jęki lady Jane stały się pełnym krzykiem i poczuł, że jej

ciałem ovladnęły konwulsje, gdy osiągnęła orgazm. Dołączył do niej w krótkotrwałym uniesieniu.

Leżeli później obok siebie wyczerpani. - Boże, to było świetne... - wymamrotał Pascal niemalże zdziwiony. Był zadowolony z siebie. Dobrze wypadł, zapomniał o jej wieku i spisał się na medal. Powodowany nagłym impulsem uniósł głowę i pochyliwszy się nad nią, pocałował ją czule w usta. Jej reakcja była zaskakująca.

- Dlaczego to zrobiłeś? - zapytała szorstko.

- Bo chciałem - odparł. - I dlatego, że uważam, że jesteś wspaniała.

- Posłuchaj, uzgodnijmy od razu jedno. Jesteśmy tu razem tylko w jednym, jedynym celu. Nie przydawaj temu innych znaczeń, bo ich nie ma. Zrozumiałeś? - jej ton był surowy, nawet przykry.

Pascal odpowiedział szybko zdumiony: - Tak rozumiem.

- W porządku - mruknęła odprężając się. - Nie chcę, byś miał jakieś dotyczące mnie romantyczne złudzenia. Nie chcę cię zranić. Nie chcę także, byś naciskał na mnie. Wystarczy mi to, jak jest teraz.

- Nie obawiaj się - odrzekł chłodno. W duchu raczej rozbawił go jej egotyzm; nie rozumiała, iż to on jej wyświadcza przysługę, a nie odwrotnie.

Umilkła. Pascal zasnął. Obudziły go delikatne muśnięcia języka na jądrach. Poczul ukłucie przerażenia. Chyba nie oczekiwała od niego, że powtórzy swój wyczyn? I to tak szybko? Ku swojemu zdziwieniu, poczul, że twardnieje z podniecenia. Lady Jane wzięła jego członek do ust, przesuając wargi zapamiętałe wzdłuż nabrzmiałego, pulsującego ciała. Parę minut później Pascal rozogniony wysapał ostrzeżenie, że to stanie się w jej ustach jeżeli nie przestanie. Nie przestała. Kwadrans później kochali się znowu. Tym razem było to wolniejsze i zdawało się

trwać wiecznie. Pascal ponownie był zdziwiony swoim niespodziewanym zapasem kondycji seksualnej. Nigdy przedtem nie trwało to tak długo. Lady Jane niewątpliwie miała na niego nadzwyczajny wpływ, pomimo jego zastrzeżeń co do jej wieku i wyglądu.

Po trzecim tej nocy, poruszającym duszę orgazmie, zapadł w głęboki sen. Robiło się jasno, gdy się obudził. Lady Jane była już ubrana. Oparta o okno, spoglądała na niego z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Ciekaw był, jak długo tak stała...

Kiedy ujrzała, że już nie śpi, odezwała się szorstko:

- Muszę już iść. Obok łóżka jest kartka. Z numerem telefonu pod którym mnie złapiesz. Zadzwoń dziś po południu między 16.00 a 17.00.

I już jej nie było.

Pascal leżał uśmiechając się do siebie. A więc przeszedł wstępne eliminacje... Jednakże jego duma została zastąpiona niejasnym uczuciem niepokoju. W co, do cholery, się pakuje?

Rozdział x

- Wyglądasz na wykończonego. Jesteś niewyspany?

Pascal posłał Jenny spojrzenie pełne podejrzliwości zastanawiając się, czy wie o jego przygodzie z lady Jane, ale jej twarz była nieprzenikniona.

- Nie, to ten upał - odparł.

Chyba zaakceptowała to i wróciła do pisania na maszynie. Jednak parę chwil później powiedziała: - Nie widuję cię ostatnio wieczorami. Nie byłeś w „Green Man” od wieków.

Od razu zrobił się czujny: - Zdziwiony jestem, że zauważyłaś.

Zachmurzyła się. - Co masz na myśli?

- Jesteś na pewno bardzo zajęta dzięki swojemu przyjacielowi.

Oblała się delikatnym rumieńcem. - Już ci mówiłam, między nami nie ma nic poważnego. Nie należymy do siebie.

Pascal przełknął sarkastyczny komentarz. Zamiast tego powiedział: - Ale bardzo go lubisz.

- Tak, lubię. Jest dla mnie wielką frajdą. Rozśmiesza mnie.

- Rozśmiesza? - Wspomnienie Jenny i Chiltona kochających się w biurze Brownlowe'a błysnęło mu w głowie. W piersi poczuł znajomy uścisk zazdrości, opanowując się powiedział: - myślę, że lepiej zmienić temat.

- W porządku. Wrócimy do ciebie i twoich miejsc pobytu przez ostatnie parę tygodni. Co kombinowałaś?

- A co ci do tego? - zapytał szorstko.

Udało jej się przybrać jeszcze bardziej niewinny wygląd. - Jestem ciekawa.

Dokładnie się zastanowił zanim odpowiedział. - Pracowałem nad czymś w domu. Osobisty projekt pisarski... - zrobił pauzę - Książka.

- Książka? Cudownie! A o czym?
- O czym? - w mózgu miał pustkę. Nie mógł nic wymyślić.
- Chyba nie o dinozaurach, co? - zapytała z przesłodzonym uśmiechem.

- O czym ty do cholery mówisz?
- Och David, przestań grać. Wcale nie piszesz książki, wiem co robiłeś.

- Wiesz? - serce w nim zamarło.
- Tropisz tę swoją zwierzęcą historię Penwarda. Nie wspominałeś o tym od tamtego straszego dnia, ale zbyt dobrze cię znam, by nie wiedzieć jak pracuje twój umysł. Wciąż jesteś przekonany, że to, co wydostało się z zoo, tonie był tygrys...

- Nie, mylisz się - zaprotestował. - Dałem sobie z tym wszystkim spokój, całe wieki temu - poczuł ulgę, że przynajmniej zdawała się nie wiedzieć nic o lady Jane.

- Nie wierzę ci - powiedziała z mocą. - Twoja matka powiedziała mi, że wzięłaś z biblioteki wszystkie książki o dinozaurach.

Poczuł się zbyt zmęczony, by się z nią kłócić. Westchnął i zapytał. - A ty? Po co ty chciałaś te książki?

Rozejrzała się po biurze. Było wcześniej, byli sami, nie licząc pani Fleming, zbyt jednak oddalonej, by słyszeć ich rozmowę.

- Okay. Przyznaję. Im więcej zastanawiałam się nad tym co mówiłeś, tym więcej sensu to miało. Było coś dziwnego w tym dniu, w sposobie w jaki zachowywali się ludzie Penwarda, ten pośpiech z jakim to zwierzę zostało zabrane i sposób w jaki Penwardowi udało się uniknąć oficjalnego przesłuchania...

Pascal posłał jej zmęczony uśmiech. - I teraz wierzysz, że to był dinozaur? - pokręcił głową. - Przykro mi Jenny, ale te książki z biblioteki przekonały mnie o jednym. Dinozaury wymarły. Niemożliwe, żeby któryś z nich był tutaj żywy.

W odpowiedzi wyjęła z jednej z szuflad biurka dwie fotokopie. Podała mu je. Jedna była notatką prasową sprzed czterech lat. Mówiła o antropologu, który odwiedzając jakieś odległe tereny w Kongo został poinformowany przez tubylców o zwierzęciu przypominającym dinozaura. Druga pozycja była datowana trzy miesiące później i pochodziła z „Warchester Times”. Informacja o ekspedycji, jaką sir Penward miał zorganizować po dzikie zwierzęta. A celem wyprawy było Kongo.

Pascal oddał jej kopie. - Interesujące - stwierdził.

- To wszystko, co możesz powiedzieć? Myślę, że to jest więcej niż interesujące. Myślę, że znalazł to, po co pojechał. I że przywiózł to ze sobą.

- Dinozaura? zapytał z pobłażliwym uśmiechem.

Mała zmarszczka rozdrażnienia pojawiła się jej na czole.

- Pamiętam co powiedziałeś tamtego dnia. Powiedziałeś, że to mogło być coś, co wyglądało jak dinozaur.

- Może to potwór z Loch Ness?

- Nie rób ze mnie idiotki. Wiem, że jestem na właściwym tropie. Teraz mi opowiedz, czego się dowiedziałeś od czasu naszej ostatniej rozmowy o tym...

- Powiedziałem ci, Jenny. Dałem sobie z tym spokój. Nic nie osiągnąłem i zaczęło mi się to wydawać absurdalne.

Wpatrywała się w niego. - Nie wierzę ci. Co porabiałeś ostatnio nocami?

- Pisałem książkę, jak mówiłem. Powieść. O życiu seksualnym średniej klasy w Warchester. Dyrektorzy banku, dziennikarze i tego rodzaju ludzie - wstał. - Idę na komisariat, na kawę. Do zobaczenia.

Wyszedł, zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć.

Czuł się bardziej niż wykończony, był zupełnie rozbity. Całkiem jakby wyszedł spod prasy. W pewnym sensie tak było - wyszedł spod prasy seksualnej lady Jane.

Kochali się każdej nocy od ich pierwszego spotkania w gospodzie prawie dwa tygodnie temu. Jej seksualny apetyt był nienasycony i wysiłek, by jej dogodzić wykańczał go. Wysiłek ten był tak emocjonalny jak i fizyczny. Wbrew jej początkowym oświadczeniom, że zainteresowanie nim było czysto seksualne, wkrótce stało się oczywiste, że nie o to tylko chodziło.

Podczas ich trzeciej z rzędu nocy, gdy jej samokontrola zaczęła słabnąć, odkrył, że wizerunek gruboskórnej seksualnej awanturnicy był tylko pozą. Nie była kobietą kontrolującą dokładnie swoje życie i emocje, o czym był dotychczas przekonany.

Najpierw przepętała go z jego życia uczuciowego i odetchnęła z ulgą, gdy powiedział jej, że aktualnie nie ma żadnej innej kobiety. Potem zaczęła mówić o sobie, opowiadając mu jaka jest nieszczęśliwa i jakie nieudane ma życie. Nie trzeba było wiele czasu, by się zorientował, że potrzeba jej było porządnego romansu, nie zaś jednonocnych przygód.

Zorientował się także, że rosnąca desperacja wpływała ze strachu. Ze strachu przed starzeniem się. Dwa miesiące dzieliły ją od czterdziestych urodzin. Chciała zatrzymać młodość poprzez miłostki z młodymi mężczyznami. I wyglądało na to, że jego kandydatura została rozpatrzona pozytywnie.

Pod koniec ich trzeciej wspólnie spędzonej nocy stało się oczywistym, że podjęła decyzję. Kiedy opadła z nich fala uniesienia, zapytała go wprost: - Myślisz, że mógłbyś mnie kochać? Bez namysłu skłamał: - Oczywiście. Myślę, że już cię kocham.

Ku jego przerażeniu zaczęła płakać. Trzymał ją w ramionach i wysłuchiwał błagań, by odtąd zawsze byli razem i by jej nigdy

nie opuszczał. Zapewnił ją, że będą i że jej nie opuści. Czuł się zaniepokojony i winny. Do jego planu pasowało, by się w nim zakochała, ale zdawał sobie sprawę, że pcha się w bardzo niebezpieczną sytuację. Wyswobodzenie się od niej, gdy nadejdzie odpowiednia chwila, może przynieść nieoczekiwane problemy. Niepokoiła go jej ewentualna reakcja. W ciągu ich niedługiej znajomości doszedł do wniosku, że jej psychika znajdowała się na pograniczu załamania, ewentualnych reakcji nie sposób było przewidzieć.

- Mój mąż jest obłąkany.

Pascal natychmiast poczuł napięcie. Byli w małym hotelu niedaleko St. Ives - jeszcze jedno miejsce schadzek, jeszcze jedno stałe miejsce spotkań - jak się domyślał. Lady Jane leżała na brzuchu w poprzek dwóch pojedynczych łóżek, które zsunęły razem.

- Co masz na myśli? - zapytał Pascal starając się, by w jego głosie nie było wielkiego zainteresowania. To był pierwszy przypadek, gdy wspomniała o mężu.

- Jest pomyłony. Zupełnie zwariowany. Szaleniec.

Twarz miała zwróconą ku ścianie. Jej głos brzmiał nerwowo.

- W jakim sensie?

- Ma obsesję na punkcie tych swoich cholernych zwierząt. Kompletną. Stawia je ponad wszystko. Naprawdę, ponad wszystko. Ludzie nic go nie obchodzą, nic dla niego nie znaczą. Byłby szczęśliwy, widząc wszystkich ludzi na świecie martwych, gdyby to miało ocalić chociaż jedno z jego bezcennych zwierząt.

Pascal z trudem mógł opanować podniecenie. Czyżby to miało być tak proste? Czyżby zamierzała po prostu spokojnie powiedzieć mu to wszystko, co chciał wiedzieć? - Ale zastrzeżił tego tygrysa. Tego, co uciekł - powiedział ostrożnie.

- Tak - powiedziała gorzko. - To była najtrudniejsza decyzja w jego zyciu. Wolalby zastrzelic mnie - odwrócila się na łozku i spojrzala na niego. - Nie zdajesz sobie sprawy, jakim pieklem jest być jego zoną.

Pascal chcial trzymać się tematu zwierząt, ale był zmuszony podążać za nią w obszary jej małżeństwa. - Przykro mi to słyszeć. W jakim sensie jest to takie straszne?

- W każdym. To nie małżeństwo. To szalony żart. Darren nie jest zdolny do miłości i do kochania się... - jej twarz wykrzywiła się w grymasie. - W każdym razie nie tak, jak normalny człowiek.

Zaintrygowany wbrew sobie zapytał.

- Jak to?

Jest sadomasochistą, z przewagą masochizmu. Roześmiała się ironicznie. - Wiesz co go we mnie przede wszystkim pociągało? To bardzo zabawne - uważał, że jestem władcza.

Pascal niemalże przytaknął, ale zdecydował, iż lepiej milczeć.

- On nie potrzebował żony ciągnęła dalej. - Chcial metresy, kogoś, kto by go chłostał. Nianię z batem. A ja na szczęście miałam odpowiedni wygląd.

Pascal nie mógł powstrzymać kiwnięcia głową. Przypomniało mu się, jak pierwszej nocy niemalże był przekonany, że wystąpi w butach do jazdy konnej i z biczem. Faktycznie, tak właśnie wyglądała - ta jej twarz z wystającymi kośćmi policzkowymi, żywymi oczami, te władcze brwi...

- Ale ty nie lubisz czegoś takiego? - zapytał.

- Oczywiście, że nie - odpowiedziała szybko. - Nie lubię dawać bólu, ani być sama krzywdzona.

- On cię ranił?

- Tak. Sporadycznie. Ale przeważnie to ja byłam tą, która musiała go ćwiczyć. Lubił chłostę. Lubił być chłostany po tyłku.

Pascal musiał się wysilić, by się nie roześmiać. Wizja sir Penwarda przywiązanego łańcuchami do łóżka i pojękującego z rozkoszy pod razami pejsza spadającego raz po raz na jego wypięte pośladki nieomal przyprawiła go o wybuch nerwowego chichotu. Gdybyż tylko mógł to wydrukować.

- To ma związek z jego obsesją dzikich zwierząt. Taka jest w każdym razie moja teoria.

- Nie rozumiem - zmarszczył brwi.

- No, on wielbi siłę. Wszystkie jego zwierzęta są niebezpieczne: lwy, tygrysy, pantery, niedźwiedzie, krokodyle i tak dalej... Podziwia zwierzęta potrafiące zabijać, te które są zdolne do okrucieństwa i bezwzględności.

- To znaczy, że pobudza go seksualne uczucie strachu? - zapytał Pascal, żałując że nie wie jakie zwierzęta oznaczało to jej „i tak dalej”.

- Niezupełnie. Podniecenie czerpie z ich siły. Możliwe, że wynika to z jego zazdrości w tej materii; kolekcjonuje niebezpieczne zwierzęta, bo w ten sposób może rekompensować swoje kompleksy. Wzruszyła ramionami - kto wie?. - Próbowałam go rozgryźć przez lata, a teraz już jestem tym zmęczona.

- Czemu go nie zostawisz?

- Nie mogę. Nie pozwoli mi.

- Nie pozwoli? Jak mógłby cię zatrzymać?

- Powiedzmy, że mógłby uczynić moje życie bardzo uciążliwym - powiedziała sucho.

- Ale czemu miałyby mu na tym zależeć? Sprawiasz wrażenie, jakby wasz związek zakończył się faktycznie wieki temu.

- I tak jest. Prowadzimy oddzielne życie, nie licząc specjalnych publicznych okazji. Mam swobodę działania, mogę robić to co chcę, pod warunkiem, że jestem ostrożna. Wie o moich przyzwyczajeniach i nie obchodzi go to, ale nie daj Boże, żeby dostało

się to do kroniki towarzyskiej. To ma związek z jego dumą. Dlatego nigdy nie da mi rozwodu. Rozwiązanie naszego małżeństwa, według niego, źle odbiłoby się na nim. To znów to poczucie niedostosowania. Nie może być żadnego pęknięcia w tym perfekcyjnym obrazy, jaki prezentuje światu.

Kąćki jej ust opadły w grymasie odrazy. - Chciałabym, żeby któryś z tych jego cholernych zwierzaków odgryził mu wreszcie łeb. To jedyny sposób w jaki mogłabym się od niego naprawdę uwolnić.

Potem mówiła o swojej samotności i o pojawiającej się czasem chęci popełnienia samobójstwa. Pascal wydając współczujące mruknięcia, usiłował naprowadzić ją z powrotem na temat męża i zwierząt, ale bezskutecznie. Od tego czasu często mówiła o sir Penwardzie, powtarzając swoje skargi na niego, ale nigdy nie wróciła już do tematu zwierząt.

Pascal nie śmiał zapytać jej wprost o zoo. Wiedział, że natchmiast stałaby się czujna na każdą aluzję wskazującą na ukryty motyw spotkań z nią. Było to jak pole minowe; musiał stąpać niesamowicie ostrożnie. Niemal dwa tygodnie jej towarzysztwa nie dało Pascalowi nic prócz uczucia totalnego wyczerpania. Musiał jednak przyznać, że jego edukacja seksualna ruszyła do przodu o milowy krok.

Zdesperowany, widział już sytuację bez wyjścia - nieskończony ciąg męczących seansów miłosnych w okolicznych hotelach - dopóki nie padnie trupem ze zmęczenia, nie dowiedziawszy się niczego o sekretach zoo Penwarda.

Jenny nie było w biurze gdy wrócił z komisariatu. Z ulgą podniósł słuchawkę i wykręcił prywatny numer lady Jane w Penward Hall. Decyzję podjął podczas rozmowy z Driscollem i innymi policjantami.

- Cześć, to ja. Bardzo mi przykro, ale nie przyjadę dzisiaj wieczorem. Mam pracę do późna i nie uśmiecha mi się długa

jazda - umówili się na spotkanie w hotelu niedaleko Huntington.

Z drugiej strony zaległa cisza. Potem odezwała się z napięciem w głosie: - A jaki jest prawdziwy powód, dla którego nie możesz się ze mną spotkać?

- Mówiłem ci. Muszę do późna pracować. I jestem zmęczony. Te wszystkie moje jazdy ostatnio. Chcę pójść wcześniej spać.

- Gdybyś mnie kochał, nie robiłoby ci różnicy, jak daleko miałbyś jechać - jej głos brzmiał oskarżycielsko.

- Ależ kocham cię - zaprotestował ze znużeniem - to nie ma z tym nic wspólnego. Słuchaj, zobaczymy się jutro wieczorem. Dobrze?

- Kiedy kończysz pracę?

- Cholera - pomyślał. Miała zamiar utrudniać wszystko, jak tylko możliwe. - Około dziesiątej odparł, biorąc godzinę z powietrza.

Dalsza cisza. Gdy znowu się odezwała, jej głos był pełen wahania:

- Mógłbyś przyjechać tu na noc. Darren jest w Londynie.

Pascal poczuł ogarniające go napięcie. - Zostać w Penward Hall? Nie mógłbym... Spokojnie! Spokojnie! - upomniał się. Wreszcie okazja na jaką czekał! Nie zmarnuje jej!

- Owszem, mógłbyś. Mówiłam ci, że mam oddzielne mieszkanie ze swym własnym wejściem. Nikt nie musi wiedzieć.

- A jeżeli ktoś z personelu mnie zobaczy? - zapytał starając się, by brzmiało to beznamiętnie.

- Będzie ktoś przy bramie, i to wszystko. Schylisz się gdy będę wjeżdżała. W pobliżu głównego budynku o tej porze nie będzie nikogo. Zaparkuję tuż przy drzwiach. Nikt nie zobaczy jak będziesz wchodził.

- No, nie wiem... - powiedział wolno. - A co z jutrzejszym porankiem? Na pewno zostanę zauważony przy wyjściu.

Westchnęła z rozdrażnieniem. - No to co? Jeżeli ktokolwiek cię zobaczy, to wymyślę jakąś historię.

- Twojemu mężowi to się nie spodoba, jeżeli się dowie - powiedział Pascal. Ale nie o sir Penwardzie myślał: zastanawiał się, co by się stało, gdyby zobaczył go któryś ze znających go dozorców.

- To już mój problem - powiedziała niecierpliwie. - Przyjeżdżasz czy nie?

- No, dobrze - odpowiedział po krótkiej pauzie.

- Doskonale. Zastanówmy się, gdybyśmy tak się spotkali na parkingu jednego z lokalnych pubów? Znasz „Phoenix Arms”?

- Pascal niemal upuścił słuchawkę. Otrząsnąwszy się szybko odrzekł. - Tak, znam, ale raczej wolałbym unikać tego miejsca, jeżeli nie masz nic przeciw temu. Wpadłem na szefa jakiś czas temu i dostałem cięgi.

Wymieniła inny pub, a on zgodził się spotkać z nią na tamtejszym parkingu o 23.30.

Serce łomotało mu gdy odkładał słuchawkę. Wreszcie był blisko celu. Zapowiadało się, że będzie to ryzykowne, nawet niebezpieczne, ale o tej porze jutro będzie miał dowód jakiego potrzebował. Oczywiście, jeżeli istniał.

Podszedł do miejsca, gdzie Henry Wates utrzymywał swe małe królestwo bałaganu w rogu biura. Wates siedział przy biurku, czytając „Sun”. Biurko, jak zwykle, zawałone było pustymi kubeczkami po kawie, sprzętem fotograficznym i rumowiskiem resztek po dawno zjedzonych posiłkach i przekąskach.

- Henry, mam do ciebie ogromną prośbę - powiedział Pascal.

Wates spojrzał na niego podejrzliwie. - A co?

- Chcę pożyczyć jeden z twoich aparatów i lampę błyskową.
Do jutra rana. A za tę przysługę zapłacę 15 funtów.

Wyraz twarzy Watesa stał się jeszcze bardziej podejrzliwy. -
Po co ci to?

- Idę na polowanie - Pascal wyszczerzył triumfalnie zęby.

Rozdział XI

Penward Hall miało długą historię. W miejscu, gdzie stał teraz główny budynek, kiedyś był zamek. Został zbudowany w 1107 r., ale został zniszczony przez pożar w 1438 r. Jedyne co po nim zostało to trochę fundamentów. Wspaniała rezydencja Tudorów stała na tym miejscu przez ponad 300 lat, ale i ona padła ofiarą pożaru - w 1847 r. Dwa lata później wybudowano wiktoriańskie monstrum, będące obecnym Penward Hall.

Niemalże tak samo brzydkie były bardziej współczesne budynki zbudowane w tylnej części gmachu by pomieścić nowe okazy stale rosnącej menażerii. Uderzająca brzydota zabudowań jaskrawo kontrastowała z pięknem otaczającego je krajobrazu.

Pascal był w tej posiadłości, po raz pierwszy od wielu lat. Ostatnią okazją, jaką sobie mgliście przypomniał, była wizyta w publicznej sekcji zoo, gdy był nastolatkiem. Ale nawet w najśmielszych oczekiwaniach nie wpadłoby mu do głowy, że któregoś dnia wjedzie tu ukryty pod kocem w samochodzie lady Penward...

- W porządku - usłyszał jej głos. - Jesteśmy już daleko od wartowni. Nie zobaczą cię.

Ściągnął koc i podniósł się z podłogi. Nogi miał zdrętwiałe. Przeciągnął się, usiadł i rozejrzał się. Około ćwierć mili przed nimi zamajaczył szary kolos Penward Hall. Reflektory oświetlały główny budynek i zoo. W ostrym, oślepiającym blasku całe to miejsce miało jeszcze bardziej odpychający wygląd. Pascal zastanawiał się, czy ma wystarczająco dużo odwagi by dokonać, co zaplanował. Przypomniał mu się wieczór przed „Phoenix Arms”,

bucior uderzający w jego głowę. To byli niebezpieczni ludzie. Gdyby go złapali na terenie posiadłości, mogliby się posunąć dalej, niż ostatnim razem, szczególnie, jeżeli mieli co ukrywać.

Nocną ciszę nagle rozdarł potężny zwierzęcy ryk. Pascal zerknął na lady Jane: - Cóż to było?

Wzruszyła ramionami: - Chyba jaguar. Zauważył już, że od momentu kiedy go zabrała spod pubu, stała się bardzo nerwowa. Domyślił się, że rosły w niej wątpliwości co do słuszności decyzji przywiezienia go do Penward Hall.

Pascal nie widział nikogo, gdy przejechali przed frontem domu, a potem skręcali w drogę dojazdową z boku budynku. Jane szybko zaparkowała i pośpieszyła poprzez żwirową ścieżkę do małego patio. Pascal szybko podążył za nią niosąc swoją torbę. Zazwyczaj nie miał w niej nic, prócz skarpetek, bielizny i przyborów toaletowych, ale tym razem torba zawierała także aparat fotograficzny, latarkę i łom.

Lady Jane zaprowadziła go do swego mieszkania. Ku jego zdumieniu, był to komfortowy apartament, nie pasujący do tak ponurego budynku. Kiedy to skomentował, kiwnęła głową i powiedziała: - Tu mogę sobie stwarzać pozory, że nie mieszkam w Penward Hall. Darren oczywiście mojego mieszkania nie znosi. Powinienes ujrzeć pokoje w których mieszka. Pełne nudnych gratów, okropnych obrazów przodków i broni. Jak możesz się domyślać, jest to typ kolekcjonera szabli, pistoletów i wszystkich tych śmiercionośnych zabawek, które mężczyzn przyprowadzają o dreszcz emocji.

- Myślę, że jest doskonałym strzelcem i szermierzem - powiedział Pascal sucho.

- Tak, jest dobrym strzelcem - odparła, biorąc słowa Pascala na serio. - Ale, o ile wiem, nie ćwiczył szermierki.

Spróbował znowu zażartować. - Jesteś zupełnie pewna, że teraz jest w Londynie? Nie chciałbym stanąć twarzą w twarz z

rozjuszonym mężem dzierżącym w garści dubeltówkę.

Spojrzała na niego z uniesioną brwią. - Nie martw się kochanie, obroniłabym cię. Podeszła do stolika i z szufladki wyjęła chromowany rewolwer. - Jestem równie dobrym strzelcem...

Pascal uśmiechnął się słabo. Miał nadzieję, że to był żart choć podejrzewał, że niezupełnie.

Pascal nie wypadł dobrze tej nocy. Wiedział o tym, ale zbyt był pochłonięty czym innym, by poświęcić Jane całą swą uwagę. W końcu odezwała się z rozdrażnieniem. - Co się z tobą dzisiaj dzieje?

- Przepraszam. Jest tak, jak mówiłem ci przez telefon; jestem bardzo zmęczony. Muszę nadgonić sen. Rano będę w porządku.

Posłała mu długie badawcze spojrzenie, zanim aprobującą kiwnęła głową: - dobrze kochanie. Muszę przyznać, że także czuję się zmęczona. Sięgnęła ponad nim i wyłączyła światło.

W ciemności zmówiła dziękczynną modlitwę.

- Jane? - szepnął. Nie było odpowiedzi. Jej oddech był regularny i długi. Był pewien, że śpi. Najdelikatniej jak potrafił, uniósł jej ramię ze swojej piersi i wysunął się wolno z łóżka. Gdyby się obudziła, powiedziałaby jej, że właśnie szedł do łazienki.

Szybko się ubrał. Przezornie miał ciemne ubranie: czarne spodnie, ciemnoszarą sztruksową marynarkę i ciemnoniebieską koszulę. Otworzył torbę i wyjął z niej aparat, latarkę i łom. Aparat zawiesił sobie na szyi, łom wcisnął za pasek. Trzymając latarkę, cicho wykradł się z pokoju.

W korytarzu, przyświecając sobie latarką przeszukał torebkę Jane w poszukiwaniu kluczy. Po sprawdzeniu i przekonaniu się

iz ma te właściwe, opuścił mieszkanie i zszedł po schodach.

Na zewnątrz poczuł się nieswojo, w jaskrawym świetle reflektorów, pośpiesznie przebiegł przez podjazd. Korzystając z osłony krzewów i żywopłotów wzdłuż podjazdu, ostrożnie podążył w kierunku zoo...

Najpierw musiał poradzić sobie z ogrodzeniem z drucianej siatki, odnalazł bramę, ale była zamknięta na kłódkę. Zdecydował nie używać łomu. Wspiął się na bramę. Natknął się na splot drutu kolczastego, ale przedostał się bez większych trudności.

Znalazł się w części posiadłości otwartej niegdyś dla zwiedzających. Minął dużą wolierę, w której para orłów usadowiona na górnych gałęziach drzew, obserwowała go groźnym wzrokiem.

Wszedł do pierwszej zagrody wielkich kotów. Betonowa budowla miała przestronny wybieg długości około 40 stóp. Otoczony był podwójnym wysokim płotem. Pascal zauważył czarny cień obok pnia. Włączył latarkę i blask oświetlił cielsko masywnego tygrysa. Ten spojrział na niego bez zainteresowania. Pascal odgadł, że to towarzysz zabitej tygrysy syberyjskiej Pocohontas. Wyłączył latarkę i ruszył dalej.

Następna zagroda była jeszcze większa i mieściła kilka lwów. Mimo że mijał wrzesień, było ciepło i wielkie koty leżały na zewnątrz swych betonowych schronów. Wszystkie zwróciły głowy ku niemu, gdy przechodził, ale podobnie jak tygrys, nie zareagowały.

Doszedł do następnego płotu, który był granicą części dostępnej dla publiczności. Za nim położone były niczym nie wyróżniające się budynki, szare i odpychające w ostrym oświetleniu. Z jednego z nich dobiegł przytłumiony ryk. Nie brzmiało to jak głos wielkich kotów.

Gdy patrzył na ponure budowle, poczuł przyśpieszenie pulsu i zimny ucisk trwogi. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie wrócić prosto do łóżka lady Jane.

Zamiast tego jednak zaczął się wspinać na druciany płot. Był wyższy niż poprzedni i na górze miał trzy sploty drutu kolczastego. Pascal rozciął sobie rękę i rozdarł spodnie, zanim znalazł się po drugiej stronie.

Dyszząc z wysiłku, pośpieszył ku pierwszemu budynkowi. Jedynym wejściem okazały się rozsuwane drewniane drzwi. Zgodnie z jego obawami były spięte łańcuchem i zamknięte na kłódkę. Wyjął łom. Teraz już nie było odwrotu. Gdyby go tu złapano, byłby oskarżony o włamanie.

Potrzeba było sporo wysiłku, żeby rozerwać łańcuch. Drzwi były ciężkie i skrzydło, które Pascal zdołał przesunąć na rolkach wydało tak skrzeczący dźwięk, że musiał być chyba słyszalny w całej posiadłości.

Prześlizgnął się przez otwór i zamknął za sobą drzwi. Włączył latarkę. Ku swemu zdziwieniu okazało się, że stoi między dwiema parami drzwi. To musiało oznaczać, że ściany budynku są nieprawdopodobnie grube. Wewnątrz drzwi były niedomknięte. Odsunął jedno skrzydło i wszedł w ciemność za nimi.

Pierwsze co go uderzyło, to upał. Poczuł się jak w łaźni parowej i od razu po twarzy i szyi zaczął cieknąć mu pot. Poczuł zapach - silną, ostrą woń, której nie rozpoznawał, ale która napelniała go atawistycznym lękiem.

Skierował światło swej latarki w ciemność. Słyszał odgłos płynącej wody i ostrożnie ruszył w tym kierunku. Latarka oświetliła rodzaj bariery. Skonstruowana była z grubych stalowych sztab zagiętych w jego stronę. Podeszedł do ogrodzenia i spojrzał przez nie. Podłoga nagle się kończyła i jakies 10 stóp niżej Pascal ujrzał powierzchnię czarnej wody. Poświecił latarką dookoła i zrozumiał, że znajduje się na krawędzi okrągłego zbiornika w fundamentach budynku.

Przeszedł wzdłuż bariery, wciąż świecąc w dół, w ciemną wodę. Co się tam mogło znajdować? Ryby? Jakies zwierzę? Może niedźwiedź polarny. Nie, tu było za gorąco dla niedźwiedzi polarnych. Przypomniał sobie lady Jane mówiącą, że Penward hodował krokodyle...

Usłyszał plusk. Był odmienny od dźwięku stale lejącej się do zbiornika wody. Zatrzymał się i skierował latarkę w kierunku skąd dochodził dźwięk, ale snop światła był za słaby. Zbiornik musiał mieć co najmniej 50 stóp średnicy.

Podjął wędrówkę wzdłuż krawędzi. Obszedł może trzecią część zbiornika, gdy ogrodzenie się skończyło. Zawahał się przez moment i ruszył dalej. Nie czuł już strachu. Powierzchnia wody była zbyt odległa, by cokolwiek mogło z niej wyskoczyć, czy wdrapać się po pionowych ścianach zbiornika, aby go zaatakować. Ogrodzenie było prawdopodobnie bardziej po to, by zapobiec wpadnięciu do zbiornika i dziwnym wydawało się, że nie rozciąga się dookoła.

Usłyszał następny plusk. Marszcząc brwi, odłożył latarkę na brzeg zbiornika i zdjął z szyi aparat. Zdecydował, że gdy usłyszy następny plusk, zrobi zdjęcie. Był pewien, że lampa błyskowa odkryje to, czego nie była w stanie oświetlić słaba latarka.

Czekał z przygotowanym aparatem.

Znowu rozległ się plusk, głośniejszy i bliższy tym razem. Przycisnął spust migawki. Ta czynność uratowała mu życie. Krótki błysk odsłonił przerażający widok. Ukazała się wielka głowa osadzona na długiej, giętkiej szyi, niczym u węża. Głowa ta uzbrojona w rzędy ostrych zębów osadzonych w niewiarygodnie szerokich szczękach, poruszała się w jego kierunku z wielką szybkością.

W momencie, gdy zgasł błysk flesza, Pascal odruchowo rzucił się do tyłu. W tej samej chwili, gdy rozplaszczył się na cementowej podłodze, usłyszał klapnięcie niewidzialnej już teraz szczęki, zamykającej się nie dalej niż o stopę od niego tak blisko, że poczuł na twarzy gorący oddech.

Przerażony bardziej niż kiedykolwiek w życiu, szaleńczo odskoczył od krawędzi zbiornika, opierając się na dłoniach i stopach.

Poczuł następny ruch powietrza, po którym nastąpił kolejny świszczący odgłos towarzyszący atakowi. Znowu nastąpiło kłapięcie niewyobrażalnie mocnych szczęk, ale ponownie złapały tylko powietrze...

Ręce Pascala natrafiły na coś twardego. Była to ściana. Dalej już nie mógł się posuwać. Skulił się oparty o ścianę, z podkurczonymi nogami, nie mając odwagi się ruszyć. Właśnie wtedy zorientował się, że jęczy...

Od strony zbiornika doszedł go plusk. Jak daleko się znalazł, pomyślał. Czy jest poza zasięgiem tego stworzenia. Widział słaby blask latarki, ale nie był w stanie określić odległości.

Trzęsąc się, na czworakach rozpoczął wędrówkę wzdłuż ściany, trzymając się jej najbliżej jak mógł. Nagle się zatrzymał.

Gdzie aparat fotograficzny?

O Boże, pomyślał. Cofnął się i zaczął szukać macając w ciemności. Usiłował sobie przypomnieć, kiedy mógł go upuścić, modląc się by nie leżał zbyt blisko krawędzi.

Niczego bardziej nie pragnął, jak zostawić ten cholerny aparat tam gdzie upadł i wydostać się z tego przeklętego miejsca. Ale nie mógł. Musiał go odnaleźć.

Z sercem oszalałym ze strachu, z napiętym do granic każdym nerwem wolno pełzał z powrotem ku krawędzi zbiornika, desperacko macając beton przed każdym ruchem.

Od strony wody doszedł go dźwięk podobny do tego jaki wydaje wynurzający się wieloryb. Boże, to coś musi być olbrzymie - pomyślał. Zastanawiał się, jak długa jest szyja tego stworzenia. Skoro jednak dosięgła do krawędzi zbiornika, to musi mieć długość co najmniej 15 stóp.

W słabym świetle latarki leżącej na cemencie, przelotnie ujrzał przesuwającą się szyję. To coś wciąż go szukało: może wyczuło jego zapach i tylko czekało aż się zbliży. To kazało mu podjąć decyzję. Niech diabli porwą aparat. Musi się stąd wydostać. Właśnie gdy zaczął się cofać, jego prawa ręka na coś natrafiła. To był pasek od aparatu.

Ostrożnie przyciągnął go ku sobie, podniósł i wycofał się ku ścianie. Tam sprawdził aparat, najlepiej jak potrafił w ciemnościach. Zdawał się być sprawny.

Macał drogę wzdłuż ściany, nasłuchując najłżejszego odgłosu od strony zbiornika. W końcu dotarł do wyjścia. Gdy znalazł się pomiędzy wewnętrznymi i zewnętrznymi drzwiami, zatrzymał się by nieco dojść do siebie i zastanowić się co dalej. Wydawało mu się, że to jedyne zdjęcie, które zrobił może nie wystarczyć. Nawet nie wiedział, czy się udało. Wyszedłby na głupka, gdyby się okazało, że jedyny dowód, jakim mógł wesprzeć swą opowieść jest zamazanym konturem, mogącym przedstawiać cokolwiek.

Zaklął w duchu. Zdecydowanie nie miał zamiaru ryzykować, by zrobić jeszcze jedno zdjęcie potwora w zbiorniku. Powinien znaleźć jakieś inne stworzenie. A był przekonany, że było ich więcej. Nieprawdopodobnym było, żeby to coś ze zbiornika - najwyraźniej będące zwierzęciem wodnym - było tym, które uciekło w lipcu. Poza tym, było zbyt duże, jak na to, co Pascal widział w sieci, którą uniósł helikopter.

Zastanawiał się, co to było. I jak Penwardowi udało się przeszmuglować to do kraju.

Ostrożnie pchnął zewnętrzne drzwi i rozejrzał się. Nie było nikogo. Zasunął drzwi za sobą i pośpieszył ku następnemu budynkowi.

Tym razem rozerwanie łańcucha zamykającego drzwi zajęło mu więcej czasu. Czuł się słabo i trzęsły mu się ręce. Zerknął na zegarek - była 2.40. Powinien się szybko uwinąć żeby zdążyć do lady Jane zanim się obudzi.

Wnętrze tego budynku było również gorące i wypełnione dziwnym zapachem przyprowadzającym Pascala o ciarki. Nasłuchując stanął w drzwiach. Żałował, że zgubił latarkę.

Coś się poruszyło w ciemnościach. Potem usłyszał dziwne parsknięcie. Pascal miał nadzieję, że nie trafił do zwykłej stajni. Byłoby ironią losu, gdyby podejmował całe ryzyko, tylko po to, by sfotografować konia.

Zdecydował się na zapalenie światła - pod warunkiem, że znajdzie kontakt. Przy zamkniętych drzwiach i braku okien nie było to zbyt wielkim ryzykiem. Pomacał ręką ścianę przy drzwiach i natrafił na tablicę rozdzielczą. Włączył jeden przełącznik i ponad głową rozbłysło światło. Zaparło mu dech w piersiach.

Znajdował się w pomieszczeniu o długości 40 i szerokości 30 stóp. Rząd grubych metalowych prętów od podłogi do sufitu przedzielał pomieszczenie na pół. Za ogrodzeniem stało zwierzę. Spoglądało na Pascala z przechyloną głową, niczym gigantyczny ptak.

Pascal zbliżył się.

Rozdział XII

Poczuł silne uderzenie w twarz.

Otworzył oczy, zdziwiony, że jeszcze żyje. Spróbował się odezwać, ale poczuł w gardle bolesną suchość i jednym co udało mu się wyartykułować, był słaby pisk. Prosto w oczy świeciło mu jaskrawe światło - powodując dotkliwy ból. Opuścił powieki.

Następny policzek, tym razem mocniejszy.

- Proszę się obudzić panie Pascal - rozkazał znajomy głos. Rozpoznał także twarz, która pojawiła się przed nim, gdy otworzył oczy.

Darren Penward.

Pascal jęknął i spróbował usiąść. Silna dłoń pchnęła go z powrotem. Zorientował się, że leży na twardym łóżku. Rozejrzał się dookoła i odkrył, że znajduje się w małym, pozbawionym okien pokoju. Jedynym meblem było tu łóżko. Zdał sobie sprawę z ostrego bólu w plecach.

- Strzał... - wysapał Pascal - ktoś... strzelił... do mnie.

Penward potrząsnął głową. - To tylko środek usypiający, panie Pascal. Będzie pana bolało przez chwilę i będzie pan miał zgałę po narkotyku, ale nie wywoła to trwałej szkody.

Pascal zaczął sobie przypominać wszystko co się zdarzyło. Spojrzał z niepokojem na sir Penwarda usiłując wyczytać coś z jego twarzy. Ale jastrzębia twarz Penwarda nie mówiła nic - była obojętną maską.

- Będą mnie szukać - powiedział Pascal pośpiesznie - wytropią mnie tutaj...

- Oni, to znaczy kto? - zapytał chłodno Penward.

- Policja. Teraz na pewno zostało już zgłoszone moje zaginięcie.

- Możliwe, ale nie mają powodu myśleć, że pan jest tutaj. O ile mi wiadomo, pański romans z moją żoną był tylko waszym sekretem... Jego wąskie usta wykrzywiły się w nieprzyjemnym uśmiechu. - Tak, wiem o wszystkim! Jane powiedziała mi, aczkolwiek niechętnie. Jak na typowego, nudnego prowincjusza wykazał pan nadzwyczajną wytrwałość. Posłużenie się moją żoną by tu dotrzeć było z pana strony niezwykle pomysłowe...

Pascal otworzył usta, by zaprotestować lecz Penward podniósł dłoń. - Proszę nie zaprzeczać. Powiedziałem panu, że wiem wszystko. Ale muszę panu powiedzieć, że Jane jest w pewnym sensie strapiona odkryciem, że była przez pana wykorzystana. Tak naprawdę nie sądzę, by się z tym faktem pogodziła. Co za tępa kobieta z tej mojej żony - westchnął. - Ma rasowy wygląd, ale gdzieś po drodze w jej rodzinie musiano dopuścić do genetycznego mezaliansu. Szkoda.

Nastąpiła chwila ciszy. Pascal odezwał się.

- Czy mogę usiąść? Niewygodnie mi rozmawiać w tej pozycji.

- Oczywiście - powiedział Penward - ale bez nierozważnych prób. Nie jest pan w formie by dać mi radę, a ja mam w pobliżu ludzi.

- Bez obawy - jęknął Pascal unosząc się na łóżku. - Nie sądzę, bym miał siłę do chodzenia, a co dopiero do ucieczki.

Mówił prawdę. Był słaby i otumaniony.

- Jestem ciekawy, panie Pascal, co w moim przedsięwzięciu Wzbudziło pana podejrzenie?

- Czemu miałbym panu powiedzieć? Dlaczego miałbym panu mówić cokolwiek? - zapytał Pascal, okazując więcej przekory niżby chciał.

W rzeczywistości był zupełnie bezsilny i bardzo przestraszony.

- Dlatego, że mówiąc szczerze, to leży w pańskim interesie. A także dlatego, że jeżeli odpowie pan na moje pytania, ja odpowiem na pańskie, a jestem pewien, że ma ich pan parę.

- Tak, oczywiście, mam. Na przykład skąd pan ma te... te stwory! - Nie mógł się zmusić do wymówienia słowa DINOZAURY.

- Odpowiem dopiero jak mi pan powie to, co chcę usłyszeć - powiedział Penward. - Co wzbudziło pana podejrzenie?

Pascal opowiedział mu co widział i co słyszał w dniu ucieczki „tygrysa”, kończąc na wypowiedzi małego Simona Smythe-Gravesa.

Penward pokiwał głową w zadumie. - Błędem było pozostawienie chłopca. To był moment słabości z mojej strony, przyznaję. Ale z proroczym rezultatem.

Te słowa zmroziły Pascala. Penward spokojnie mówił o morderstwie ośmioletniego chłopca.

- Ale sytuacja jest do uratowania - kontynuował Penward. - Nie ma żadnej prawdziwej szkody - posłał Pascalowi protekcyjnalny uśmiech, jakby chciał okazać, że jego osoba nie stanowi żadnego problemu.

- A teraz, co pan chce wiedzieć o moim zoo?

- Czy te zwierzęta to naprawdę dinozaury?

Penward skinął głową. - Tak, wprawdzie ten wodny to nie dinozaur, lecz plezjozaur, ale ten którego pan widział w klatce - to zdecydowanie dinozaur. Dokładnie DEINONYCHUS. I na dodatek piękny okaz.

- Gdzie je pan odnalazł? W Afryce?

- W Afryce? - Penward wyglądał na rozbawionego. - Czy myślał pan, że natknąłem się w Afryce na jakiś zaginiony świat, niczym u Conan Doyle'a? Może jest pan mniej inteligentny, niż myślałem. Dinozaury wymarły panie Pascal, lub raczej BYŁY...

Pascal pytał dalej. - Więc skąd pochodzą te stwory, które pan tam trzyma?

- Pochodzą stąd - powiedział Penward. - Ja je stworzyłem.

- Pan je stworzył? - Pascal sądził, że tamten stroi sobie z niego żarty, ale nie rozumiał ich sensu.

- Nie osobiście, przyznaję. Miałem asystę ekspertów. Ale pomysł był mój i ja zapewniłem środki do zrealizowania go. Kosztowało mnie to fortunę.

Pascal zmarszczył brwi. - To znaczy, że nie są prawdziwe? Są mechaniczne? Jak roboty?

- Niech pan nie będzie śmieszny, panie Pascal. Oczywiście, że nie są mechaniczne. Wszystkie są żywymi organizmami. Organizmami, które wyhodowaliśmy tu, w Penward Hall - z ich własnych skamieniałych pozostałości sprzed wieków.

- Przepraszam, ale zagmatwał mi pan wszystko.

- Postaram się wyjaśnić. Wie pan, czym są skamieliny, prawda?

- Tak. To skamieniałe pozostałości zwierzęcia lub rośliny.

- Ma pan połowicznie rację. To prawda, że większość kości, dinozaurów na przykład, jest skamieniała. Szkielet poddawany jest procesowi mineralizacji w ciągu tych lat, gdy leży zakopany w ziemi. Woda przedostaje się do kości, minerały zawarte w wodzie wolno zbierają się w szkielecie, zmieniając go w kamień. Ale nie wszystkie skamieliny są spetryfikowane. Czasami zostanie odnaleziona prawdziwa kość lub szpon. Bardzo, bardzo rzadko trafi się zmumifikowany dinozaur. Parę lat temu w Zachodniej Kanadzie odkryto dwa zmumifikowane kaczodziobe dinozaury z gatunku corythosaurus. Od tego czasu dokonano paru takich odkryć. Docenia pan ich znaczenie, oczywiście?

Pascal pomyślał przez chwilę: - nie, mówiąc szczerze.

- Znaczące jest - kontynuował Penward - że istnieje możliwość otrzymania autentycznego materiału komórkowego dinozaura z nienaruszoną informacją genetyczną.

Pascal aż podskoczył. - Klonujecie je! - wykrzyknął. - Klonujecie je z komórek skamielin. Ale... - zachmurzył się - komórki są martwe. Jak je przywracacie do życia?

- Myślę, że to o wiele więcej niż proste klonowanie - powiedział Penward z dumą. - To, co zrobiliśmy, to dekodowanie całej informacji genetycznej z komórki dinozaura, a potem przeniesienie jej do żyjącej komórki współczesnego zwierzęcia. Nie muszę mówić, że jest to nieskończenie skomplikowany proces. W każdym chromosomie są tysiące genów.

- Transfer? Jak? - zapytał Pascal.

- Najpierw ustalamy dokładną strukturę każdego genu w jądrze komórki dinozaura. By to zrobić, stosujemy technikę opracowaną w Kalifornijskim Instytucie Technologicznym. To wymaga użycia radioaktywnych atomów jako sond. Przy pomocy mikroskopu elektronowego możemy określić chemiczny make-up kodonu każdego genu. Kodony są ekwiwalentem przyrodniczym dwuczłonowego kodu w programie komputerowym. Składają się z różnych kombinacji czterech chemicznych podjednostek kwasu dezoksyrybonukleinowego, DNA, substancji tworzącej geny. Każdy gen, jak pan prawdopodobnie wie, jest odpowiedzialny za programowanie wytwarzania w komórce określonej proteiny. Podczas dekodowania każdego genu informacja jest wprowadzana do komputera, do momentu, gdy mamy komputerowy odczyt zawierający całą informację genetyczną z komórki dinozaura. To jest porównywane z podobną komputerową mapą genetycznego make-upu żyjącego zwierzęcia, którego komórkę chcemy modyfikować, co z kolei pozwala nam

zobaczyć, które z kodonów powinny być zmienione.

- Jakiego zwierzęcia używacie?

- We wszystkich przypadkach dinozaury zostały wyhodowane z kurczaków.

- Komórki kurczaków?

Pascal niemal wybuchnął śmiechem.

- A dlaczego wybraliście kurczaki?

- Wybór nie jest tak absurdalny, jak pan myśli - powiedział chłodno Penward. - Każdy gatunek ptaków nadawałby się również dobrze, ale ponieważ mikrobiolodzy przeprowadzili już tyle prac na genetycznej strukturze kurcząt dla celów rolnictwa, ułatwiło nam to zadanie.

Pascal zmarszczył brwi. - Ale dlaczego ptaki?

- Dlatego, że ptaki rozwinęły się z dinozaurów, panie Pascal - powiedział Penward wzdychając - lub raczej, z określonego gatunku dinozaurów - archeopteryksa. W związku z tym mają wspólne dziedzictwo genetyczne. W rezultacie istnieją pokrycia genetyczne, więc nie musimy modyfikować każdego genu w każdym chromosomie. A to zaoszczędza nam bardzo dużo czasu.

- Jak się modyfikuje ptasie geny by odpowiadały genom dinozaurów?

- Przez zastosowanie standardowych metod łączenia genów - łącząc DNA. Ale czasem musimy zbudować gen od nowa. Syntetyzujemy wtedy cały gen z jego podstawowego chemicznego budulca, przestawiając cztery chemiczne podjednostki kodonów aż trafiają wreszcie na prawidłową kombinację. Pracochłonny proces.

Potem, gdy jądro komórki kurczaka jest zupełnie zmodyfikowane, zarodek zostaje pozbawiony jądra, implantuje się jądro poprawione. To nazwałby pan klonowaniem. Potem komórka jajowa jest ostrożnie hodowana w sztucznym jajowodzie,

dopóki nie osiągnie dojrzałości, następnie umieszczana jest w inkubatorze. I jeżeli wszystko idzie dobrze, wykluwa się mały dinozaur.

- Nieprawdopodobne... - Pascal pokręcił głową w zdumieniu. Kurczaki w dinozaury.

- Geny są genami. Parę zmian w obrębie ich chemicznego kodu to wszystko, co determinuje różnicę między kurczakiem, dinozaurem, a panem, panie Pascal. Podstawowy materiał jest wciąż ten sam, efekt końcowy zależy tylko od kombinacji.

- Ile zwierząt pan w ten sposób wyhodował?

- Wyhodowaliśmy do dnia dzisiejszego 10 dinozaurów, no, 11, jeżeli wliczyć plezjozaura, który nie jest w sumie dinozaurem - powiedział Penward. - Mamy dalszych 12 jajek w inkubatorach.

- W porządku. Pytanie za 64 miliony dolarów - powiedział Pascal. Jaki jest powód tego wszystkiego?

Penward wydawał się być zdziwiony, jakby odpowiedź była oczywista dla każdego posiadającego minimum inteligencji. Nagle dojrzała w nim jakaś decyzja. - Czy czuje się pan na siłach by chodzić, panie Pascal?

- Myślę, że tak, dlaczego? - zapytał podejrzliwie.

Penward nie odpowiedział. Podeszedł do drzwi i ostro w nie zastukał trzy razy. Natychmiast zostały otwarte przez jednego z dozorców. Ubrany był w nieodłączny biały kombinezon i miał przy sobie dubeltówkę.

- Miles, zabieram naszego gościa na górę, na małą wycieczkę. Proszę, żebyś nam towarzyszył - powiedział do niego Penward. Odwrócił się do Pascal. - Mam nadzieję, że będzie się pan zachowywał odpowiednio, panie Pascal. Ta broń nie strzela środkami usypiającymi. Jeżeli pan spróbuje ucieczki, Miles strzeli panu w nogi. Jasne?

- Tak - odparł słabo Pascal. Zwłókł się z łóżka i oparł się o ścianę, czekając aż miną zawroty głowy. Żołądek wciąż bolał, a w

ustach miał niesmak, jakby ktoś go zapchał nasączoną czymś watą.

Idziemy - rozkazał Penward. Pascal niepewnie podążył za nim. Strażnik trzymał się z tyłu. Na zewnątrz znajdował się wąski betonowy korytarz i Pascal wiedział już, że są w podziemiach. Przeszli parę drzwi, wszystkie ze stali, w końcu znaleźli się na spiralnej klatce schodowej na końcu pasażu. Na schodach Penward powiedział: - To była część lochów starego zamku. Kazałem go zamienić na kompleks laboratoryjny.

Schody zakończyły się w pomieszczeniu o pustych ścianach. Penward przycisnął guzik w ścianie, co spowodowało jej rozsunięcie. Kiwnięciem głowy nakazał Pascalowi przejść na drugą stronę. Za przejściem znajdowała się biblioteka. Penward przycisnął inny guzik i jedna z półek z książkami przesunęła się, zamykając przejście.

Następnie Penward poprowadził Pascala z biblioteki do dużej sali o wysokim suficie, do której wchodziło się jak do muzeum. Ekspонатami w nim były dinozaury. Całe szkielety, ich części, a także poszczególne kości były wystawione w szklanych gablotach. Penward rozpostarł ramiona. - To wszystko praca mojego dziadka. Wiele skamieniałości widocznych tutaj odkrył sam, w najbliższej okolicy. To najprawdopodobniej najznakomitsza prywatna kolekcja na świecie. Spędziłem tu wiele czasu w dzieciństwie. Dinozaury stały się moją fascynacją. Obsesją, jeżeli pan woli. Doszedłem do wniosku, że dinozaury, były szczytem twórczych możliwości Natury i głębokim żalem nappełniło mnie to, że już ich nie ma. Że są bezpowrotnie stracone...

Przeniósłem tę swoją obsesję na żyjące obecnie zwierzęta, bliskie dinozaurom pod względem siły. Wielkie koty, niedźwiedzie, aligatory... Podjąłem kroki mające na celu ochronę zagrożonych gatunków, by nie podzieliły losu dinozaurów. Usiłowałem ochronić je przed ich największym wrogiem jakim jest

człowiek. Miałem parę sukcesów. Zoo Penwarda jest niejako tego dowodem. Jednak cały czas, gdzieś w głębi duszy, tkwiła moja obsesja na punkcie dinozaurów.

- I stało się. Sześć lat temu, w londyńskim zoo uczestniczyłem w obiedzie dobroczynnym na rzecz planu ochrony czegoś tam, nie pamiętam. Siedziałem obok pewnego biologa, który chcąc zabawić towarzystwo przy stole, opowiadał, że przy tempie w jakim rozwija się inżynieria genetyczna niedługo będziemy w stanie odtworzyć żywe okazy jakiegokolwiek wymarłego gatunku. Pod warunkiem oczywiście, że będzie można otrzymać jego mapę genetyczną.

- Jego słowa eksplodowały w moim umyśle niczym bomba. Od tej chwili myślałem tylko o jednym - że wskrzeszenie dinozaurów może okazać się możliwe. Wydałem fortunę na założenie laboratorium i zabezpieczenie jego obsługi przez czołowych mikrobiologów. Wszyscy przysięgli dochowanie tajemnicy. Ten manewr przyniósł sukces. To zdumiewające, co i kogo można kupić za pieniądze. Za duże pieniądze...

Penward zachichotał i ciągnął dalej. - I tak, po dwóch latach zawiedzionych nadziei i powtarzających się niepowodzeń, dokonaliśmy wyłomu. Udowodniliśmy, że można tego dokonać. Końcowe tego rezultaty żyją i mają się dobrze w moim zoo. Dwa z nich widział pan zeszłej nocy; chodźmy obejrzyć pozostałe.

Podążając za Penwardem, Pascal rozmyślał nerwowo nad rozwojem sytuacji. Im więcej mu Penward opowiadał, tym większy wzbudzało to w nim niepokój. Podejrzał bowiem, że skoro tyle dane mu było usłyszeć, to Penward jest pewny, że nie wyjdzie to poza mury posiadłości. A to mogło oznaczać, że Pascal miał być tu uwięziony, albo zabity.

Rozdział XIII

Gdy wyszli na zewnątrz, Pascal zdziwił się, że jest już dzień. Zerknął na zegarek, dochodziła 11.00. Znaczyło to, że był nieprzytomny przez ostatnich siedem godzin.

Przeszli przez dziedziniec z tyłu budynku i weszli do następnej części zoo. Po drodze Pascal widział tylko jedną osobę - dozorcę, niosącego krwawe ścierwo owcy. Człowiek ten obrzucił Pascala pogardliwym spojrzeniem. Ten zaś zastanawiał się, gdzie jest lady Jane. Czy będzie próbowała mu pomóc? Czy zechce spróbować mu pomóc? Ponuro uprzytomnił sobie, że najprawdopodobniej nie zechce...

Penward zaprowadził go wpierw do budynku, w którym został schwytany zeszłej nocy. Część dachu była teraz zwinięta i klatka skąpana była w blasku słońca, ale nawet w świetle dziennym czerwony dinozaur przedstawił sobą przerażający widok. Gdy weszli, był zajęty posiłkiem i odwrócił się ku nim z ostrzegawczym warknięciem. Jego długie zęby ociekały krwią, a ogon nerwowo rozhuścił się nad betonową podłogą. Zwierzę zdecydowanie nie było zadowolone z ich pojawienia się.

Stąpając na muskularnych nogach, zbliżało się ku nim, pozostawiając za sobą stos pogruchotanych kości. Potwór z ogromną siłą przepchnął uzbrojoną w szpony łapę pomiędzy kratami. Jego warczenie stało się głośniejsze.

- Deinonychus - odezwał się Penward z dumą. - Pochodzi z okresu kredowego. Należy do klasy dinozaurów znanych jako deinonyohozaury. To stosunkowo „nowy” dinozaur. W tym sensie, że odkryto go w 1964 roku. W Montanie. Proszę zwrócić uwagę na jego niezwykle pazury na tylnych nogach. Sterczą

niczym naturalne ostrza. Zdumiewające, nieprawdą?

- Bardzo - odparł Pascal bez entuzjazmu.

- To od nich pochodzi nazwa. Deinonychus znaczy „straszliwy szpon”.

Pascal spojrział nerwowo na mierzące sześć stóp stworzenie. - Czy on już jest dorosły?

- Tak. Ale na pustyni Gobi odnaleziono szczątki bliskiego krewnego deinonychusa, który musiał być ogromny. Niestety, odnaleziono tylko kości barku i przednie kończyny. Nic nowego nie pojawiło się od tego czasu. Przednie kończyny miały długość siedmiu stóp, co sugeruje rzeczywiście bardzo dużego dinozaura. Nazwano go deinocheirus - „straszliwa dłoń”.

- Mam nadzieję, że nie jest pan w trakcie prac nad odtwarzaniem takiego okazu - wymamrotał Pascal.

Penward roześmiał się. - Jeżeli kiedyś otrzymam potrzebne komórki, to na pewno to zrobię; choćby po to, by zobaczyć, jak wygląda. Ale mamy tutaj dinozaury o bardziej imponującej wielkości niż deinonychus. Chodźmy...

Przeszli przez grube podwójne izolowane drzwi i znaleźli się w następnym dużym, betonowym pomieszczeniu. Pascal drgnął na dźwięk ogłuszającego ryku.

- Powinienem był pana ostrzec - powiedział Penward, gdy ryk umilkł. - Nasz megalosaurus jest od paru tygodni w bardzo złym humorze. Podejrzewamy, że powodem tego może być frustracja seksualna, fizycznie bowiem nic mu nie dolega.

Pascal cofnął się, gdy potężny zielony dinozaur natarł na kraty. Od uderzenia zadrżała podłoga. Znowu rozległ się straszliwy ryk.

Podobnie jak deinonychus, ten okaz także stał na tylnych nogach, był jednak mocniej zbudowany i mierzył sobie około 10 stóp.

- To tubylec - rzekł Penward. - Komórki, które zapewniły bazę dla tego stworzenia, pochodzą z dobrze zachowanych skamielin, które wydobyl mój dziadek z jednej z naszych glinianek. Imponujący, nieprawdaż?

- Tak - mruknął Pascal. Zastanawiał się, jak bardzo niepodobne do filmowych były te dinozaury. Tamte były niezdarne, albo miały sztuczne ruchy, zdeterminowane sposobem animacji modeli. Megalosaurus, mimo swej wielkości posiadał zdumiewającą szybkość i zwinność ruchów.

Podzielił się swoimi spostrzeżeniami z Penwardem, który przytaknął. - To dlatego, że dinozaury były - są - ciepłokrwiste. Oczywiście, od dawna to przypuszczano, ale dopiero nasze prace tutaj to udowodniły. Muszę przyznać, że nie byłem wcale zdziwiony, gdy ta teoria się potwierdziła. To wyjaśnia, dlaczego dinozaury tak długo dominowały nad gadami. Ssaki wprawdzie także osiągnęły ciepłokrwistość podczas panowania dinozaurów, ale nie miały okazji stać się dla nich zagrożeniem.

- Czy ten okaz osiągnął dojrzałość?

- Prawie, lecz niezupełnie. Powiedzmy, że to młodzieniec. A teraz chodźmy, zobacz pan gwiazdę mojej menażerii... - Tyranosaurus Rex! - Pascal aż zachłysnął się z wrażenia, rozpoznawszy giganta spoza żelaznych krat. Będąc chłopcem, miał taką figurkę w swojej kolekcji plastikowych dinozaurów.

- Jest pan blisko. W zasadzie to tarbosaurus, bliski krewny tyranozaura, bardzo do niego podobny fizycznie.

Mając 15 stóp wysokości dinozaur stał na dwóch masywnych tylnych nogach, ale jego przednie kończyny były nieproporcjonalnie krótkie; jakby kikutki, wyposażone w dwa palce każdy. Nie pomniejszały one jednak wrażenia ogólnej przerażającej potęgi. Jednak najbardziej niepokojąca była ogromna głowa - mająca co najmniej cztery stopy długości i potężne szczęki.

- Niech pan patrzy, to pana zainteresuje - powiedział Penward.

Przez boczne drzwi wszedł dozorca niosąc cielaka, mającego związane tylne nogi. Wniósł go do pomieszczenia obok głównej klatki, zdjął mu z nóg sznur i wepchnął do małej zagrody połączonej z klatką. Następnie podciągnął część krat ku górze i dźgnął przerażone zwierzę, które wpadło do klatki dinozaura.

Tarbozaur obserwował to wszystko z pozornym spokojem. Stał niemalże bez ruchu w drugim końcu klatki, przechyliwszy na bok głowę. Ale gdy beczący z przerażenia cielak znalazł się w klatce, dinozaur nagle ożył.

Poruszając się z przerażającą szybkością przebył dystans dzielący go od cielaka w dwóch dudniących krokach i przygwoździł go do podłogi potężną nogą. Wielka głowa pochylila się ku szamoczącemu się zwierzęciu i potężne szczęki zamknęły się z chrzęstem gruchotanych kości.

Pascalowi skojarzyło się to z ogromnym drapieżnym ptakiem, jastrzębiem czy orłem. Patrzył, jak dinozaur rozrywa szponami krwawe już szczątki. Odwrócił wzrok z odrazą.

- Czy ten cielak musiał być żywy? - zapytał.

- To zachowuje ich sprawność - odparł Penward nie-wzruszenie. - Tak jest dla nich lepiej, bardziej naturalnie.

- Na pewno, jednak nie dla cielaka - wymamrotał Pascal.

Było mu niedobrze.

- Teraz pan rozumie, dlaczego zadawałem sobie tyle trudu, by przywrócić te zwierzęta do życia? Gdy się patrzy na te wspa-niałe stworzenia, czyż nie wydaje się zbrodnią pozwolić im znik-nąć na wieki z powierzchni ziemi? - zapytał Penward.

- To się nazywa ewolucją, sir Penward - odparł Pascal. - Mia-ły swój czas, ale okazały się nieprzystosowane. Pojawił się wyższy

gatunek, zdolny do adaptacji - ssak - i przejął rządy.

Penward zwrócił się ku niemu z pałającymi gniewem oczami.

- Idiota! Tak pan naprawdę myśli?

- To prawda - powiedział Pascal bojaźliwie. Nie podobał mu się wyraz twarzy Penwarda. Zdał sobie sprawę, że sam może wylądować w klatce dinozaura, jeżeli nie będzie ostrożny.

- To nie jest prawda! - wybuchnął Penward. Dinozaury reprezentują szczyt ewolucji. Rządziły światem przez ponad 140 milionów lat. Czy pan ma w ogóle pojęcie, jak długi to okres? W porównaniu z tym rządy człowieka na ziemi są niczym mrugnięcie okiem!

- Ale ssaki...

- Ssaki ewoluowały niemalże w tym samym czasie, co dinozaury, ale nie wytrzymały konkurencji. Pozostały małymi, nielogicznymi stworzeniami, płaczącymi się pod nogami przez te wszystkie miliony lat. I takie byłyby do dzisiaj, gdyby nie zdarzył się straszny kataklizm, który zniszczył dinozaury... Dinozaury nie stały się przestarzałe, czy niedostosowane jak pan głupio stwierdził, panie Pascal, one zostały okrutnie zniszczone. Nie przez żadne konkurujące zwierzę, ale przez kosmiczną katastrofę, której nawet one nie były w stanie się oprzeć. Był to meteor, może asteroid, który spadł na ziemię 65 milionów lat temu i pociągnął za sobą kataklizm.

Pascal kiwnął głową. Czytał o tym. - To tylko teoria - zaryzykował.

- To więcej niż teoria. To jedyne możliwe wytłumaczenie, istnieje wiele dowodów na jej poparcie, takich jak bogaty w iryd pas gliny dzielący warstwy kredy od paleozoiku. Iryd może pochodzić tylko z dużego meteoru. A ten wąski pas gliny oznacza punkt, w którym cały szereg gatunków zniknął, nie tylko dinozaury.

Pewny znak, że przez ziemię przeszedł wielki kataklizm.

- Tak, ale przetrwały niektóre inne gatunki zwierząt - nawet gady. Dlaczego tylko dinozaury zostały wymiecione przez to uderzenie meteoru?

- Eksplozja zniszczyła większość flory. Dym zasłonił słońce na lata; popiół opadając, przykrywał liście, uniemożliwiając fotosyntezę. To oznaczało brak pożywienia. Zwierzęta ciepłokrwiste potrzebują bardzo dużo jedzenia - jedynymi, które przeżyły, były zwierzęta ryjące. Ssaki. Wszystkie większe ciepłokrwiste zwierzęta - jak dinozaury - zginęły. Najpierw trawożerne dinozaury, potem kanozaury - drapieżne. Przeżyły tylko zimnokrwiste gady - żółwie, krokodyle i tak dalej. I tak ssaki odziedziczyły ziemię - walkowerem.

Pascal westchnął. - To wszystko może i prawda, ale akademicka. Dinozaury po prostu przegrały. W porządku, są bardzo imponującymi bestiami, przyznaję i osiągnął pan coś niemożliwego przywracając je do życia; ale wciąż nie rozumiem do czego pan w tym wszystkim zmierza. I nie rozumiem, dlaczego pan trzymał to cały czas w sekrecie. Zrobiłby pan fortunę, gdyby je pan ujawnił.

- Ja nie potrzebuję fortuny, panie Pascal - powiedział Penward pogardliwie. - I nie wskrzyszam moich dinozaurów po to, by je pokazywać tłumowi bezmózgowców i gamoni. Przeciwnie...

Skinął na Pascala, by podążył za nim. Opuszczając ogrodzenie, Pascal zerknął na tarbozaura. Skończywszy posiłek, przyglądał im się przez kraty, przechylając głowę jak ptak.

Na zewnątrz, Pascal zorientował się, że kierują się z powrotem do dworu. - Nie pokaże mi pan reszty?

- Widział pan bardziej interesujące okazy. Teraz mam panu do pokazania coś innego.

Powrócili do biblioteki i zeszli do tajnego laboratorium. Penward zabrał go do pomieszczenia pełnego medycznego wyposażenia. Wzdłuż jednej ze ścian biegł szklany pas przez który przeświecało tajemnicze fioletowe światelko. - Jeden z naszych inkubatorów - wyjaśnił Penward. - Proszę spojrzeć.

Pascal zerknął przez szparę i ujrzał cztery duże jajka spoczywające na podłożu ze sztucznego włókna. Do każdego jajka, dwa razy większego od strusiego, było podłączonych po kilka drucików.

- Klonujemy cztery jajka równocześnie - powiedział Penward. - Zazwyczaj tylko jedno dotrwa wyklucia, często żadne. Ale, ponieważ nasza technika poczyniła postępy, sukcesy stały się częstsze. Monitory pokazują, że wszystkie cztery okazy są w doskonałym stanie i powinny się wykluć w ciągu 24 do 48 godzin.

- Gratuluję - wymamrotał Pascal z sarkazmem, zastanawiając się jakie miało to znaczenie.

- To, co wyjdzie z jajek - to cztery zdrowe tyranozaury. Dwa samce i dwie samice. Po raz pierwszy będziemy mieć męskie i żeńskie egzemplarze tego samego gatunku. Będziemy mogli hodować dinozaury.

- Pańskie zoo będzie strasznie zatłoczone, sir Penward. Jak długo, według pana, uda się utrzymać to wszystko w sekrecie?

- Wystarczająco długo. Ale akurat te okazy nie będą wychowywane tutaj. Przewieziona zostaną samolotem do jednej z moich posiadłości w Kenii. Mam farmy w Afryce, panie Pascal, które udało mi się utrzymać pomimo różnych regionalnych przewrotów politycznych. Większość nowych rządów afrykańskich uważa mnie za przyjaciela i benefaktora.

Pascal zmarszczył brwi. - Nie rozumiem...

- Mam także posiadłości w Australii, Kanadzie i Nowej Zelandii. Wiele z nich znajduje się na odległych, odosobnionych terenach. A co za tym idzie, idealnie nadaje się do moich celów.

- Pańskich celów?

- Chcemy na nowo osiedlić dinozaura na ziemi, panie Pascal. Zamierzam wypuścić dinozaury na wolność, w każdym z krajów, o których wspomniałem. Pragnę dać jeszcze jedną szansę tym największym zwierzętom, jakie kiedykolwiek żyły. Wtedy dopiero zobaczymy, kto jest prawdziwym zwycięzcą w walce o przetrwanie między ssakami, a dinozaurami.

Pascal spojrział na niego z przerażeniem. - Chce je pan wypuścić na wolność? Pan jest pomyłony!

- Ostrożnie panie Pascal. Proszę mnie nie prowokować do zrobienia czegoś, czego by pan żałował.

- Ale nie może pan tak po prostu rozpuścić tych stworzeń po całym świecie. Proszę pomyśleć o tym, ilu zginie ludzi...

Usta Penwarda wykrzywiły się szyderczo. - Ludzie mnie nie interesują. I tak jest ich za dużo na tej planecie. Są najmniej znaczącymi okazami zwierzęcego królestwa - są jak szkodniki rozprzestrzenione po świecie, pozostawiające wszędzie brud i zniszczenie. Jeżeli o mnie chodzi, to są oni nieudanym eksperymentem Natury. I czas najwyższy, żeby odeszli.

Mając usta suche ze strachu, Pascal powiedział: - chyba nie myśli pan, że pańskie dinozaury zniszczą rasę ludzką. Mimo iż są duże i potężne, nie przeciwstawiają się przeciwieź armatom i pociskom sterowanym. W żaden sposób nie wygrają z technologią człowieka...

- Technologia niedługo oszaleje, panie Pascal - powiedział Penward szyderczo. - Każdy dureń jest w stanie zrozumieć, że zagłada ludzkości to tylko kwestia czasu. Przewiduję wojnę

atomową za kilka lat, przypadkową lub nie. To nieuniknione. A gdy będzie po wszystkim, moje dinozaury, wtedy już dobrze zadomowione w odległych obszarach świata, będą mogły spokojnie się rozwijać i rozmnażać. A to, co pozostanie z rodzaju ludzkiego, będzie bezbronne wobec nich. Mieliśmy niedawno demonstrację rzezi, jaką może dinozaur urządzić w świecie człowieka...

- To ten, który uciekł - powiedział ponuro Pascal. - Ten o którym mówiło się, że jest tygrysem...

Penward kiwnął głową. - Deinonychus - ten mały, czerwony z zakrzywionymi ku górze szponami. Wciąż pozostaje tajemnicą, jak się wydostał z klatki. Najwidoczniej musiała zostać nie domknięta przez nieuwagę jednego z dozorców, chociaż trudno mi w to uwierzyć. Wszyscy moi ludzie są stuprocentowo pewni. Tak, czy owak przedarł się przez zewnętrzny płot. Mieliśmy szczęście, że złapaliśmy go, zanim został zauważony. Ale wystarczy tego. Mam dużo pracy - odwrócił się ku dozorczy. - Miles, odprowadź pana Pascala do jego kwatery...

- Chwileczkę - krzyknął Pascal, gdy mężczyzna chwycił go za ramię. - Co się ze mną stanie? Jak długo chce mnie pan tu więzić?

- Niedługo - Penward uśmiechnął się niewyraźnie. - Bardzo krótko. Czekamy, aż środek uspokajający zniknie z pańskiego organizmu. Nie chcemy, by znaleziono w pańskim ciele jakiegokolwiek ślady.

- Moim ciele? - powtórzył Pascal. Urzeczywistniały się jego najgorsze obawy.

- Pańskie szczałki zostaną odkryte w jednej z zagród wielkich kotów. Okaże się, że pan, jako nadmiernie dociekliwy reporter, wkradł się na mój teren w nocy. Najwidoczniej chciał pan napisać jakąś sensacyjną historię o moim zoo, a kiedy odmówiłem pańskiej prośbie o wywiad, a także gdy nie powiedły

się pańskie próby przepytania moich pracowników w „Phoenix Arms”, wybrał pan bardzo niebezpieczną metodę uzyskania informacji. Z fatalnym dla siebie skutkiem.

Pascal rzucił się na Penwarda. Chciał zacisnąć dłonie na jego szyi i wytrząsnąć z niego życie. Ale nawet go nie dotknął. Dozorca pociągnął go do tyłu, odwrócił i wyrznął kolbą dubeltówki w brzuch.

Upadając na podłogę, Pascal usłyszał głos Penwarda.

- Ostrożnie Miles, im mniej śladów, tym lepiej.

Rozdział XIV

Pascal zastanawiał się czasami, jakie to uczucie być skazanym na śmierć. Teraz już wiedział.

Można stawić czoła nieuchronności śmierci, gdy pozostaje ona abstrakcją usytuowaną gdzieś daleko w mglistej przyszłości. Ale gdy okaże się, iż jest to perspektywa bardzo bliska, nie można już nad tym przejść do porządku dziennego. Trzeba przyjąć tę okrutną rzeczywistość.

Reakcją Pascala była panika. Nie mógł opanować drżenia i przeszedł kilka ataków ostrej biegunki w ciągu trzech godzin od powrotu do celi. Wiadro było wypełnione już do połowy i strasznie śmierdziało.

Nie zauważył tego. Wszystko, o czym myślał, jakoś umykało, a im więcej rozwiązań przychodziło do głowy, tym bardziej wydawały się bezużyteczne. Jedyne wyjście prowadziło przez drzwi, a te były zamknięte. Ich wyważenie nie wchodziło w rachubę, jeszcze mniej szansy miał w ewentualnym starciu z którymkolwiek z dozorców, gdyby usiłował zabrać mu broń. W celi nie było nic, co nadawałoby się na broń. Myślał o podpaleniu materaca, ale nie miał przy sobie ani zapalek ani zapalniczki. Zresztą, nawet gdyby mu się w jakiś sposób udało wydostać z tego pomieszczenia, w dalszym ciągu pozostaje problem przebrnięcia przez zaporę z ludzi Penwarda i elektrycznego płotu.

Bezsilnie przemierzał więc mały pokój wzdłuż i wszerz, zastanawiając się, jak wiele czasu mu pozostało i czy będzie to bolesne, gdy już się stanie...

Znowu pochylił się nad wiadrem, tym razem jednak by wymiotować. Usłyszał, że ktoś jest za drzwiami. Och nie - pomyślał.

Drzwi otworzyły się i Pascal niemalże zemdlął z ulgi. To była lady Jane. Nagle zawstydzilo go, że ujrzała go w takiej sytuacji. Podniósł się i wytarł usta grzbietem dłoni.

- Chryste, ale się cieszę, że cię widzę - powiedział.

Pozostała przy drzwiach, patrząc na niego z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Nie mógł się zorientować, czy w jej oczach było oskarżenie czy litość. Wreszcie się odezwała.

- Darren pozwolił mi się z tobą zobaczyć. To go bawi. My go bawimy.

Pascal zauważył czerwony ślad na jej lewym policzku.

- Uderzył cię?

- Nie chciałam odpowiedzieć na jego pytania. Na początku.

- Nie przesadzałaś, gdy mówiłaś, że on jest obłąkany. On jest kompletnie świrnięty! - Pascal wymusił na sobie nerwowy śmiech. - On planuje wypuszczenie swoich dinozaurów na wolność w różnych miejscach na ziemi. W Australii, Afryce - i na innych podobnych zapadłych terenach, tak żeby już były dobrze zadomowione, gdy skończy się TRZECIA WOJNA ŚWIATOWA. Wiedziałaś o tym?

Kiwnęła głową. - Nie mogłam o tym nikomu powiedzieć, bo Darren by mnie zabił.

- Mnóstwo ludzi zginie, jeżeli on naprawdę zacznie rozmieszczać te swoje potwory po całym świecie, nawet bez pomocy trzeciej wojny. Na początku listy jestem ja. Dokładnie rzecz ujmując, ma zamiar rzucić innie lwom na pożarcie. A ja nawet nie jestem praktykującym chrześcijaninem... - Pascal spróbował się uśmiechnąć, - mimo że poważnie myślę o nawróceniu.

- Czy to prawda - zapytała ponuro - co mi o tobie powiedział?

- To zależy, co ci o mnie powiedział - odparł.

- Wiesz, o czym mówię.

Nie miał wyboru, musiał powiedzieć prawdę. Albo przynajmniej część prawdy. - Tak, myślę, że wiem. To prawda, byłem zaciekawiony tym miejscem. Odkryłem, że to co wtedy uciekło z zoo, nie było wcale tygrysem. Chciałem odkryć, co twój mąż tak skrętnie tutaj ukrywa. Ale ty przecież cały czas wiedziałaś, że jestem reporterem...

- Czy to wszystko, czym byłam dla ciebie? Tylko sposobem, na dostanie się tutaj? - jej twarz miała kamienny wyraz, zaś oczy spoglądały na niego zimno. Pascala znowu uderzyło wielkie fizyczne podobieństwo między nią, a Penwardem. Była jego żeńskim odpowiednikiem. Czyżby Penward wybrał ją sobie świadomie ze względu na to podobieństwo? Czy to był sposób? Poślubienie swojego ideału, niczym siebie?

Westchnął głęboko. Jego życie zależało od tego, czy uwierzy w to łgarstwo, którym ją miał właśnie uraczyć. - Na początku tak, byłaś sposobem na dostanie się tutaj. Ale nie na długo. Kiedy ci powiedziałem, że cię kocham, mówiłem prawdę. Zakochałem się w tobie wbrew sobie samemu. Proszę, uwierz mi Jane. Kocham cię.

Patrzyła na niego bez słowa. Czekał niecierpliwie, modląc się w duchu, żeby mu uwierzyła. Była jego jedyną szansą na ucieczkę. Gdyby się od niego odwróciła byłby zgubiony.

Nagle rysy jej twarzy zmiękły. Zbliżyła się do niego. W oczach miała łzy. - Chcę ci wierzyć. Rozpaczliwie chcę. Oddałabym duszę za to, żeby to była prawda.

- Ależ to jest prawda! - krzyknął. - Jak mam ci to udowodnić?

- Przrzeknij, że odjedziesz stąd ze mną. Wyjedziemy z kraju. Ukryjemy się gdzieś, gdzie Darren nas nigdy nie odnajdzie. Mam pieniądze na kontaktach, o których istnieniu on nie ma pojęcia. Przrzekasz? Przrzekasz zostać ze mną na zawsze? - utkwiała swój wzrok w jego oczach.

- Przyrzekam - odparł szybko. Przyrzekam zostać z tobą na zawsze - poczucie winy było niczym, w porównaniu z ulgą, jaką poczuł. Z sumieniem da sobie radę później, teraz liczyło się tylko przeżycie...

- Wierzę ci - powiedziała wolno i z rozmysłem. - Nadzieja w Bogu, że nigdy nie okaże się, że popełniłam błąd, bo... - nie skończyła. Znaczenie tego „bo” było aż nadto czytelne i mogło oznaczać tylko groźbę. Przytuliła go mocno odnajdując jego usta. Zdawał sobie sprawę, że musi od niego nieźle śmierdzieć, ale na niej zdawało się to nie robić żadnego wrażenia. Jej pocałunek trwał bardzo długo.

Wreszcie puściła go i powiedziała. - Musimy cię stąd wydestać.

- Nie możesz po prostu zadzwonić na policję?

- Nie. Nie ma połączenia. Darren wyłączył tablicę rozdzielczą. Mam także zakaz opuszczania posiadłości. Jestem więźniem tak samo jak i ty.

- Tyle, że TY nie jesteś w menu wielkiego kota. Wiesz, kiedy planuje... - nie mógł się zdobyć by powiedzieć „zabić mnie”.

- Nie. Ale nie sądzę, by stało się to przed nocą, A to daje nam co najmniej dziewięć godzin...

- Masz jakieś pomysły?

- Jeszcze nic szczególnego. Jedynie niejasny plan.

- Chcę go usłyszeć.

- Idealnym celem jest generator. Mamy tu swoje własne zasilanie energetyczne dla oświetlenia i ogrzewania zoo, świateł bezpieczeństwa, płotu elektrycznego itd. Jeżeli mogłabym sobie z tym jakoś poradzić, dałoby to nam wystarczająco dużo czasu, by dopaść samochodu...

- A jak wydestaniesz mnie STĄD? - wskazał na ściany.

- Ten rewolwer; który ci pokazywałam... Darren o nim nie wie. Tylko jeden człowiek jest na straży na zewnątrz.

- A co z główną bramą?

- Znowu rewolwer - wzruszyła ramionami.

Pascal zastanowił się. Brzmiało to chaotycznie, ale było jedyną nadzieją. - Pozostawiam to tobie. Byłeś tylko nie zjawiała się za późno.

- Dowiem się od Darrena kiedy ma zamiar... - ona również nie śmiała tego, wypowiedzieć.

Drzwi otworzyły się bez ostrzeżenia. Stał w nich jeden z dozorców, trzymając dubeltówkę w ręku. - Czas się skończył, lady Jane - powiedział, wyglądając na zażenowanego.

- Dzięki, Farson - odpowiedziała wyniośle. Odwróciła się ku Pascalowi i posłała mu uspokajający uśmiech. - Porozmawiam z Darrenem. Zobaczę, czy uda mi się go przekonać by zrezygnował z tego zamiaru. Głowa do góry, kochanie - cmoknęła go i wyszła z pokoju, ignorując strażnika. Ale gdy zostali sami, ten uśmiechnął się do Pascala i powiedział zniżonym głosem. - Nie rób sobie nadziei - i trzasnął drzwiami za sobą. Po wizycie lady Jane Pascal poczuł się lepiej, ale te następne dziewięć godzin było wciąż piekłem oczekiwania. Nawet mimo tego, że teraz miał nadzieję, której brakowało mu przedtem. Trapiły go jednak poważne wątpliwości co do możliwości wydostania się z posiadłości. Było zbyt wiele zagrożeń, zbyt wiele zależało od łutu szczęścia.

Pozostawała jeszcze ponura możliwość, że Penward przyjdzie po niego ze swymi ludźmi, zanim lady Jane będzie w stanie wprowadzić swój plan w życie.

W miarę upływu godzin strach rósł. O dwudziestej trzeciej nerwy miał napięte do ostateczności. Miał ochotę wrzeszczeć i walić pięściami o ścianę - byle tylko dać upust rozsadzającemu go napięciu

O 23.15 usłyszał dalekie bicie dzwonów. A po krótkiej chwili usłyszał ruch na korytarzu za drzwiami. Długa pauza i dźwięk klucza w zamku. Pascal czuł lodowate zimno. Czy to lady Jane, czy jego oprawcy?

- Och, dzięki Bogu... - wyszeptał, gdy ujrzał wchodzącą lady Jane. Ubrana była w czarny dres i trzymała w ręku mały chromowany pistolet, który już widział.

- Szybko, musimy się spieszyć. Samochód zaparkowałam obok bocznych drzwi. Żebyśmy tylko zdążyli...

Podążył za nią. Strażnik leżał twarzą do ziemi. Z boku głowy ciekła mu krew. - Twoja akcja się udała? - zapytał gdy biegł korytarzem.

- Nie moja - odpowiedziała przez ramię. Byłam w drodze do generatora, kiedy odezwały się dzwonki alarmu. To oznacza, że czujniki ciepła na płocie zostały włączone przez intruza, Darren wziął do przeszukiwań wielu ludzi, więc horyzont jest chwilowo czysty.

Zbiegli po spiralnych schodach i zasapani wpadli do biblioteki. Światła były zapalone, nie było nikogo. Lady Jane podeszła do jedynych drzwi prowadzących na zewnątrz. Unosząc ostrzegawczo dłoń nakazała, by się szybko schował.

Uskoczył za wielkie pokryte skórą krzesło. W momencie, gdy drzwi zaczęły się otwierać lady Jane podniosła rewolwer niczym maczugę. Wszedł jeden z dozorców. Najwidoczniej był na patrolu, bo pod pachą trzymał karabin. Gdy wszedł do biblioteki lady Jane wysunęła się spoza zasłaniających ją drzwi i z całej siły uderzyła go kolbą rewolweru w tył głowy.

Jęknął z bólu, upuścił broń, ale nie upadł. Stał, kiwając się, powoli zaczął się odwracać. Lady Jane znowu go uderzyła. Kolba rewolweru wydała nieprzyjemny odgłos. Upadł na kolana, potrząsając głową. Uderzyła go po raz trzeci, z całej siły. Upadł na twarz i znieruchomiał.

Pascal roztrzęsiony wstał zza krzesła. Teraz już wiedział, co przytrafiło się strażnikowi przed jego celą. Lady Jane, niewzruszona, podniosła karabin i podała go Pascalowi. - Weź to. Wiesz jak go użyć?

- Tak - wskazał głowę dozorca. - Chyba zabiłaś tego faceta.

Wzruszyła ramionami. - O jednego z oddanych niewolników Darrena mniej. Ale zostało ich jeszcze mnóstwo. Idziemy.

Pascal podążył za nią ciągiem nie kończących się, jak się wydawało, mrocznych korytarzy. Karabin ciążył mu w dłoniach. Miał nadzieję, że nie będzie musiał go użyć. Zresztą nie był pewny czy potrafiłby to zrobić. Wszystko, do czego strzelał przedtem to były tarcze; nigdy nie wymierzał broni do niczego, co żywe, nawet do królika...

Udało im się wydostać na zewnątrz, nie spotykając nikogo. Samochód był zaparkowany tak, jak mówiła. Rzucili się do niego i lady Jane uruchomiła silnik. - Jesteśmy w połowie drogi! Jedynie, co nam zostało, to przedostanie się przez bramę...

Kiedy samochód ruszył, spodziewał się krzyków, nawet strzałów od strony domu, ale nic takiego się nie wydarzyło. Poczul się nieco odprężony, gdy lady Jane skrzyła na główną drogę dojazdową. Światła nie włączała, ale najwidoczniej знаła drogę wystarczająco, by poradzić sobie w ciemności.

- Zanim dojedziemy do wartowni przy bramie, zwolnię a ty wysiądziesz z karabinem - odezwała się. - Zatrzymają mnie na bramie, bo takie mają rozkazy - a ja zacznę się z nimi kłócić. Potem powiem, że Darren dał zezwolenie na mój wyjazd. Jeden z ludzi zadzwoni do domu, a wtedy ty ich zaskoczysz...

- I co zrobię? - zapytał Pascal nerwowo.

- Wycelujesz do nich z karabinu. Będzie ich tylko dwóch. A gdy ty się ukażesz, ja wyjmę rewolwer. Będę go miała pod siedzeniem. Zmusimy ich do otwarcia bramy, zwiążemy i... odjazd. Ku wolności. Ku nowemu życiu...

- Mam nadzieję - wymamrotał. Nerwowe skurcze żołądka znowu wróciły.

- Cholera! - niespodziewanie wykonała skręt, ledwo mijając jedno z drzew. Samochód podskoczył na trawie i przeszorował przez rząd krzaków.

- Co jest! - krzyknął Pascal zaniepokojony, gdy zahamowała.

- Darren już wraca, niech to szlag! - zaklęła.

Pascal ujrzał trzy pary świateł zbliżających się drogą.

- Myślisz, że nas widzieli?

- Nie, ale pochył się...

Samochód znajdował się około 30 stóp od drogi i częściowo zakrywały go krzaki. Była nadzieja, że nie zostanie zauważony w ciemnościach, ale Pascalowi serce zaczęło walić jak młot, gdy trzy pojazdy nadjeżdżały w szybkim tempie.

Zerkając przez okno, ujrzał trzy Land Roversy, mijające ich kryjówkę. Oddaliły się, nie zwalniając.

Jednakże Pascal był zbyt zaszokowany, by czuć ulgę. W drugim pojeździe bowiem ujrzał kogoś, kogo rozpoznał. Trwało to ułamek sekundy, ale nie mogło być pomyłki - światła z trzeciego wozu oświetlały wszystkie twarze. Jedną z nich była twarz Jenny.

- Bogu dzięki, nie zauważyli nas - powiedziała lady Jane. Wyciągnęła rękę ku stacyjce, ale Pascal chwycił ją za ramię.

- Poczekaj - powiedział nagłaco. - Musimy wrócić.

- Co?

- W jednym z pojazdów widziałem Jenny. Musimy po nią wrócić.

- Kto to jest Jenny? - głos Jane był lodowaty.

- Dziewczyna, z którą pracuję. Znajoma. Wiedziała, że chcę się dostać do zoo. Musiała wydedukować gdzie się podziewam i pojechała za mną. Jak ją stamtąd wydostaniemy?

- Nigdy przedtem o niej nie wspomniałeś. Jak bliską znajomą jest dla ciebie?

- Psiakrew, jest znajomą, to wszystko! - wrzasnął. - Co to ma do rzeczy? Najważniejsze, to znaleźć sposób, by ją uratować.

- Jest więcej, niż znajomą - zarzuciła mu lady Jane głosem przypominającym warknięcie. - Poznaję to ze sposobu w jaki o niej mówisz. Spałeś z nią, prawda?... Ty draniu...

- Na rany Chrystusa, przedyskutujemy, to - później! - krzyczał - życie Jenny jest w niebezpieczeństwie! Masz zamiar mi pomóc, czy nie?

- Powiedz mi, kim ona jest dla ciebie? - zażądała Jane, ignorując jego pytanie.

Pascal z trudem mógł dojrzeć w ciemności jej twarz - była wykrzywiona furią i zazdrością. Nagle Pascal nie wytrzymał.

- Chcesz wiedzieć o Jenny? - ryknął. - W porządku, opowiem ci. Kocham ją! Cały czas cię okłamywałem! Dziś po południu także cię okłamałem. Nie kocham cię. Psiakrew. Nawet za bardzo cię nie lubię. Jesteś wyniosłą, pomyloną, obsesyjnie samolubną, oszalałą nimfomanką! Ty nie potrzebujesz miłości, tobie potrzebna jest farma samców! Gdybym miał jeszcze raz cię przelecieć, zwymiotowałbym z obrzydzenia!

Ostatnie parę zdań wywrzeszczał na całe gardło. Śmiertelna cisza, jaka nastąpiła była niepokojąca. Minęła długa chwila, nim lady Jane się ocknęła. Wyciągnęła rękę do schowka...

Pascal wiedział, co było w środku. Jej rewolwer. Zareagował szybko. Karabin trzymał między kolanami odkąd wsiadł do samochodu. Kolba spoczywała na podłodze, zaś lufa opierała się o przednią szybę. Teraz instynktownie uderzył ją lufą w skroń. Jęknęła i osunęła się na kierownicę.

Odnalazł jej puls. Odetchnął. Był miarowy. Wątpił, żeby zabił jej jakąś poważniejszą krzywdę. Żałował swojego wybuchu.

Powinien rozegrać to inaczej, lepiej, ale natłok wydarzeń tego dnia wytrącił go z równowagi. Ale za to zrobiło mu się lżej, że to kłamstwo, z którym żył, już się definitywnie skończyło...

Wyjął rewolwer ze schowka i wyrzucił go w krzaki. Potem, ułożył lady Jane w wygodniejszej pozycji, wysiadł z samochodu i ruszył w stronę dworu oddalonego co najmniej o pół mili.

Pojęcia nie miał, co zrobi gdy już tam dotrze. Wiedział tylko, że musi się jakoś dostać do środka i odnaleźć Jenny. A potem...

Szedł może z 10 minut, gdy ujrzał światła jednego z Land-Roverów wracających drogą. Zanurkował w krzaki, by przeczekać aż przejedzie. Domyślił się, że jego ucieczka została odkryta, a teraz jest poszukiwany. On i lady Jane.

Ruszył dalej. Budynek był coraz bliżej. Powinien obejść go dużym łukiem, by podejść z boku.

Nagle głośny, znajomy dźwięk wypełnił noc. Spojrzał w górę i zobaczył ciemny kontur przesuwający się w powietrzu. To był helikopter, przeczesujący zarośla snopem ostrego światła.

Pascal usiłował uciec, ale natychmiast został oświetlony. Głos z megafonu rozkazał: - Rzuć broń i nie ruszaj się!

W odpowiedzi uniósł karabin i trzykrotnie strzelił w oślepiające światło. Nie czekając na efekt, odwrócił się i puścił zyg-zakowatym biegiem, jak mógł najszybszym.

Świetlny krąg odnalazł go jednak ponownie. Głośno niczym młot pneumatyczny, rozległ się odgłos serii z karabinu maszynowego. Kawalki trawnika wyleciały w powietrze parę stóp od Pascala. Zatrzymał się, rzucił karabin i uniósł ręce. Łoskot helikoptera stał się ogłuszający, gdy osiadł nie opodal. Usłyszał, że ktoś biegnie ku niemu. Oślepiony przez reflektory nie widział niczego. Poczul potężne uderzenie. Upadł.

Rozdział xv

Pascal był jeszcze ogłuszony, gdy wyciągnęli go z helikoptera, który wylądował na tylnym dziedzińcu między budynkami zoo. Usiłował stanąć kiedy ciągnięto go po żwirze, lecz nogi odmówiły mu posłuszeństwa.

Został zabrany do biblioteki. Był tam Penward, była także Jenny. Siedziała na krześle, przygnębiona. Ujrawszy Pascala, krzyknęła, próbując ku niemu podbiec, ale została pchnięta z powrotem. Była bardzo blada i miała siniaka na prawym policzku, poza tym jednak nic jej nie było.

Pascal został podciągnięty ku górze przez dwóch dozorców podtrzymujących go pod ramiona. Podszedł do niego Penward, z błyskiem złości w oczach. - Najwyraźniej nie doceniłem pańskiej władzy nad Jane, panie Pascal. Ale, ale, gdzie moja droga żona?

- Nie wiem - odparł z trudem.

- Jeżeli pan jest tutaj, to ona musi być w pobliżu. Na pewno nie opuściła posiadłości. Nie zauważono jej z wartowni nie było też sygnału, że próbuje sforsować któryś z plotów, To z kolei prowadzi nas do obecnej tu panny Stamper - odwrócił się ku Jenny.

- Rozumiem, że ta piękna młoda kobieta jest pana koleżanką. Tak?

Pascal kiwnął głową. Posłał jej słaby uśmiech i powiedział. - Cześć Jen. Dobrze się czujesz?

- W porządku...

- Jest w porządku, panie Pascal - przerwał im Penward. - Mimo, że wcale nie powinna tak się czuć. Ledwo uszła z życiem

na wewnętrznym płocie. Jej sposób forsowania go był przerażająco amatorski - że wymienię dwie aluminiowe drabiny i gumowa płachta. Ma bardzo dużo szczęścia, że żyje. Powinno to panu pochlebiać, panie Pascal. Podjęła to ryzyko dla pana. Pytanie brzmi, skąd wiedziała, że pan jest tutaj? No panno Stamper?

Jenny posłała Pascalowi zaniepokojone spojrzenie, najwyraźniej zastanawiając się, ile powinna powiedzieć Penwardowi.

Wreszcie wolno powiedziała: - Kiedy David nie pojawił się wczoraj w pracy, ani nie dzwonił do biura, ja zadzwoniłam do jego matki. Nie wiedziała gdzie się podziewa, nie niepokoiło jej to jednak, bo przez ostatnie parę tygodni rzadko bywał w domu...

- My wiemy dlaczego - sucho wtrącił Penward, odwracając się ku Pascalowi. - Był absolutnie zajęty moją drogą żoną. Nieprawdaż, panie Pascal?

Ten milczał, unikając wzroku Jenny.

- Proszę kontynuować, panno Stamper - rozkazał Penward.

- Więc, nie myślałam o tym więcej, aż do lunchu, kiedy Henry - nasz fotograf - wpadł, by zapytać po co Davidowi był potrzebny aparat fotograficzny, który od niego pożyczył i jaki był powód jego podniecenia. Wiedział tylko, że David powiedział, że idzie na polowanie. Wiedziałam, że David był ogarnięty obsesją dostania się tutaj więc zgadłam gdzie jest...

- W związku z tym zorganizowała pani samotną akcję ratunkową - zapytał Penward.

- Tak... no nie... - zbyt późno zrozumiała swój błąd. - Powiedziałam paru osobom, dokąd się wybieram - dodała szybko.

Penward uniósł lekceważąco brew - Naprawdę? A komuż to? Oczywiście było, że jej nie wierzy.

- No, Henry'emu... Powiedziałałam Johnny'emu McGibbon. Jest także reporterem w gazecie...

Penward pokręcił głową. - Nie sędzę, aby pani to zrobiła - podszedł do stołu i podniósł aparat fotograficzny, pokazując go Pascalowi. - Obawiam się, że motywy ekspedycji ratowniczej panny Stamper nie były czysto altruistyczne. To miała ze sobą. Tak, jak w pana przypadku, górę wziął instynkt reporterski. Chciała tę potencjalną sensację mieć tylko dla siebie. I szczerze wątpię, żeby kogokolwiek o tym informowała. Nieprawda, panno Stamper?

Spojrzała na niego wyzywająco. - Owszem, powiedziałałam im dokąd się wybieram. Jeżeli nie będzie mnie jutro w pracy, zjawia się tutaj, by mnie znaleźć.

- Obawiam się, że muszę to nazwać bluffem, panno Stamper - odezwał się Penward znużony. - Nie żeby to miało jakieś znaczenie. Zresztą jutro wielu ludzi będzie znało pani miejsce pobytu, ale nie będzie to z korzyścią dla pani.

Zmarszczyła brwi. - Co pan ma na myśli?

Ale Penward nie zwracał już na nią uwagi, w zamyśleniu spoglądał na trzymany aparat. Odezwał się do dozorczy, stojącego za krzesłem Jenny. - Wciąż możemy zrealizować nasz plan - z pewnymi zmianami. Będziemy musieli wymyślić wytłumaczenie, jak oboje dostali się do zagrody lwów...

Pascal ujrzał, jak Jenny zbladła. - O czym pan mówi? - chciała wiedzieć.

Penward jednak wciąż ją ignorował. Zupełnie jakby już uważał ją za istotę martwą. W jego umyśle była już nieżywym ciałem. Potarł brodę w zamyśleniu. - To jest wykonalne. Wybieg lwów jest podobny do sekcji parkowej. Po ciemku łatwo nie zorientować się, co tam jest. Zostawimy jedną z drabin panny Stamper przy płocie. Będzie wyglądało na to, że dwoje dociekliwych reporterów chciało się dostać na teren posiadłości, pokonując po drodze płoty, a przez pomyłkę weszli do lwów...

Jenny stała się trupio biała. Spojrzała błagalnie na Pascala, w nadziei, że da jej jakieś uspokajające znaki, że to były wszystko żarty. Wszystko na co go było stać, to odważny uśmiech. W efekcie tylko powiększyło to strach w jej oczach.

- Może moglibyśmy nieco upiększyć scenariusz - zadumał się Penward. - Byłby to niezły pomysł, gdyby ciało dziewczyny miało złamaną nogę. Będzie jasne, że złamała ją upadając z płotu. Młody człowiek pospieszył jej na pomoc - i odmówił pozostawienia jej nawet wtedy, gdy okazało się, że na wybiegu są lwy. W ten sposób możemy wytłumaczyć dlaczego oboje dostali się lwom...

Pod wpływem słów Penwarda, Jenny zdawała się mdleć. Wyglądała jak wystraszona nastolatka. Pascal poczuł ogarniającą go falę współczucia dla niej. Musiał ją uratować. Już nie chodziło mu o jego własne życie. Liczyła się tylko ona.

Drzwi się otworzyły i wbiegło jeszcze paru ludzi Penwarda.

- Znaleźliśmy samochód lady Jane, w krzakach obok głównego traktu, jakieś pół mili od domu. Jednak ani śladu lady Jane, sir Penward.

- Szukajcie - powiedział sir Penward poirytowany. - Macie ją znaleźć i zamknąć w jej mieszkaniu w ciągu godziny.

Kiedy człowiek Penwarda wyszedł, dozorca zza krzesła Jenny odezwał się. - Czy teraz łamiemy?

- Co łamiemy? zapytał Penward w roztargnieniu.

- Jej nogę - odparł dozorca uprzejmie, wskazując Jenny.

- Nie. Nie tutaj. Na zewnątrz - odparł Penward. - I to chyba teraz. Zabieramy ich.

Dwaj ludzie trzymający Pascala za ramiona ścisnęli go mocniej odbierając mu możliwość jakiegokolwiek oporu. W tym samym czasie inny z dozorców ściągnął Jenny z krzesła. Próbowała się bronić, ale był dla niej zbyt silny.

Wkrótce oboje zostali popędzeni mrocznym korytarzem ku tyłowi budynku. A z oddali dał się słyszeć mrozący krew w żyłach dźwięk - ryk lwów.

To nie był tylko ryk lwów. Kiedy Pascal był ciągnięty ku dziecinowi, wydawało mu się, że ryczały wszystkie wielkie koty. Noc wypełniona była kakofonią dzikich odgłosów, z którymi najdziksza część afrykańskiej dżungli nie mogłaby konkurować.

Penward zatrzymał się nagle. - Co do cholery się z nimi dzieje? - krzyknął.

- Coś je niepokoi - odparł jeden z dozorców trzymający Pascala.

- Tak, ale co? - zapytał Penward zirytowany.

Niemal natychmiast dostał odpowiedź. Zza węgła najbliższego dużego budynku zoo, mieszczącego dinozaury, wybiegł dozorca. Biegł jak mógł najszybciej i kiedy ujrzał Penwarda, zaczął wykrzykiwać ostrzeżenia. I mimo iż jego słowa były nieczytelne, ich sens natychmiast stał się jasny.

Zza węgła wybiegł tarbozaur.

W tym otoczeniu to mierzące 30 stóp i ważące 7 ton stworzenie wyglądało na jeszcze większe. Zatrzymało się na rogu budynku, rozglądając się za ofiarą. Zauważywszy biegnącego człowieka, natychmiast ruszyło za nim.

Dozorca pędził przez dziedziniec. Nie dobiegł jednak. Tarbozaur dojrzał dozorcę, i nadepnął go wielką, uzbrojoną w szpony nogą. Człowiek wrzasnął przeraźliwie, lecz wielka głowa z rzędami długich zębów pochyliła się nad nim i nagle nie zostało nic prócz postrzępionych szczątków w wielkich szczękach. I znowu Pascalowi skojarzyło się to z atakiem jakiegoś wielkiego, pozbawionego piór jastrzębia czy orła.

Jenny krzyczała rozpaczliwie. Penward i jego ludzie wolniutko, niczym pod wodą, ruszyli się: Penward zaczął biec w stronę dinozaura, ale nagle się zatrzymał, zrozumiawszy głupotę takiego czynu.

Dozorcy trzymający Pascala puścili go, by dołączyć do swego szefa. Jeden z nich, w biegu zdejmował karabin z ramienia.

- Co mamy zrobić, sir? - krzyczał. - Zastrzelić go?

Penward zawahał się. Dinozaur, kończąc przekąskę, na razie ich ignorował. Wraz z ostatnim chrzęstem kości, uniósł głowę przechylił ją na bok i spojrzał na nich.

Penward zdecydował się. - Cholera jasna! - krzyknął. - Musimy. Celuj w oko.

Dozorca przyklęknął na jedno kolano i uniósł karabin. Tarbozaur wciąż ich obserwował, przypuszczalnie zastanawiając się którego wybrać na następną ofiarę. Jego prawe oko stanowiło świetny cel dla strzelającego.

Nagle jeden z Land Roverów powracających z poszukiwań lady Jane, wjechał na dziedziniec. Kierowca, ujrawszy dinozaura, zahamował gwałtownie z piskiem opon.

Gdy zdumiony dozorca odwrócił się by spojrzeć na intruza, karabin wystrzelił. Kula uderzyła w górną część szyi tarbozaura, pograżając się w grubych mięśniach i nie robiąc zwierzęciu zbytnej szkody. Reakcją jednak był potężny, wysokiej tonacji, ryk bólu i wściekłości, a następnie atak na Land Rovera. Mózg gada omyłkowo skojarzył pojawienie się pojazdu, z palącym bólem w szyi. Podczas obrotu zwierzęcia, jego ogon przeorał żwir dziedzińca zbliżając się do Penwarda i jego dwóch ludzi.

Penward i jeden z mężczyzn rzucili się do tyłu, w samą porę, lecz ten z karabinem nie zdążył porwać się z klęczek. Wyglądało to, jakby został uderzony pniem drzewa. Został odrzucony w powietrze i upadł w odległości około 15 stóp z pogruchotanymi kośćmi. Leżał, wijąc się, niezdolny by wstać.

Tarbozaur rzucił się na samochód. Jego czterech pasażerów zdążyło wyskoczyć w samą porę, by uniknąć ciosu wielkiej nogi spadającej niczym kafar na pojazd. Szyba rozprysła się w drobny

pył, gdy dach ze zgrzytem rozdieranego metalu zapadł się pod ciężarem.

Jeden z czwórki wystrzelił z obu luf swojej dubeltówki. Kule jednak ześlizgnęły się po skórzastych łuskach dinozaura nie czyniąc mu krzywdy. Jeszcze raz ogromna noga spadła na Land Rovera, zamieniając go we wrak.

Zwierzę zwróciło teraz swoją uwagę ku ludziom...

W tym czasie Pascal wykorzystał swoją szansę. Dozorca trzymając Jenny, puścił ją, zapatrzonej w osłupieniu na szalejącego dinozaura. Pascal podszedł do niego z tyłu, tak blisko jak się dało i uderzył go z całej siły kantem dłoni w kark. Uderzenie wstrząsnęło każdą kością dłoni i nadgarstka powodując jęk bólu, ale poczuł satysfakcję, ujrawszy, że dozorca się przewraca.

Porwał Jenny za ramię i pociągnął ku drzwiom, którymi niedawno wyszli. Ani Penward, ani też nikt inny nie zauważył, jak Pascal otworzył drzwi i wepchnął dziewczynę do środka.

Wszystkie oczy skierowane były na dinozaura...

Pobiegli w głąb korytarz. Pascal nie miał pojęcia dokąd biegać, ani co mają dalej robić. Miał mglisty zamiar, by odnaleźć tablicę rozdzielczą, o której wspomniała lady Jane i zadzwonić po pomoc. Głównie jednak myślał o uzyskaniu dla siebie i Jenny odroczenia strasznej śmierci.

Znaleźli się w pogrążonym w półmroku pokoju bilardowym. Był pusty, jeżeli nie liczyć zbroi stojących pod ścianami. - Zatrzymajmy się - sapnął Pascal do Jenny, która ciężko dysząc oparła się o stół bilardowy. - Na razie jesteśmy bezpieczni. Penward i jego kompania są zbyt zajęci tym czymś na dziedzińcu, by się nami przejmować.

Odwróciła ku niemu zalaną łzami twarz: - David, a co to było, to coś? Skąd się ta potworność tam wzięła?

Pascal wyszczerzył do niej zęby. Ulga dała mu poczucie lekkości. Euforii nawet. - Potworność? Tak się nie mówi o stworzeniu, które uratowało ci życie. Nam obojgu...

- Ale co to było?

- Dinozaur, oczywiście. Jest ich tu pełno - odparł. - Ale jeden Bóg wie, jak ten się wydostał.

- Prawdziwy dinozaur? - zapytała ze zdumieniem. - Skąd on się wziął? Z Afryki?

- Nie. Nie z Afryki. To długa i skomplikowana historia; opowiem ci ją później. A tymczasem, zastanówmy się, co dalej robimy?

Zakryła twarz rękoma. - Nie wierzę, że to się dzieje naprawdę. To jest jakiś koszmar senny. Najpierw sir Penward chciał nas zabić, a potem pojawia się ten potwór i rozszarpuje na strzępy faceta...

Podszedł do niej i delikatnie rozchylił jej dłonie. Lekko pocałował ją w usta. - To był koszmar, ale teraz jesteśmy razem i wydostaniemy się stąd. A tak na marginesie, dziękuję, że za mną przyjechałaś. Szkoda tylko, że przyjechałaś sama...

Spojrzała nieco zmieszana. - Nie miałam pewności, że masz kłopoty. Gdy zdecydowałam się, że możesz być tutaj, myślałam, że jesteś gościem...

- Gościem? Skąd ci to przyszło do głowy?

- Henry Wates powiedział mi nie tylko o aparacie, który pożyczyleś, ale także o swojej pewności, że masz romans z lady Penward.

- Kochany stary Henry - wymamrotał Pascal.

- Najpierw się roześmiałam, potem przypomniałam sobie, że nie widywałam cię przez ostatnie tygodnie. Czy to prawda, co sir Penward powiedział o tobie i jego żonie?

Westchnął. - Tak, to prawda, ale...

- Kochasz ją? - zapytała niecierpliwie.

- Nie! - wykrzyknął. - Kocham ciebie!
- Naprawdę?
- Oczywiście. Zdałem sobie sprawę jak bardzo, dopiero dzisiaj, gdy byłem zamknięty tam na dole. Wiedziałem, że pozostało mi kilka godzin i bałem się jak jasna cholera. Myślałem o tym wszystkim, czego już nigdy nie zrobię, czego nie zobaczę... Najbardziej bolesna była myśl, że już nigdy nie zobaczę ciebie.

- Och, David... - zarzuciła mu ręce na szyję i wtuliła twarz w jego ramię.

Przytulił ją mocno. Wiedział, że wciąż grozi im wielkie niebezpieczeństwo, ale nie mógł opanować uczucia szczęścia. Szczęścia, jakiego od dawna nie czuł.

Z oddali dał się słyszeć trzask, po którym nastąpił brzęk szkła, ktoś krzyknął, potem odezwał się ryk jakiegoś zwierzęcia.

Jenny zeszywniała i spojrzała na Pascala przestraszona. - Dinozaur?

Zmarszczył brwi. - Brzmiało to, jakby z wnętrza budynku; to nie może być ten sam dinozaur.

- To znaczy, że mogą być dwa?

Zanim mógł potwierdzić, znowu usłyszeli ryk. Tym razem bliżej. Cokolwiek to było - szło w ich stronę.

Tarbozaur zaryczał wpatrując się w nocne niebo. Na dziedzińcu pojawiło się trzech następnych dozorców. Dwóch miało strzelby z nabojami usypiającymi, lecz pociski uderzające w ciało zwierzęcia doprowadziły je do furii.

- To nic nie da! - krzyknął Penward do swych ludzi. Ma za grubą skórę! Podniósł karabin upuszczony przez tego, który został powalony ogonem bestii. Niestety, lufa była zgięta siłą uderzenia. Zaklął i odrzucił go. Przypomniawszy sobie o ciężkim karabinie maszynowym w helikopterze.

- Miles! - wrzasnął poprzez dziedziniec, karabin! - Wskazał na helikopter stojący w odległym krańcu dziedzińca. Miles,

znajdujący się najbliżej maszyny uniósł kciuk ku górze i ruszył ku niej biegiem. Tarbozaur tymczasem zwrócił uwagę na Penwarda, nie mogąc złapać pozostałych.

Penward zrozumiał niebezpieczeństwo w ostatnim momencie, gdy dinozaur już pędził susami ku niemu. Nie docenił jego szybkości.

Odwrócił się i popędził ku drzwiom. I w samą porę, bo gdy je za sobą zamknął i rzucił się płasko na podłogę korytarza, drzwi rozprysły się w drzazgi.

Penward gramolił się dalej wzdłuż korytarza, uciekając przed szponami drącymi podłogę w jego poszukiwaniu. Dinozaur wkrótce zrezygnował z polowania i oddalił się ku łatwiejszej zdobyczy. Penward wyjrzał przez szczątki drzwi. Zwierzę biegło ku helikopterowi.

- Miles! Ty cholerny idioto! - krzyknął Penward ze wściekłością. Dozorca bowiem włączył wewnętrzne światła helikoptera, prawdopodobnie by ułatwić sobie obsługę karabinu. Światła przyciągnęły zwierzę.

To co stało się później, miało w sobie jakąś straszliwą nieuchronność. Dinozaur znalazł się przy helikopterze zanim Miles miał okazję ruszyć karabin. Wielka łapa znowu się uniosła i uderzyła. Kadłub maszyny pękł jak skorupka jajka. Z wraku doszedł przeciągły krzyk.

Następne uderzenie wielkiej nogi. Maszyna przewróciła się na bok i powietrze wypełniło się natychmiast zapachem benzyny. Nastąpił błysk, wybuch i cały helikopter stanął w płomieniach.

Przestraszony tarbozaur cofnął się przed ogniem, odwrócił się i skierował się z dziedzińca ku zoo. Penward poderwał się z ukrycia wykrzykując rozkazy. - Zgasić ogień! Nie potrzeba nam tu przecież brygady strażackiej! - Płomienie z palącego się helikoptera strzelały teraz wysoko w niebo. Milesa nie było już słychać.

Penward obserwował tę scenę z ciężkim sercem. Cenna maszyna była zniszczona, dwóch ludzi zginęło, trzeci po uderzeniu ogonem wyglądał fatalnie. A tymczasem tarbozaur wciąż był na wolności. Musi zostać zatrzymany, zanim świat dowie się o jego istnieniu.

- Chodźcie ze mną! - rozkazał jednemu z dozorców, oglądającemu w oszłomieniu płonący helikopter. - Nie możemy stracić tego cholernego zwierzęcia z oczu!

Dogonili zwierzę przy wybiegu dla lwów. Wielkie koty biegały tam i z powrotem oszalałe ze strachu i złości, podczas gdy dinozaur spoglądał na nie sponad mierzącego 12 stóp płotu. Trudno było określić, czy uważał je za ofiary, czy za naturalnych wrogów, wydał jednak groźne warknięcie i zaczął uderzać w płot.

Penward spoglądając zza rogu pobliskiego budynku zaklął z furją. Wskazał na walkie-talkie u pasa dozorca: - Zawiadom pokój ochrony. Powiedz, że chcę tu natychmiast wszystkich z karabinami! Odwrócił się ku wybiegowi lwów. Płot zaczął się wyginać pod siłą kopnięcia dinozaura. Druciana siatka zaczęła pękać, za nią zaś lwy - dwa samce i pięć samic - wpadło w jeszcze większy szal.

- Z pokoju ochrony nie ma odpowiedzi! - krzyknął dozorca.

- Idiota - warknął Penward i wyrwał mu trzeszczące radio z ręki. Wydał przecież rozkaz, by pokój ochrony, jako centrum systemów alarmowych w posiadłości, a także centrum łączności międzynarodowej, miał pełną obsadę przez 24 godziny na dobę. Przycisnął mocno guzik, ale dozorca miał rację - nie zgłosił się nikt.

Płot wygiął się z groźnym łoskotem. Penward ujrzał jak dinozaur przestąpił płataninę poszarpanej metalowej siatki i dostał się na wybieg. Lwy, prezentując swą naturalną kocią inteligencję, ruszyły błyskawicznie. Rozbiegły się dookoła nadchodzącego tarbozaura szorując brzuchami po ziemi, jak wystraszone domowe

koty. Wszystkie - prócz jednego, a raczej jednej lwicy. Gdy dinozaur zastąpił jej drogę, wydała zduszony ryk i rzuciła się na niego. Jej skok wznosił ją na wysokość barku dinozaura, wbiła mu pazury głęboko w pokrytą łuską szyję i wgryzła się w nią. Tarbozaur wydał ryk bólu, próbując uwolnić się od napastnika.

Penward nie widział wyniku nierównej walki dwóch drapieżników. Miał większe zmartwienie. Dwa z oszalałych ze strachu lwów pędziły prosto ku miejscu, gdzie stał wraz z dozorcą. Normalnie Penward nie obawiał się lwów, ale te dwa były w takim szale, że wiedział iż zabiją wszystko, co znajdzie się na ich drodze.

Odwrócił się i zaczął biec.

Nie miał pojęcia, co się stało z dozorcą. Biegając alejką zerknął przez ramię, ale nie było śladu po mężczyźnie ani po kotach. Penward miał nadzieję, że oba lwy uganiały się za dozorcą.

Zwolnił i zmarszczył brwi. Zbyt dużo odgłosów zamieszania dochodziło od strony zagród inwentarza. Stada owiec i krów zapewniające pożywienie dla drapieżników w zoo pasły się na stuakrowej przestrzeni na południowym krańcu, ale część z nich była zamknięta na tyłach, pod ręką. W zagrodach trzymano także byki i barany w celach rozplodowych.

Wydostał się z wąskiej alejki wiodącej między dwoma ogrodzeniami dla dinozaurów, próbując rozróżnić dźwięki dochodzące z zagród. Zwierzęta były przerażone. Czyżby któryś ze zbiegłych lwów już się tam dostał? Ale nie, te lwy byłyby wciąż zbyt przestraszone, by myśleć o jedzeniu. Usłyszał trzask pękającego drewna i znajomy warkot. Ogarnął go lodowaty, chłód. To był megalozaur! I on także się wydostał! Ale jak?

Biegając ku zagrodom, zorientował się, że wciąż trzyma walkie-talkie. Nacisnął guzik wywołania. I znowu bez odpowiedzi.

Wtem coś się wychyliło z cienia przed nim. Biegło wprost na niego. Uskoczył, zanim to coś rozpoznał.

Było wielkości słońtka, ale miało długą szyję - niczym łabędzia i śmiesznie małą głowę. Był to młody brachiosaurus, jak na razie jedyny roślinożerny dinozaur wyhodowany metodą klonowania. Dorosły - osiągnie wysokość czteropiętrowego budynku i wagę 80 ton.

Gdy młody dinozaur, becząc żałośnie przebiegł koło niego, Penward musiał stawić czoła niemiłej prawdzie ktoś z rozmysłem wypuszczał wszystkie dinozaury na wolność.

I bardzo dobrze wiedział kto...

Twarz wykrzywiła mu się w furii. Ponownie przycisnął guzik.

Tym razem walkie-talkie zareagowało. Pokój ochrony - odezwał się drżący głos. - Kto...?

- Penward z tej strony. Czemu do cholery nie było cię na posterunku.

Och, sir Penward, lepiej niech pan szybko się tu zjawi. Mamy kłopoty. Deinonychus lata luzem po domu!

- Czy ktokolwiek widział lady Jane? - rzucił Penward.

- ... Lady Jane? głos był zdziwiony. - Nie przypuszczam. Ale sir Penward - deinonychus - co mamy...

Nie dosłuchał końca zdania, rzuciwszy radiostację o betonową ścianę. Gotując się ze złości, począł biec w stronę domu. Musiał zdobyć broń. Jakąkolwiek. Suka! Zrujnowała wszystko...!

Mgliście zdał sobie sprawę z odgłosu kopyt poza sobą. Odwrócił się zbyt późno. Duża ciemna masa uderzyła w niego zbijając z nóg. Natychmiast poczuł palący ból w lewym udzie i barku.

Kiedy udało mu się usiąść ujrzał, co na niego wpadło. W ciemnościach zniknął właśnie zad czarnego byka. Najprawdopodobniej uciekł z zagrody.

Penward spojrzał po sobie. Obrażenia były poważne - nawet bardzo poważne. Prawa pachwina i wewnętrzna strona uda były

rozdarte. Pod sobą zauważył już okazałą kałużę krwi. Niesamowita ironia losu, wywołała u niego gorzki uśmiech. Tyle było w posiadłości niebezpiecznych drapieżników, najniebezpieczniejszych, jakie kiedykolwiek egzystowały na ziemi, a on został stratowany przez zwykłego byka...

Pascal podszedł do jednej ze zbroi i chwycił topór bojowy. Był jednakże za ciężki dla niego. Potrzebował lżejszej broni.

- David! - krzyknęła Jenny.

- Usłyszał także zbliżające się kroki. Jedne z drzwi otworzyły się i wtoczył się do pokoju mężczyzna. Miał na sobie ciemny uniform i Pascal domyślił się, że jest jedynym ze służących Penwarda - lokajem, czy może kamerdynerem. Tam, gdzie powinna być prawa ręka zwiślał mu z ramienia krwawy szczałek. Brocząc krwią, z twarzą szarą niczym ołów, zatoczył się ku nim. - Pomóżcie mi - jęknął. - Goni mnie...

Coś większego i cięższego niż człowiek podążało tym samym korytarzem, co ranny służący. - Jenny! - krzyknął Pascal. - Tędy! Szybko!

Jenny, ruszywszy by pomóc rannemu, szybko się cofnęła i obiegła stół bilardowy by dołączyć do Pascala. I w samą porę. Dinozaur wpadł przez drzwi i z hukiem wylądował ledwie o stopę od służącego. Ten zachłysnął się krzykiem i usiłował uskoczyć na bok, ale dinozaur kopnął tylną nogą. Podobny do kosy środkowy pazur ciał człowieka wzdłuż boku - od pachy do ud. Siła uderzenia rzuciła go na stół bilardowy, skąd stoczył się na podłogę.

Dinozaur już więcej nie zwracał uwagi na swoją ofiarę odwrócił się ku Pascalowi i Jenny. Pożywienie najwidoczniej nie

było jego głównym celem. Chodziło mu o wrogów, nie o ofiary.

Tego dinozaura Pascal już widział w jednej z klatek. Był to ten mniejszy, koloru rdzy, z groteskowymi szponami na tylnych nogach. Miał dużą głowę, a w oczach wyraz złośliwej inteligencji. Stał teraz po drugiej stronie stołu bilardowego przyglądając się im uważnie. Oddychał szybko wydając chrapliwy dźwięk przy każdym ruchu klatki piersiowej.

- Jenny - odezwał się cicho Pascal - kieruj się do drzwi za nami. Do tych, którymi weszliśmy. Postaram się go zatrzymać póki się nie wydostaniesz. - Uniósł ciężki topór czując, że nie będzie go w stanie użyć dość szybko, gdyby zwierz zaatakował.

- David, nie bądź głupi - odparła szeptem. - Nie zostawię cię tutaj, żebyś odgrywał bohatera.

- Idź, Jenny! - rozkazał.

Dinozaur ruszył w ich stronę, okrążając stół bilardowy. Pascal ruszył w przeciwnym kierunku. Jenny podążała wraz z nim.

Zwierzę przystanęło i pochyliło głowę na bok, jakby zastanawiając się, co robić dalej. Pascal kątem oka dojrzał stojak z kijami bilardowymi. Od razu wydały mu się lepszą bronią niż zbyt ciężki topór. Decyzję podjął błyskawicznie. Z całej siły cisnął toporem w dinozaura, po czym chwycił kij.

Topór uderzył dinozaura w bok głowy, nie czyniąc mu żadnej szkody. Jednakże zwierzę, wydając wściekły wrzask odbiło się od podłogi i skoczył na stół.

Zanim jednak zdołał się na nich rzucić, Pascal pchnął go kijem prosto w brzuch. Dinozaur cofnął się, mruczając z bólu i szarpiąc zielone sukno pokrywające stół bilardowy, ryknął i ruszył znowu do przodu.

Ku zdumieniu Pascala, obok niego pojawił się inny kij bilardowy, wbijając się czubkiem w pysk poniżej lewego oka zwierzęcia,

zmuszając je do ponownego cofnięcia się. - Cholera! Jenny! - krzyknął. - Zjeżdżaj! Do drzwi!

- Tylko z tobą! odparła rzucając następnym kijem w pysk zwierzęcia.

Przetrwali tak jakieś pół minuty. - Pascal celując w brzuch, zaś Jenny w pysk dinozaura. W końcu jeden z kijów pękł pod ciosami przednich łap. Pascal spojrział na strzaskany czubek kija i nagle pomysł wraz z działaniem przyszedł równocześnie. Porwał się do przodu ryzykując poszatkowanie głowy i ramion przez mlójące powietrze przednie łapy zwierzęcia. Prosto w pysk wepchnął mu złamany koniec kija, wciskając go głęboko w gardło.

Dinozaur wrzasnął z bólu i zatoczył się do tyłu przez stół. Zaczął potrząsać głową, by uwolnić się od tkwiącego w gardle kija.

- Idziemy! - Pascal popchnął Jenny tak mocno, że omal nie upadła. - Do drzwi. Szybko.

Gdy dopadli drzwi, Pascal zerknął przez ramię. Dinozaur - teraz przypomniał sobie, że to deinonychus - wciąż szalał w dziwnym tańcu ze sterzącym kijem w pysku. Nagle, ku swojemu przerażeniu, Pascal ujrzał, jak kolejny silny ruch głowy stworzenia uwolnił je od kija, który przeleciał przez pokój.

- O cholera - wymamrotał trzaskając drzwiami.

- Dokąd teraz? - sapnęła Jenny, pędząc za Pascalem wzdłuż korytarza.

- Najdalej jak się da od tego - krzyknął w odpowiedzi.

Za nim rozległo się łomotanie w drzwi pokoju bilardowego. Usłyszeli trzask pękającego drewna.

Rozdział XVI

Lady Jane stojąca na pomoście okalającym zbiornik, sapnęła z satysfakcją - koło zaworowe poddało się wreszcie i dało się przekręcić. Uśmiechnęła się w ciemnościach. Właśnie zamknęła odpływ wody, jednocześnie zwiększywszy prędkość jej dopływu. Teraz poziom wody w zbiorniku szybko zacznie wzrastać, tym samym umożliwiając plezjozaurowi wydostanie się na zewnątrz. Jako dodatkowy bodziec wyłączyła ogrzewanie zbiornika.

Podniosła latarkę leżącą na pomoście i oświetliła zejście ze zbiornika. Zamarła. W świetle latarki stał jej mąż.

- Domyśliłem się, że tu cię znajdę - powiedział spokojnie. - Wszystkie są już na wolności. Ten jest ostatni. Miałaś bardzo pracowitą noc, moja droga.

Odpowiedziała równie spokojnie: - Tak Darren, i jestem wykończona.

- Miałaś szczęście, że żaden cię nie złapał. Miałaś rzeczywiście dużo szczęścia.

- Jednemu prawie się to udało, temu z kosztnymi wypustkami na głowie... Wiesz, że nie mam głowy do nazw...

- Dilophosaurus.

- A tak. To ten. Na pewno ten - uśmiechnęła się złośliwie, - ale ty nie miałeś zdaje się tego szczęścia... zauważyła krwawe plamy na jego spodniach i pasek na lewym udzie, użyty jako opaska uciskowa. - Który z twoich pieszczołów to zrobił?

- To nie był żaden dinozaur. To był uciekający byk...

Roześmiała się, odrzuciwszy do tyłu głowę.

- Wiedziałem, że cię to rozśmieszy - jego głos był wciąż spokojny.

- Och tak, Darren! - odparła. Z dala dochodziły głośnie pluski. Poświeciła po wodzie i uchwyciła mignięcie błyszczącej masywnej płetwy. To plezjozaur podnosił się wraz z poziomem wody ku krawędzi zbiornika. A przed nim duże masywne odrzwia stały otwarte w noc...

Ponownie skierowała latarkę na męża, oświetlając jego posępną, napiętą twarz. Gdzieś w oddali odezwał się ludzki krzyk.

- Domyślam się, że to ty zniszczyłaś generator. Jego głos był bezbarwny. - Jakies dwadzieścia minut przedtem pogasły wszystkie światła w zoo i wokół domu.

- Tak - odpowiedziała pogodnie. - Ułożyłam siekiery do przecięcia przewodów.

- Dlaczego?

- Żeby było ciemno, oczywiście. Pomyślałam, że twoi pupile docenią przewagę, jaką daje im ciemność. Sądząc po hałasie, jaki robią, wykorzystują to na całego.

- Wiesz o co mi chodzi. Dlaczego to wszystko zrobiłaś? Teraz wiem, że to ty wypuściłaś deinonychusa w lipcu...

- To proste, Darren. Miałam już dosyć. Chciałam cię zdemonstrować, żebyś mógł się od ciebie uwolnić, urwać się z twojej smyczy. I udało mi się.

- Ale miałas wolność - zaprotestował. - Miałas wszystko, co chciałaś. Czy kiedykolwiek narzekałam, że pieprzyłaś się z każdym facetem i nierzadko z kobietami w Cambridgeshire?

- A zastanawiałaś się kiedykolwiek, czemu to robiłam?

Zmarszczył brwi. - Nie. Przypuszczam, że to ma związek z twoją nadpobudliwością seksualną, czy zachwianiem równowagi hormonalnej. Może zresztą jesteś po prostu zwykłą dziwką.

Roześmiała się pogardliwie. - Jeżeli jestem dziwką to tylko dzięki tobie, Darren. Gdybym wyszła za mąż za prawdziwego mężczyznę, a nie za chore stworzenie, któremu staje dopiero gdy się go zrani albo upokorzy, a i wtedy nawet nie jest w stanie usatysfakcjonować kobiety, może wtedy sprawy potoczyłyby się inaczej.

Uśmiechnął się krzywo. - Moglibyśmy tak kontynuować wymianę obelg przez całą noc, ale jak widzisz, nie mam siły tu dłużej stać. Wszystko, czego chcę od ciebie, to usłyszeć prawdziwy powód twojego postępowania.

- Już ci mówiłam - chcę uwolnienia się od ciebie. Chciałam to mieć raz na zawsze z głowy.

- Tak, ale dlaczego akurat dzisiaj nocy? Co ci strzeliło do głowy? Chcę wiedzieć. To dla mnie ważne. Czy to ten młody człowiek, ten reporter? Czy dlatego, że cię odrzucił, czy dlatego, że odkryłaś, że ma dziewczynę?

- Idź do diabła - warknęła.

Kiwnął głową ze smutkiem. - Tak, to musi być powód. I pomyśleć, że wszystkie moje plany są zrujnowane, lata pracy obrócone w niwecz, tylko dlatego, że śmieszna starzejąca się baba doświadcza ataku zazdrości o młodego prowincjonalnego bubka. O ironio...

Uniósł strzelbę, którą trzymał u boku.

- Zabijesz mnie? - zapytała niemalże bez zainteresowania.

Odsłonił zęby w uśmiechu. - Nie ja cię zabiję, nie ja... Pociągnął za spust i w jej szyi utkwiała lotka.

Nogi ugięły się pod nią, upadła twarzą na pomost. Penward spoglądał na nią obojętnie przez parę chwil, potem zniósł na dół. Schodząc po metalowych schodkach, zostawił za sobą cieniutką strużkę krwi.

- Boże, co to za miejsce?! - krzyknęła Jenny, rozglądając się dokoła.

- Prywatne muzeum dinozaurów Penwarda - wyjaśnił Pascal.

Znajdowali się w sali mieszczącej kopalne szkielety i kości położonej, jak im się wydawało, w bezpiecznej odległości od pokoju bilardowego. Przy sprzyjającym szczęściu, deinonychus nie będzie w stanie ich wytropić. - Nie rozumiem, jak te stwory zdołały się wydostać, chyba że ktoś je wypuszcza specjalnie.

- Ale kto mógłby zrobić coś takiego? Musiałby być pomyłony.

- Pomyłony, to właśnie słowo dla... - Pascal nagle pobladł. - O Jezusie, chyba wiem, kto to robi. Lady Jane. A to znaczy, że ja ponoszę za to odpowiedzialność...

- O czym ty mówisz?

- Jenny, wiedziałem, że nie jest zrównoważona umysłowo, a to, co zrobiłem dzisiejszej nocy do reszty ją rozstroiło. Rozumiesz? Wiązała ze mną wszystkie swoje nadzieje, widziała we mnie swoją ostatnią szansę, a ja ni mniej ni więcej, tylko się na nią wypiąłem...

Jenny potrząsnęła głową. - Nie rozumiem. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego miałbyś być odpowiedzialny za to, co ta kobieta zrobiła.

- Ależ jestem. Gdybym nie... - nie dokończył. Niespodziewany huk strzału i agonalny krzyk człowieka, gdzieś w oddali, poderwał ich na nogi.

Jenny spojrzała na Pascala ze strachem. - David, chcę się stąd wydostać.

Otoczył ją ramieniem. - To nie będzie łatwe. Nie wiemy, ile tych stworzeń jest na wolności, poza tym musimy uważać na ludzi Penwarda. Wprawdzie teraz mają ręce pełne roboty, ale któremuś może nagle przyjść ochota na polowanie, gdybyśmy zostali zauważeni...

- Zostawiłam samochód wśród drzew, blisko drogi biegnącej wzdłuż północnej strony posiadłości. To dość daleko od miejsca, gdzie włożyłam przez płot, więc jest nadzieja, że go nie znaleźli. Gdybyśmy tylko mogli się tam dostać...

- A jak wyobrażasz sobie przejście przez płot? Pamiętaj, że ten wewnętrzny jest pod napięciem, a twojego sprzętu już nie mamy.

O Jezu! - zapiszczała nagle, spoglądając spoza jego ramienia. Wyraz jej twarzy przyprawił go o mdłości. Odwrócił się.

Na drugim końcu długiej sali ujrzał obojętnie podążającego w ich stronę lwa. Był to samiec z długą zmierzwną grzywą. Nic przyczyniło się to do poprawy nastroju Pascala.

Rozejrzał się niespokojnie. Za nimi było wysokie witrażowe okno sięgające aż do samego sklepienia sali. Przed nimi zaś, podwójne schodki wiodące na wąską galeryjkę, biegnącą wzdłuż obu stron sali. Pascal rozważał, czy nie rzucić się ku schodkom, ale doszedł do wniosku, że lew z łatwością zdystansowałby ich, zanim dotarliby do połowy drogi.

- Nie ruszaj się - syknął do Jenny. - Stój spokojnie i nie okazuj strachu.

- A to w jakiej książce wyczytałeś? - zapytała, szcękając zębami.

Lew szedł w ich kierunku, wciąż z tą samą obojętnością. Był olbrzymi. Pascal z jego oczu usiłował odczytać czy był głodny, zły, czy może tylko zaciekawiony...

Kiedy zwierzę znalazło się jakieś 12 stóp od nich, nerwy Pascala puściły. Rzucił się do stojącego w pobliżu krzesła o wysokim drewnianym oparciu i uniósł je. Było ciężkie, ale strach dodaje sił i Pascal skierował krzesło nogami ku nadchodzącemu drapieżnikowi...

Ten, zrobiwszy jeszcze kilka kroków, zatrzymał się kładąc po sobie uszy i przypadając do ziemi. Pascal ze strachem pomyślał, że to preludium do ataku. Jednak, ku jego zdumieniu lew nagle odwrócił się i uciekł.

Pascal spojrział ze zdumieniem na trzymane krzesło. - Do diabła! Udało się!

Z tyłu, za nim, Jenny krzyknęła. Równocześnie rozległ się brzęk tłuczonego szkła. Coś uderzyło go w ramię. Odwrócił się akurat gdy wysokie witrażowe okno rozpadło się w drobny mak pod naporem dinozaura.

Tego osobnika jeszcze nie widział. Był podobny do tarbozaura, jednak nie posiadał jego potęgi. Mierzył około 8 stóp wysokości i miał silnie rozwinięte przednie kończyny. Pascal domyślił się, że nie osiągnął jeszcze pełnej dojrzałości.

- Zwiewaj! - wrzasnął Pascal, rzucając krzesłem. Ten okrzyk mógł być sobie darować - Jenny już biegła przez salę. Szybko do niej dołączył.

Podłoga zadrzała, gdy dinozaur ruszył za nimi w pościg. Pascal wiedział, że w żaden sposób nie zdążą dobiec do drzwi. Chwył więc Jenny i pociągnął ją między dwie duże szklane gabloty zawierające szkielety. Chciał skorzystać ze schronienia za gablotami, po czym wydostać się przez rozwalone okno. Dinozaur jednak wykazał błyskawiczny refleks. Zahamował niemalże w biegu, odwrócił się i rzucił się ku nim przez gablotę, za którą się schronili.

Dinozaur zderzył się ze szklaną szafą, która rozpadła się na drobny mak, z wraz z nią jej zawartość - mierzący ponad 12 stóp szkielet kaczodziobego iguanodona. Całość, waląc się, upadła prosto na atakującego potwora.

Dinozaur stracił równowagę i upadł pod ciężarem skamieniałych szczątków. Kiedy Pascal opuścił ramię, którym osłaniał oczy przed odpryskami szkła, ujrzał oszołomionego dinozaura, niemrawo gramolącego się spod stosu kości.

David chwycił Jenny za rękę i pociągnął ku drzwiom na końcu sali.

Sir Darren Penward wniósł swoją nieprzytomną żonę do garażu. Rzucił ją na podłogę, obok swego ciemnoniebieskiego Bentleya i odnalazł w kieszeni płaszcza kluczyki. Otworzył tylne drzwi, podniósł lady Jane z podłogi i rzucił na tylne siedzenie.

Kiedy opuszczał garaż, natknął się na jednego ze swoich dozorców. Młody człowiek, którego pamiętał pod imieniem Charles wyglądał na uradowanego spotkaniem. - Bogu dzięki, sir Penward, szukaliśmy pana wszędzie! Na wolności są chyba wszystkie dinozaury i chyba większość kotów... Jakie są pana instrukcje?

Penward uśmiechnął się ponuro. - Instrukcje? Nie mam instrukcji. Wszystko skończone. Koniec. Proponuję opuścić to miejsce, póki to jeszcze możliwe. Powiedz to innym, jeżeli ktokolwiek jeszcze żyje.

Przeszedł obok młodego człowieka, pozostawiając go w zaskoczeniu.

Następnie wszedł bocznymi drzwiami do domu, przestąpiwszy leżącego w progu trupa bez głowy. Udał się prosto do biblioteki, potem spiralnymi schodami do kompleksu laboratoryjnego. Tam aż na korytarz, wybiegł mu na spotkanie błąd jak ściana technik.

- Sir Penward, co robić? Jak my się stąd wydostaniemy? Na górze są te cholerne stworzenia! Widziałem jak jedno z nich zabiło Baxtera!

- Zejdź mi z drogi - powiedział Penward szorstko, usiłując wyminąć mężczyznę. - Nie mam czasu. To twoja sprawa, jak się stąd wydostaniesz.

- Ale, sir Penward! - krzyknął technik, chwytając go za ramię. - Musi mi pan pomóc!

W odpowiedzi Penward sięgnął do kieszeni i wyjął automatyczną 45-kę, którą wcześniej zabrał ze swego gabinetu i oddał dwa strzały prosto w twarz mężczyzny. Nie czekając nawet, aż tamten upadnie, wyminął go i pospieszył korytarzem do pomieszczeń inkubatorów.

Będąc już w środku, otworzył drzwi do komory i wszedł do niej. Chwytał dwa z wielkich jajek i trzymając je delikatnie w ramionach wyniósł na zewnątrz...

Wspinając się po spiralnych schodach, zdał sobie sprawę, jak opuszczają go siły. Ogarnęła go fala słabości, tak, że omal nie zemdlął. Miał jednak nadzieję, że starczy mu sił, by zrobić to, co jeszcze miał do zrobienia.

Przechodząc przez bibliotekę, usłyszał niesamowity hałas dochodzący z innej części budynku. Obojętnie zastanowił się, który to dinozaur...

Kiedy znalazł się na dziedzińcu, podbiegł do niego jeden z pracowników ochrony, z twarzą zalaną krwią, będąc bliski hysterii. Penward zignorował go, wyminął i wszedł do garażu.

Ostrożnie ułożył jajka na przednim siedzeniu Bentleya, przykrywając je marynarką. Upewniwszy się, że lady Jane jest wciąż nieprzytomna, uruchomił silnik i wyprowadził samochód z garażu.

Człowiek z ochrony wciąż stał przed garażem i teraz usiłował zatrzymać Penwarda, stając przed samochodem. Sir Darren po prostu docisnął pedał gazu, a mężczyzna, nie chcąc być przejechanym - musiał uskoczyć na bok.

Penward pojechał ku frontowi domu, nie spotkawszy po drodze żadnego dinozaura. Minął za to dużego tygrysa syberyjskiego, siedzącego przy drodze. Rozpoznał w nim samca o imieniu John Smith, towarzysza samicy, którą był zmuszony zastrzelić w lecie... Dzięki Jane. Zaciśnął dłonie na kierownicy. Ta suka zapłaci mu teraz także i za to...

Przy głównej bramie do samochodu podeszło dwóch pracowników ochrony. Byli zaniepokojeni. - Sir Penward, co się tam

dzieje? Wygląda na to, że całe zoo wpadło w szal. Próbowaliśmy się połączyć z dworem, ale nikt nie odpowiada...

Mimo straszliwego bólu, Penward zmusił się do spokojnego głosu.

- Nie mam teraz czasu na tłumaczenia, ale mamy poważny problem. I nic na to nie poradzicie. Proponuję, żebyście wsiedli do samochodu - wskazał na Land Rovera zaparkowanego nieopodal wartowni. - I natychmiast opuście teren. Ale nie zamykajcie za sobą bramy. Chcę, żeby została otwarta. Zrozumiano?

Pusty wyraz oczu człowieka mówił, że nie.

Penward powtórzył. - Zapamiętaj, zostawcie bramę otwartą. - I odjechał w ciemność. Opuścił Penward Hall na zawsze, a wraz z nim. opuszczała to miejsce lady Jane.

- Nic ci nie jest? - zapytał Pascal niespokojnie, oglądając Jenny. Miała na twarzy parę ran od szkła, ale na szczęście żadna nie okazała się groźna.

- Myślę, że nic - odparła chmurnie. - Ale nie ma pewności co do ciebie. Nie ruszaj się przez chwilę. Będzie bolało.

- Co... - zaczął, gdy stanęła za nim. Podskoczył z bólu, kiedy z ramienia wyciągnęła mu coś ostrego. Był to trójkątny kawałek szkła mający około 4 cali długości. Koniec był zakrwawiony. - Miałeś to w ramieniu odkąd ten dinozaur wlaźł przez okno.

- Do diabła - wymamrotał krzywiąc się. Sięgnął ręką i pomacał ostrożnie ranę. Gdy spojrział ponownie na rękę, palce miał pokryte krwią. Jenny wyciągnęła z kieszeni chusteczki higieniczne, robiąc z nich tampon. - To będzie musiało wystarczyć,

dopóki nie dotrzemy do lekarza - powiedziała, przykładając go Pascalowi do rany. - Nie krwawi zbyt mocno.

- Jakoś nie bardzo ci wierzę - powiedział uśmiechając się słabo.

Schronili się w małej jadalni, wyglądającej raczej na pomieszczenie dla służby, niż dla rodziny Penwardów. Wspólnie przesunęli ciężki stół pod drzwi i teraz zastanawiali się, co dalej.

Pascal podszedł do jednego z okien i wyjrzał w ciemność.

- Wszystkie światła wysiadły. To znaczy, że generator nie działa, co z kolei oznacza, że elektryczne płoty nie mają napięcia.

- Możemy się więc wydostać - wykrzyknęła Jenny.

- Tak, jedyna trudność to dotrzeć do płotów... Noc pełna była ryków, pisków i wrzasków zwierzęcych. Zupełnie, jakby wszystkie siły piekielne uganiały się po Penward Hall.

- Jeżeli tutaj zostaniemy, to wcześniej czy później coś się tu pojawi, żeby nas zjeść. Wołałabym spróbować swych szans na zewnątrz.

Pascal westchnął. - Ja także. Otworzył okno. Kakofonia dzikich ryków wtargnęła do pomieszczenia. Spojrzał na Jenny pytająco. Posłała mu, jak jej się zdawało, odważny uśmiech. I znowu uderzyło go to, jak bardzo ją kocha. - Czemu nie zdałem sobie z tego sprawy wcześniej - pomyślał.

- No to idziemy - powiedział.

Rozdział XVII

Arthur Nicholls liczył sobie 55 lat i był kłusownikiem. Był nim przez 40 ze swych 55 lat, a nauczony tej sztuki przez swojego ojca, potrafił z niej nieźle żyć.

Tej wrześnieowej nocy planował wyprawę na pstrągi nad Warchester River - będącą dopływem Great Ouse. Od wieków ta część rzeki należała do rodziny Penwardów, mimo iż przepływała poza obrębem posiadłości. Teraz Nicholls ostrożnie przemierzał las, bowiem Penward miał w zwyczaju posyłać na patrol jednego, lub dwóch ze swoich strażników.

Mimo że był oswojony z lasem, dziś Nicholls czuł się niepewnie. Coś było nie tak. Nietrudno było zresztą odgadnąć co, skoro od strony zoo Penwarda dochodził niesamowity hałas. Zdawało mu się, że wszystkie zwierzęta stamtąd dostały szału i kłusownik czuł się jakby szedł przez dżunglę w Afryce, nie zaś przez cichy las w Cambridgeshire.

Pchany ciekawością, postanowił skrócić w stronę płotu, mimo iż wątpił, by udało mu się coś z tej odległości dojrzeć, ale kto wie, może był tam pożar... Musiało się tam dziać coś bardzo poważnego, skoro zwierzęta tak hałasowały.

Stanął na skraju lasu i poprzez podwójny rząd płotów usiłował cokolwiek zobaczyć. Nic z tego. Nie widać było nigdzie czerwonej łuny pożaru, ani też niczego, co sugerowałoby co się tam dzieje.

Kręcąc głową w zadumie poszedł kawałek dalej wzdłuż płotu, chcąc dojść do miejsca, gdzie rzeka zakręcała. Uszedł jakies 30 jardów, gdy napotkał zdumiewający widok. Duża część tak zewnętrznego jak i wewnętrznego płotu leżała spłaszczona na ziemi, jakby przejechał po niej walec drogowy. Zaciekawiony

mężczyzna zbliżył się do tego miejsca, oczekując że ujrzy ślady jakiegoś ciężkiego pojazdu. Jednakże niczego takiego nie zobaczył.

Ploty, jak zauważył, zostały zniszczone od wewnątrz, więc cokolwiek to było - pochodziło z posiadłości. Ale, jeżeli to nie był pojazd, to co mogło dokonać takiego zniszczenia? Słoń? Z tego, co wiedział w zoo Penwarda nie było słońi, a poza tym nie zauważył śladów zwierzęcych na skopanej wokół ziemi. Widać było, że ciągnięto coś dużego, ale śladów po obu stronach bruzdy Nicholls nie potrafił zidentyfikować...

Wpatrywał się w las i mimo ciemności ujrział wygniecioną między krzewami ścieżkę. Ostrożnie ruszył tym tropem.

Ślad prowadził wprost ku brzegowi rzeki i tam zniknął. Nicholls podrapał się w głowę, zadumany. To coś wlaźło do wody. Czyżby to było jakieś wodne zwierzę? A może jednak słoń, próbujący przedostać się na drugą stronę rzeki. Popatrzył na czerną wodę. Jeżeli to słoń, to nie miał szans na przejście. Rzeka w tym miejscu była za głęboka.

Kłękawszy dla zbadania ziemi, doszedł do wniosku, że to jednak nie mógł być słoń. Nie było żadnych tropów zwierzęcych. Za to zielska przy brzegu były tak ubite, jakby sprasował je walec. I to było bardzo zastanawiające.

Nagle coś wielkiego wynurzyło się z rzeki. Przestraszony Nicholls zobaczył ogromne cielsko prujące ku niemu. W świetle księżyca widać było długą szyję zakończoną wielką głową. Widać było także błysk zębów...

Nicholls porwał się na nogi i rzucił do ucieczki, pozostawiając na brzegu cały swój sprzęt do połowu ryb. Biegł jak mógł najprędzej nie zwracając uwagi na gałęzie bijące go po twarzy, kiedy wpadł między drzewa. Nie oglądał się w obawie, że ujrzy okropnego stwora goniącego go przez las...

Wreszcie, nie mając sił dalej uciekać, rzucił się na ziemię. Dyszał ciężko, a czując silne uderzenia serca w klatkę piersiową,

przestraszył się, że będzie miał atak. Nie miał pojęcia ani jak długo biegł ani gdzie się znajdował. Po raz pierwszy w życiu Nicholls stracił orientację.

Usłyszał szelest w pobliskich krzakach i uniósł głowę.

- Jezu Chryste... - szepnął, gdy z krzaków wyszedł duży tygrys, kierując się wprost na niego. Już nawet nie odczuwał zdziwienia ani chęci ucieczki, kiedy tygrys z głębokim pomrukiem rzucił się, jednym uderzeniem łapy pozbawiając go twarzy.

Zdający się trwać bez końca bieg przez posiadłość Penwarda był jednym wielkim koszmarem. Nie świeciły żadne ze światel i ciemności były prawie namacalne. Toteż i Jenny i Pascal szybko stracili orientację. Musieli po prostu zawierzyć łutowi szczęścia, że jednak kierują się na północ, nie zaś biegają w kółko. Każdemu ich ruchowi towarzyszył ciągły strach, że któryś z dinosaurów nagle zmaterializuje się w ciemnościach.

Jednakże sprzyjało im szczęście i z czeluści nocy wyłonił się przed nimi płot. - Bogu dzięki - szepnął Pascal, gdy przy nim stanęli. Za podwójnym płotem, o parę jardów, znajdował się prawdziwy świat. Wolność. Jeżeli się tam znajdą, będą wolni i koszmar się skończy.

Kostkami dłoni, ostrożnie, Pascal dotknął płotu, niepewny, czy nie ujrzy bładniebieskiej iskry i nie poczuje paralizującego bólu w ramieniu. Ale nic takiego nie nastąpiło. Płot był bez zasilania. - Idź pierwsza - powiedział do Jenny. - I uważaj na drut kolczasty.

Dziewczynka pokonała już połowę, z mającego 12 stóp wysokości płotu, gdy z ciemności za nimi doszedł dudniący miarowy odgłos galopu. Jakieś wielkie zwierzę pędziło poprzez park i to najwyraźniej w ich kierunku.

- Szybciej - Pascal syknął na Jenny, kiedy zatrzymała się nasłuchując. - Dalej, do góry! Skoczył na płot, wdrapując się za nią.

Byli prawie na szczycie, kiedy zwierzę wypadło z ciemności. Oboje aż roześmieli się z ulgą, ujrzawszy, że była to krowa. Zwyczajna krowa.

Kiedy zauważyła płot, ostro skręciła w prawo, błyskając białkami przerażonych oczu i po chwili znikła ponownie w ciemnościach.

Pascal i Jenny stanęli teraz przed problemem przedostania się przez drut kolczasty. Było im trochę głupio, że tak się przestraszyli zwykłej krowy. W tej chwili niebezpieczeństwa nocy zdawały się być już tylko wspomnieniem, niczym koszmar seny.

Zostali jednak zmuszeni do powrotu do koszmarnej rzeczywistości...

Z ciemności bowiem doszedł ich inny głos. Tym razem był to ciężki dźwięk wielkich, biegnących nóg. I to tylko dwóch nóg. Nagle zrozumieli ten obłądny strach w oczach uciekającej krowy. Coś ją gonilo...

To coś wychynęło z ciemności, niczym prehistoryczny duch; był to jednak duch z krwi i kości. To był tarbozaur.

Drut kolczasty natychmiast przestał być jakimkolwiek problemem. Przeleźli przezeń w panicznym pośpiechu, nieczuli na rany i zadrapania, zaczęli złaźić z drugiej strony.

Tarbozaur zatrzymał się przed płotem, spoglądając na nich z widocznym niezdecydowaniem. Najwyraźniej nie był pewien, czy gonić krowę, czy też zająć się nimi.

Wybrał jednak ich...

- Skacz! - wrzasnęła Jenny, gdy dinozaur rzucił się do przodu. Oboje puścili płot i pozostałe sześć stóp pokonali skacząc. Płot zadrżał, gdy dinozaur uderzył w niego głową.

Odległość między wewnętrznym i zewnętrznym płotem wynosiła 10 stóp. Pascal i Jenny pokonali ją w ułamku sekundy i rzucili się na siatkę. Wdrapywali się na nią niczym cyrkowcy, mając za sobą dinozaura.

Będąc na szczycie drugiego płotu, Pascal odważył się obejrzeć za siebie. Zobaczył, że tarbozaur radził sobie z tamtym płotem, rozdzierając go tylnymi łapami. Drut kolczasty zaczął pękać. Jeszcze chwila, a droga przed zwierzęciem stanie otworem.

- David! - krzyknęła Jenny. Zaczepiła ramieniem o kawałek drutu kolczastego i nie mogła się uwolnić. Usiłując utrzymać równowagę na szczycie płotu, sięgnął jedną ręką i spróbował ją wyplątać. Krzyknęła z bólu. Kolce wbiły się boleśnie w ciało pod pachą.

Pascal usłyszał, że wewnętrzny płot wali się z metalicznym dźwiękiem. Nie miał więc czasu być delikatnym. Szarpnął ramię dziewczyny z całej siły, nie zwracając uwagi na jej rozpaczliwy krzyk. Ramię było wolne, ale na płocie pozostały kawałki ciała, ociekające krwią.

Teraz oboje złązili już z drugiej strony mierzącego 15 stóp płotu.

Tarbozaur był już między płotami. Wielkie, niewiarygodnie wielkie szczęki kłapnęły, usiłując ich złapać poprzez płot. Siła uderzenia spowodowała ich upadek. Spadli ciężko na ziemię z wysokości 8 stóp. Pascal poczuł palący ból w lewej nodze powyżej kostki, a kiedy się podniósł prawie nie mógł zrobić kroku.

Jenny wylądowała na plecach i teraz siedziała usiłując złapać oddech. Mocno odczuła upadek, ale poza tym nic jej nie było. Pascal pokuśtykał do niej, zaciskając zęby z bólu i pomógł jej wstać.

Tarbozaur atakował drugi płot z zacięłą furią. Wprawdzie zewnętrzny płot był mocniejszy i wyższy, ale Pascal wiedział, że nie wytrzyma długo pod uderzeniami dinozaura.

- Gdzie twój samochód? Czy to niedaleko? - zapytał niecierpliwie. Rozejrzała się oszołomiona - nie bardzo wiem, gdzie jesteśmy - sapnęła. Zmarszczyła brwi i uniosła ramię:

- Myślę, że to w tamtym kierunku - powiedziała, wskazując na drogę.

- Chodźmy więc.

Ból zwalniał ich kroki. Pascal musiał opierać się na Jenny, nie mógł stąpać na lewej nodze. A z tyłu dochodziły odgłosy jakby zepsutych gigantycznych sprężyn łózkowych, co dowodziło, że dinozaur przedzierał się przez płot.

Uszli jakieś 50 jardów, gdy Jenny wydała radosny okrzyk.

- Ta kępa drzew na lewo! Chyba ją rozpoznaje!

- Doskonale - parsknął Pascal. Spojrzał przez ramię. Płot właśnie walił się i dinozaur przełaził przez rumowisko.

- Biegnij przodem - rozkazał. - Znajdź samochód i zapal silnik, ja zaraz dołączę.

- Nie zostawię cię - zaprotestowała.

- Proszę cię Jenny, nie sprzeczasz się ze mną. Zjeżdżaj! To może być nasza jedyna szansa! Popchnął ją w plecy. Zawahała się na moment, po czym zrobiła, jak kazał.

Kiedy zniknęła pomiędzy drzewami, znowu spojrzął za siebie. Dinozaur zauważył ich i ruszył za nimi drogą. Pascal próbował biec szybciej, ale ból był niemalże nie do wytrzymania.

To był męczący koniec przyjęcia; pora poranka, gdy nawet najlepszy szampan nie smakuje. Kiedy euforia alkoholowa zmienia się w szarą depresję, ostatnie stadium przed pojawieniem się nieuniknionego kaca. Teraz nie miało już znaczenia, ile się wypije, bo i tak dobry nastrój nie powróci.

- Boże, jak ja się źle czuję - Anthony King próbował przełknąć ostatnią szklaneczkę czerwonego wina. Już kiedyś przyrzekał sobie, że nie będzie mieszał alkoholu z narkotykami. Była to gwarancja długich mdłości.

Jedynym pocieszeniem była jego przyjaciółka - Melissa Forbes-Richardson, która czuła się o wiele gorzej. Pochylała się teraz z rufy łodzi i jęcząc usiłowała wymiotować. Dobrze jej tak, pomyślał złośliwie, była dla niego niczym zadra przez całą noc.

Znajdowali się na dużej łodzi przebudowanej z barki. Zmieniono ją na restaurację należącą do ojca Dickie Radforda, gospodarza przyjęcia. Dickie zaprosił kolegów ze studiów na weekend na łodzi, takie pływające przyjęcie w dół rzeki i z powrotem. Jednakże ten pomysł już stracił dla Anthony'ego atrakcyjność. Była dopiero sobota, a on miał dosyć. Perspektywa spędzenia następnych dwóch dni pijaństwa na łodzi była po prostu straszna.

Melissa, przy rufie, wciąż wydawała wstrętne odgłosy. Anthony stał za nią niezdecydowany, trzymając jej torebkę. Nigdy nie wiedział jak się zachować, gdy ktoś wymiotował, szczególnie kiedy robiły to dziewczyny. Zastanawiał się, czy powinien ją poklepać po plecach, czy przytrzymać za ramię. Gdyby wychyliła się mocniej, mogłaby wypaść. Ale ona się nie ruszyła. Jego własny żołądek zaczynał też wariować i gdyby teraz popatrzył jak ona wymiotuje, dołączyłby do niej przy burcie...

- Lepiej się już czujesz? - zapytał nieco zniecierpliwiony.
- Och, odwal się i zostaw mnie samą - jęknęła. - Umieram.

To, co potem nastąpiło było po prostu nie do uwierzenia. A nastąpiło tak szybko, że Anthony nie mógł uwierzyć, że to widział.

Nagle z wody tuż za łodzią wychynęła wielka głowa gada, rzuciła się do przodu i olbrzymie szczęki pochwyciły Melisse. Jeszcze przed sekundą była przy rufie, pochylając się nad wodą, w następnej chwili zaś całą jej górną połowę ciała pochłonęła wielka paszcza. Anthony ujrzał niesłychanie ostre zęby wbijające się w białą kardigan dziewczyny tuż poniżej jej ramion, potem

mignęły jej chude blade nogi wierzgające w konwulsjach. Chwilę potem tak ona jak i głowa gada znikły.

Anthony cofnął się o krok, zaskoczony. Jego zamroczony alkoholem mózg nie był sobie w stanie poradzić z tym, czego przed chwilą był świadkiem. Pierwszą reakcją chłopaka było poczytać to wszystko za jakiś wyszukany dowcip. Odwrócił się nawet, oczekując, że cała reszta już stoi, zaśmiewając się z niego. Nikogo jednak nie było. Najwidoczniej nikt nawet nie widział tego, co się stało przed chwilą. Z wyjątkiem trzech par leżących na kocach, cała reszta była w długiej, wąskiej kabinie. Ci, którzy byli jeszcze jako tako przytomni zajęci byli, jak się to określa „heavy pettingiem”, który teraz mógł być z powodzeniem zdefiniowany, jako spowolniona gra wstępna. Każda z par była zupełnie zobojętniała na wszystkich i wszystko dokoła.

Wciąż trzymając czarną torebkę Melissy, Anthony wreszcie odzyskał głos. - Hej! - krzyknął do leżących na dachu kabiny. - Widzieliście to?

Najbliższa para przerwała swoje zajęcie i odwróciła się ku niemu. Dziewczyna, która miała na imię Charlotte, odezwała się z naganą w głosie. - Czy co widzieliśmy, Tony?

Anthony wskazał za siebie słabym gestem. - Coś porwało Melissę... Jakiś morski potwór. Wciągnął ją do wody... Dopiero co... Musieliście to widzieć.

- Spileś się - zbyła go Charlotte, zaś jej przyjaciel Julian dodał: - Tak, o łyczek za dużo...

Anthony patrzył na nich bezradnie. Jak miał ich przekonać o tym co widział, skoro sam nie mógł w to uwierzyć? Ale coś się z Melissą stało i to było pewne. A więc ktoś musiał coś w tej sprawie zrobić...

Pokazał im jej torebkę, którą wciąż miał w ręku, jakby przedstawiał rozstrzygający dowód tego, co widział. - Nie żartuję! -

krzyknął - Melissa zniknęła! Jest tam w wodzie, przysięgam! Musimy ją odnaleźć.

Cała szóstka spoglądała teraz na niego z dachu kabiny. Widział po ich minach, że posądzali go albo o żart, albo o pomieszanie zmysłów.

Nagle Charlotte zapytała tonem niemal łagodnym: - A gdzie jest Melissa, Tonny?

- Mówiłem już! - ryknął rozdrażniony. - Coś ją...

Nie dokończył, bowiem zobaczył jak ich twarze zmieniają wyraz, a oczy wprost rosą ze strachu. Zorientował się, że wcale nie patrzą na niego lecz poza nim...

- Co...? - zaczął. Poczuł mocne pozbawiające tchu uderzenie. Nie rozumiał jeszcze, co się stało; nie docierało to do niego nawet, gdy został uniesiony ku górze, ściśnięty, niczym w ogromnym imadle. Dopiero, czując zimną wodę, zamykającą się nad nim, zaczął powoli rozumieć co się stało.

Co się dzieje. Nawet nie bolało. A przynajmniej, nie od razu...

Pascal usłyszał odgłos silnika samochodowego, ujrzał też czerwony odblask tylnych świateł. Miał ochotę płakać ze szczęścia. To Jenny odnalazła samochód! Doszedł go jednak trzask gałęzi, co oznaczało, że tarbozaur przedziera się za nim, i zapowiadało się na ciężką przeprawę.

Przyśpieszył, próbując zignorować ból w kostce. Kiedy dopadł małego MG, Jenny już czekała z otwartymi drzwiami. Wskoczył i zatrzasnął je. - Jedź! Jedź! - wrzasnął. Samochód jednak nie ruszył. Tylna koła bezsilnie buksowały na warstwie świeżo opadłych liści.

Raptem, samochód zatrząsł się i gwałtownie ruszył do przodu, pchnięty przez dinozaura! Nastąpił dźwięk rozdzieranego metalu nad ich głowami i w dachu MG pojawiła się końcówka wielkiego pazura. Jednakże potwór, niechęcący, uwolnił samochód

z pułapki grząskich liści. Szaleńczo wyjąc, pojazd ruszył z impetem, wyrzucając liście spod kół. Jenny sprawnie wymanewrowała pomiędzy drzewami i wyprowadziła go na drogę. Tutaj, ze śwadem palącej się gумы, samochód ruszył pełnym gazem ku Warchester.

W tej chwili, Pascal bez najmniejszego cienia wątpliwości wiedział już, że na pewno kocha Jenny. Absolutnie i całkowicie. Byłby w stanie dać sobie za nią uciąć prawą rękę, gdyby była taka potrzeba.

- Jezu! Jesteś niesamowita! - wykrzyknął, pochylając się ku niej i całując ją w policzek. - Udało nam się!

Głęboko westchnęła. - Bogu dzięki. Ale co teraz, dokąd jedziemy?

- Na policję. Musimy zawiadomić ludzi, co się dzieje w Penward Hall, zanim więcej tych cholernych stworzeń wydobędzie się stamtąd.

- A nie powinniśmy zatrzymać się przy pierwszym domu, jaki napotkamy, żeby zadzwonić?

Pascal pokręcił głową. - Wyobrażasz sobie, że sierżant Monroe albo Keith Driscoll dadzą się przekonać telefonicznie, że dinozaury tak po prostu łążą po świecie? Nie, to musimy zrobić osobiście.

- A myślisz, że jak zrobimy to osobiście, to nam uwierzą?

- To, jak wyglądamy powinno ich przekonać, że nie robimy sobie głupich kawałów. - Odwrócił się, by zerknąć za siebie. - O cholera! - jęknął.

Co się stało? zapytała niespokojnie.

- On nas goni! - wykrzyknął - Ten pieprzony stwór pędzi za nami! W świetle księżyca widać było cielsko tarbozaura około 100 jardów za nimi. Pędził jak wicher, pokonując jakieś 15 stóp za każdym potężnym krokiem.

Odległość między nim, a samochodem wprawdzie stale się zwiększała, jednak widok był alarmujący. Pascal zerknął na szybkościomierz: jechali z prędkością 40 mil na godzinę, co

oznaczało, że prędkość dinozaura wynosiła 35 mil. Pomyślał, że musi napisać do któregoś z autorów książek o dinozaurach, że młody, lecz prawie dojrzały tarbozaur jest zdolny do takiej szybkości. Może jego nazwisko znajdzie się w notce wyjaśniającej. Jeżeli uda mu się przeżyć...

Jenny docisnąwszy pedał gazu, zwiększyła odległość od dinozaura, co wydatnie poprawiło humor Pascalowi. - Paskudny natręt - wymamrotał w jego kierunku.

- Chyba nie będzie za nami leciał aż do samego miasta, jak myślisz? - zapytała dziewczyna.

- Nie. Straci zainteresowanie nami, jak tylko mu znikniemy z oczu. - Lepsza ofiara, gdy zaskoczona - dokończył w myślach, zastanawiając się, ile jeszcze osób zabije to stworzenie, zanim władzom uda się go zniszczyć. Może jednak Jenny miała rację, może powinni zatrzymać się po drodze i zadzwonić... Ale nie; zerknął na zegarek: poruszając się z tą prędkością, będą na policji za niecałe dziesięć minut.

Dokładnie trzy minuty później silnik zakaszłał. Najpierw raz, potem drugi i trzeci. Potem zamilkł. MG zatrzymało się. Skończyła się benzyna.

Rozdział XVIII

Psy umilkły. I to dopiero ruszyło Lee Hagen z wygodnej pościeli, już po raz drugi tej nocy. Kiedy rozszczękały się po raz pierwszy parę godzin temu, zszedł na podwórze, by się rozejrzeć, ale nie znalazł nic podejrzanego. Doszedł wtedy do wniosku, że niepokój psów wynika z rejwachu, jaki tej nocy dochodził z zoo Penwarda. Także Bernie, jego pracownik, twierdził, że to mogło być dla psów wystarczającym powodem. Farma Hagen przylegała do posiadłości Penwarda i bardzo często, zwłaszcza przy sprzyjającym wietrze - jak tej nocy - odgłosy dzikich zwierząt niesione były ku farmie.

Jednakże ani on, ani jego pracownik, nigdy dotychczas nie słyszeli takiego hałasu i nigdy nie był to aż taki hałas, jak tej nocy. A najdziwniejsze było to, że najgłośniejszy z odgłosów zwierzęcych był im zupełnie nieznany. Sprawiał poza tym, że słysząc go, Hagen czuł dziwny niepokój. - Co za cholerne zwierzę wydaje taki dziwny głos? - zapytał Berniego, kiedy obaj stali na podwórzu nasłuchując.

- Niech mnie diabli, panie Hagen - odparł Bernie, kręcąc głową. - Myślałem, że znam wszystkie dźwięki, jakie mogą wydawać wielkie koty, ale czegoś takiego nie słyszałem jeszcze nigdy.

Hagen rozważał, czy nie zadzwonić do Penward Hall, by zapytać, co się tam dzieje, ale rozmyślił się. Penward odczytałby to niechybnie jako zażalenie, a Hagen nie miał ochoty zadzierać ze swym potężnym sąsiadem.

Kiedy chciał już wejść do domu, Bernie powiedział w zamyśleniu: - Ten młody facet, niedawno - on mnie pytał, czy nie dochodzą nas dziwne odgłosy z zoo...

Hagen spojrzał nań pytająco. - Kto? O co pytał?

- Młody facet, z miasta, parę tygodni temu. Pytał mnie, czy nie słyszałem głosów zwierząt, których nie znam... Myślałem, że to taki, co mu brakuje piątej kleпки - Bernie zmarszczył czoło. - Jak pan myśli panie Hagen, o co mu chodziło?

Hagen nie miał pojęcia. - Wracajmy do łóżek, mamy jutro furę roboty - powiedział.

Teraz, trzy godziny później, przypomniał sobie słowa Berniego i zastanawiał się nad ich znaczeniem. Dlaczego ktoś miałby pytać o dziwne odgłosy z zoo Penwarda? I co to było to coś, co je wydawało tej nocy?

Cokolwiek to było, teraz umilkło. Nie słyszał go, gdy szedł do okna. I to go zaniepokoiło. Przed chwilą psy rozszczękały się szaleńczo, by nagle umilknąć.

Wyrzwał przez okno i zmarszczył brwi. W małym domku Berniego, po drugiej stronie podwórza, paliło się światło. Pewnie jego także zaniepokoiła cisza. Hagen zdecydował się pójść sprawdzić jeszcze raz. Wzdychając, założył szlafrok i buty.

Zdumiał się, kiedy otworzył kuchenne drzwi, bowiem jeden z podwórzowych kotów przemknął obok niego i wypadł pod szafę. To było bardzo dziwne, bo dotychczas koty nigdy do domu nie wchodziły. Nawet ich nie karmił, były samowystarczalne. Żywiły się myszami i szczurami w komórkach i stodołach.

Wychodząc na podwórze z irytacją pomyślał, że cholernie trudno mu będzie wypędzić tego kota z domu, i że będzie musiał wezwać Berniego do pomocy.

Berniego nigdzie nie było widać, więc skierował się prosto do jego domku. Byli tylko we dwójkę na farmie, żaden z nich nie miał żony. Hagen owdowiał cztery lata temu, zaś Bernie był kawalerem. Bernie zdawał się w ogóle nie interesować kobietami. Było to o tyle szczęśliwym zbiegiem okoliczności, że jak

dotychczas również żadna z kobiet nie przejawiała nim zainteresowania.

W połowie podwórza Hagen zdziwił się po raz drugi. Potknął się o jednego z psów. A raczej o jego szczątki. To, co leżało na ziemi, to była tylna część psa i głowa. Reszta była strzępami ciała i okruchami kości...

Ze strachu dostał mdłości. Przypomnił sobie wydarzenia z lipca, kiedy to z zoo Penwarda uciekł tygrys. Pewnie znowu stało się coś podobnego. I to tłumaczyłoby zamieszanie, jakie dochodziło z zoo tej nocy.

Rozejrzał się nerwowo po podwórzu, szybko podążył do domku Berniego. Ucieszył się, gdy zobaczył, że drzwi kuchenne są otwarte, Bernie miał u siebie karabin. A przy tym był doskonałym strzelcem.

Trzeci raz tej nocy Hagen zdziwił się, gdy przestąpił próg kuchni. Na podłodze leżał Bernie. Wyglądał, jakby wpadł do młockarni. Zaś przy nim siedziało jakieś dziwaczne zwierzę, obgryzając z apetytem jego prawe udo. Hagen nigdy przedtem nie widział takiego zwierzaka.

Aż zamarł. Zwierzę podniosło głowę i spojrzało na niego.

Hagen nawet się nie zastanawiał, obrócił się na pięcie i rzucił do ucieczki.

Byle tylko dotrzeć do drzwi kuchennych, przemknęło mu przez myśl i dostać się do telefonu. Zawiadomi natychmiast policję. I niech szlag trafi Penwarda! - pomyślał pędząc ku domowi.

Dzieliło go od kuchennych drzwi parę kroków, gdy deinonychus go dogonił.

- Po prostu w to nie wierzę! - krzyknął Pascal, waląc pięścią w deskę rozdzielczą - Wyruszyłaś na wyprawę, bez sprawdzenia benzyny? Jak mogłaś?

- Nie wrzeszcz! Po prostu zapomniałam, to wszystko. Bardzo się spieszyłam, co jeszcze mogę powiedzieć? Przepraszam...
- dodała bliska leż.

- Miałaś czas, żeby zorganizować gumową plandekę, aparat fotograficzny i dwie składane drabiny, ale nie wpadło ci do głowy, żeby zatankować samochód! Jezu, baba za kierownicą!

To była najgorsza obelga, jaką mógł wymyślić. Zdawał sobie sprawę, że i tak oboje wiedzą, że ona jest daleko lepszym kierowcą od niego.

- Powiedziałam: przepraszam! - krzyknęła, spoglądając nerwowo w lusterko. Pascal odwrócił się i także spojrział na drogę za nimi. Dinozaura nie było widać.

- Został daleko w tyle - powiedział Pascal uspokajająco. - Jestem pewien, że nie będzie nas gonił tak daleko... Otworzył drzwi: - Chodź, tę resztę trasy pokonamy na piechotę.

- Poczekaj, przed nami jest pub - wskazała ręką. - Stoją tam dwa samochody na parking. Mam w bagażniku sprzęt do ściągania benzyny. Moglibyśmy jej trochę wziąć z któregoś auta.

Pascal rozpoznał pub. To był „Phoenix Arms”. Po krótkiej chwili skinął głową: Dobra, ale szybko.

Kiedy wysiadł z samochodu, ból w kostce powrócił. A już niemal o nim zapomniał... odezwał się także ból w ramieniu. Rana krwawiła i całe plecy koszuli miał mokre.

Kuśtykając, podążył za Jenny ku parkingowi. Kiedy doszedł do niej, majstrowała już przy Jaguarze XJ6. - Wyglądasz, jakbyś takie numery robiła na codzień - szepnął jej do ucha. Błysnęła zębami w uśmiechu. - Racja. Kiedyś wtajemniczę cię w moją mroczną przeszłość.

Niespokojnie czekał, aż napełni bańkę, którą przyniosła ze sobą.

Dziwnie się czuł, będąc ponownie na tym parkingu. Skrzywił się na wspomnienie wydarzeń sprzed paru tygodni.

Odrywając się od wspomnień zajrzał do Jaguara. Wydał cichy okrzyk zdumienia. - Jean - szepnął - kluczyki są w stacyjce. Chwycił za klamkę, samochód nie był zamknięty.

- Moglibyśmy go wziąć. To oszczędziłoby nam czas.

Jenny podeszła do niego. - Myślisz, że to dobry pomysł? - zapytała bez przekonania. - Mam benzynę - pokazała bańkę. - Nie chciałabym zostawiać mojego samochodu tak po prostu na drodze.

- Nie - powiedział stanowczo, podjąwszy decyzję. - Ładuj się do środka. Im szybciej dotrzemy do komisariatu, tym lepiej. A po twój samochód możemy przyjechać później.

Ale otwierając drzwi, usłyszał z tyłu głos: - Aha, złapałem was na gorącym uczynku, wy dranie!

Pascal obrócił się na pięcie i stanął twarzą w twarz z właścicielem pubu. Te wąsiska rozpoznałby nawet na końcu świata. Rozpoznał także, co szynkarz trzymał w dłoniach - trudno byłoby nie zauważyć dubeltówki. Asystowali szynkarzowi dwaj młodzi ludzie, pewnie jego pracownicy barowi. Trzymali w dłoniach policyjne pałki.

- Pomyślałem, że takiej przynęcie się nie oprzeć - odezwał się nieprzyjemnym głosem szynkarz. - Jak wam się nie udało podwędzić go w zeszłym tygodniu, pomyślałem, że na pewno wrócićcie by spróbować jeszcze raz. No i czekaliśmy na was.

- Proszę posłuchać, to wcale nic jest tak, jak wam się wydaje - zaprotestował Pascal słabo. - My nie... my nie chcieliśmy tego samochodu ukraść, chcieliśmy go tylko...

- Pożyczyć, tak? - szydził szynkarz.

- To nagły wypadek - powiedziała Jenny. - I musimy dostać się na policję.

- O to proszę się nie martwić, panienko. Dostarczymy was na policję, ale przedtem damy wam lekcję, którą ciężko wam będzie

zapomnieć. Dobra chłopcy? Dwaj młodzieńcy zachichotali w odpowiedzi. Jeden z nich uderzył pałką w otwartą dłoń. Znaczenie tego ruchu było aż nadto czytelne.

- Nie jesteśmy złodziejami samochodów! - krzyknął Pascal.
- Ona mówi prawdę, to naprawdę nagły wypadek. I to poważny. Wszyscy jesteśmy, w niebezpieczeństwie...

- Daj sobie spokój, chłopcze - roześmiał się grubas.

- Nie jesteśmy durniami. Jedywym zagrożeniem w okolicy jesteście wy.

Pascal cofnął się o krok. - Przecież musi mnie pan pamiętać! Proszę mi się przyjrzeć. W sierpniu byłem w pańskim pubie, chcąc porozmawiać z paroma dozorcami od Penwarda, a pan wywalił mnie z knajpy. Jestem reporterem, nazywam się David Pascal i pracuję w „Warchester Times”. Ona też tam pracuje. Nazywa się Jenny Stamper. Niech pan zadzwoni na policję! Oni potwierdzą!

- Tak, pamiętam cię - powiedział szynkarz wolno. - Dla mnie to jednak żadna różnica, gdzie pracujesz. Faktem jest, że chciałeś ukraść samochód.

- Cholera! — wybuchnął Pascal - Pieprzę twój zasrany samochód! To sprawa życia i śmierci! Właśnie wracamy z Penward Hall. Całe mnóstwo niebezpiecznych zwierząt wydostało się na wolność i co najmniej jedno z nich poluje poza posiadłością Penwarda! Musimy ostrzec ludzi! I dlatego musimy dostać się na policję!

- Zwierzęta? Jakie zwierzęta? - zapytał właściciel pubu z podejrzliwością. I dlaczego o tej porze byliście na cudzym terenie?

- Nie mamy teraz czasu na tłumaczenia! - krzyknęła Jenny - Po prostu proszę nam uwierzyć! Proszę zawiadomić policję!

Szynkarz pocierał brodę nieskończenie długą i denerwującą chwilę. - Myślę, że trzeba zadzwonić do dworu - powiedział wreszcie do swych pracowników. - Tych dwoje mogło tam coś

nabroić i sir Penward powinien się o tym dowiedzieć. Zostańcie tu z nimi. Jak będą próbowali się ruszyć, możecie im sprawić lanie.

- Niech pan nie dzwoni do sir Penwarda, tylko od razu na policję! - błagała Jenny, gdy skierował się do pubu. Pascal usiłował za nim pobiec, ale gdy tylko się ruszył, jeden z barmanów wymierzył mu cios w prawe ramię. Pascal zachwiał się, krzyknąwszy z bólu. Mężczyzna uniósł pałkę do drugiego uderzenia, ale nagle odezwał się okrzyk grubasa.

- Jasna cholera, a co to jest, u Boga Ojca?

To był tarbozaur. Szedł szybkim krokiem wzdłuż drogi, sapiąc z wysiłku po długim biegu. Po okrzyku szynkarza, zatrzymał się i spojrzał na parking. Po chwili mierzące 16 stóp wysokości zwierzę ruszyło ku nim, otwierając pysk.

Trzech mężczyzn z pubu zamarło z wrażenia, Pascal i Jenny zaś nie tracili czasu. Oswojeni już z widokiem dinozaurów, bez zbędnych słów, wskoczyli do Jaguara. Pascal, za kierownicę.

Usłyszeli strzał, to szynkarz na tyle oprzytomniał, że użył broni. Tarbozaur jednak nawet nie zwolnił kroku... Kiedy samochód ruszał, Pascal widział, jak grubas znika pod jedną z gigantycznych tylnych łap.

Dinozaur blokował wyjazd z parkingu. Dawid musiał go objechać dookoła; gdy to czynił, zwierzę odwróciło się z niesamowitą szybkością i wyciągnęło tę samą łapę, która przed sekundą zmiażdżyła knajpiarza. Rozległ się trzask pękającego szkła przedniej szyby, po stronie Jenny. Na szczęście Pascal nie stracił panowania nad samochodem i wiedzieli już na pewno, że wydostali się na drogę...

- Nic ci nie jest? - zapytał Pascal, gdy jechali już w stronę centrum miasta.

- Myślę, że nic - odparła Jenny roztrzęsiona.

Zerknął w lusterko, ale dinozaura nie było widać. Może był zajęty pogonią za tamtymi dwoma... Ku swojemu zdumieniu,

Pascal odkrył, że jakoś nie robi to na nim wrażenia.

- Jeszcze kawalek i inni wezmą to w swoje ręce - powiedział.
- A my wreszcie będziemy mogli odpocząć.
- Założymy się? - zapytała Jenny ponuro.

Dickie Radforda doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że nie był atrakcyjną osobą. „Bezbarwny” - tak mógł się określić. Był bezbarwny tak zewnętrznie, jak i psychicznie. W ramach więc rekompensaty za niesprawiedliwość natury, wydawał pieniądze. To znaczy - pieniądze swojego ojca. Urządzał huczne przyjęcia i wkrótce stał się z ich powodu sławny na uniwersytecie... Autoreklama podziałała i wkrótce otoczony był szerokim gronem przyjaciół. Wiedział doskonale, że to tylko kupieni przyjaciele, ale uspokajał się myślą, że jego pieniądze są ekwiwalentem urody czy błyskotliwej inteligencji kogoś innego. Ludzie posiadający atrakcyjność także kupowali sobie przyjaciół, używali jedynie innej waluty.

W ciągu, jednak, ostatniej półtorej godziny, jego z trudem pozyskane grono przyjaciół skurczyło się drastycznie. Spośród 25 osób, jakie początkowo przebywały na łodzi, pozostało jedynie 16. Resztę zaś porwał jakiś dziwaczny stwór.

Łódź utknęła na mieliźnie. W panice, płynąc ku brzegowi, natrafili na łachę piasku. Wprawdzie dziób łodzi znajdował się zaledwie 10 stóp od brzegu, ale te dziesięć stóp może równie dobrze być setką mil. Nikomu, kto próbował pokonać tę odległość, jeszcze się nie udało...

Radford, podobnie jak większość, schronił się pod jednym z restauracyjnych stołów. Podłoga pokryta była szkłem z rozbitych okien. Parę razy wielka głowa potwora ukazywała się w któryś z okien, wpadając w nie niczym buldożer i wyciągając następane

ofiary. Zgasili wszystkie światła i zachowywali się jak mogli najciszej, w nadziei, że bestii znudzi się to makabryczne polowanie i odpłynie. Przez ostatnie parę minut z zewnątrz nie dochodził żaden dźwięk i Radford zaczynał mieć nadzieję, że to coś już sobie odpłynęło.

Gdzieś w ciemnościach, któraś z dziewczyn łkała, co w największym stopniu drażniło Radforda. W końcu, zachrypniętym szeptem odezwał się: - Zamknij się. Musimy być cicho!

- Nic na to nie poradzę - jęknęła dziewczyna. - Boję się. Muszę się stąd wydostać! I to teraz!

- Nie bądź głupia - bezceremonialnie odpowiedział Radford.
- Jak się stąd ruszysz, to skończysz tak samo, jak Melissa, Tony, Izabelle i cała reszta.

- Może już odpłynął - odezwał się jeden z mężczyzn.

- Nie słychać go od jakiegoś czasu - jak myślisz, Roger?

Roger Harmsworth był studentem zoologii. Po pierwszym ataku zwierzęcia wszyscy zwrócili się do niego po radę, jako do fachowca. Przyznał wprawdzie, że nie miał najmniejszego pojęcia, co to za zwierzę, ale i tak wszyscy oczekiwali od niego fachowych porad. Toteż odpowiedział stanowczo:

- Nie ryzykowałbym wyjścia. Raczej należałoby tu zostać aż do świtu, wtedy ktoś na pewno zauważy łódź i sprowadzi pomoc.

- Tak, ale czy wtedy którekolwiek z nas będzie jeszcze żyło?

- wymamrotała któraś z dziewcząt. Radford rozpoznał głos Charlotte Foster. Jej chłopak, Julian, był jedną z ofiar potwora. Ona uniknęła podobnego losu niemal cudem.

- Ktoś powinien jednak spróbować się przedostać zanim to zza burty pożre nas wszystkich...

- Idziesz na ochotnika? - zapytał Radford. - Widziałas przecież, co się stało z Markiem. Mark Fraser był ostatnim, który próbował dotrzeć do odległego o 10 stóp brzegu.

Potwór porwał go jeszcze na łodzi, czołgającego się ku jej dziobowi.

- Tak, idę, jeżeli żaden z tak zwanych mężczyzn się nie odważy - odpowiedziała Charlotta gniewnie.

Radford westchnął. - Zostań na miejscu, Charlotte. Ja pójdę się rozejrzeć - czuł się przygnębiająco odpowiedzialny za wydarzenia tej nocy. W końcu, to on wydawał to przyjęcie. Ale skąd, do cholery miał wiedzieć, że Warchester ma swoją własną wersję potwora z Loch Ness?

Ostrożnie wydostał się spod stołu i uniósł głowę, tak by móc wyjrzeć przez okno. Światło księżycy było wystarczająco silne; widoczność dobra. Powierzchnia wody była niezmacona. - Wygląda spokojnie - poinformował resztę.

- Nie ryzykuj - poradził Harmsworth. - Ten stwór jest cholernie sprytny.

- Słuchajcie, powinniśmy go odciągnąć od dziobu - powiedział Radford. - Jedno z was powinno iść na rufę i zacząć rzucać butelki do rzeki, jak można najdalej. Jeżeli on jest w pobliżu, powinien skierować się ku pluskom.

W ciemnej kabinie zaległa długa cisza, potem odezwał się głos Harmswortha: - Dobrze, pójdę rzucać butelki.

Charlotte chciała zobaczyć co się działo. Nie mogła się oprzeć pokusie, by wyjść spod stołu i wyprostować się. Harmsworth już był na rufie, w świetle księżycy widać było jego cień. Patrzyła, jak rzucił pierwszą butelkę po szampanie. W oddali dał się słyszeć plusk wody, gdy butelka do niej wpadła. Harmsworth skurczył się, gotowy do ucieczki, ale nic się nie stało. Odczekał 30 sekund i rzucił drugą butelkę.

- Żadnego ruchu - oznajmił. - Nie sądzę, żeby to coś tutaj jeszcze było.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz - powiedział Radford.

- Idę! Wróć z odsieczą, jak będę mógł najszybciej. Trzymajcie się... - wydostał się na wąski pokład.

Charlotte nie miała zamiaru pozostawać w tej śmiertelnej pułapce ani chwili dłużej. Ignorując protesty pozostałych, pospieszyła poprzez kabinę do luku, przez który przed chwilą przedostał się Radford i wyjrzała na zewnątrz. Gdyby mu się udało dotrzeć do brzegu, była zdecydowana pójść za nim.

Ujrzała chudą postać Radforda skaczącego do wody. Gdy w niej wylądował, sięgała mu do ramion. Ruszył do brzegu. Wstrzymała oddech. Sześć stóp, cztery... Udało się! Już wspinał się po błotnistym, porośniętym trzciną brzegu. Nagle zachłysnęła się z wrażenia, gdy z ciemności obok łodzi wystrzeliła długa szyja. Zanim dziewczyna zdołała zrozumieć co widzi, potwór chwycił Radforda za lewą nogę i pociągnął z powrotem do wody. Radford krzychał i szarpał się szaleńczo, usiłując uchwycić się czegokolwiek, ale bez skutku.

Następnie Charlotte ujrzała Radforda zwisającego potworowi z pyska. Krzychał jeszcze... Ogromna głowa zanurzyła się ponownie w wodzie, pociągając chłopaka za sobą.

Trzęsąc się ze strachu, Charlotte cofnęła się do kabiny.

Po długiej, pełnej zaskoczenia ciszy, odezwał się męski głos z odcieniem hysterii: - Jedno trzeba oddać staremu Dickiemu; był ekspertem w wydawaniu przyjęć...

Rozdział XIX

Stanley Pitt, członek Parlamentu z okręgu Warchester, obudził się pod wpływem drażniącego buczonego dźwięku. Kiedy otworzył oczy, ujrzał, że na konsoli obok łóżka miga czerwone światelko. Pochylił się nad ekranem, będącym świetlną mapą jego domu i posiadłości. Mała ruchoma strzałka wskazywała na punkcik wewnątrz wschodniej ściany.

Chwycił za telefon, stojący obok konsoli i nacisnął dwa guziczki. Nie czekał długo na zgłoszenie. - Steve, mamy intruza - powiedział szybko w słuchawkę. - Właśnie uwolnił jeden z indykatorów ciśnienia przy wschodniej ścianie. - Wciąż spoglądał na ekran. - Halo! A teraz przerwał strumień świetlny w sadzie. Czekaj na mnie na dole! Sprawimy mu taką niespodziankę, że do końca życia zapamięta.

Pitt ubrał się pospiesznie, zdjął ze ściany dubeltówkę, naładował ją i wyszedł. W hallu natknął się na zaniepokojoną żonę, wyglądającą ze swojej sypialni (od paru lat sypiali osobno). - Co się stało, Stanley? - zapytała.

- Nic - odparł z irytacją. - Wracaj do łóżka.
- Ale masz broń.
- Powiedziałem, Cynthia, że nic się nie stało. Wyminął ją kierując się ku schodom.

Steve już na niego czekał. Także trzymał w dłoniach dubeltówkę i silną latarkę. Oficjalnie, był szoferem Pitta, ale pełnił także rolę jego goryla. Niegdyś służył w Royal Marine.

- Wezwał pan policję, panie Pitt? - zapytał, gdy pracodawca zbiegał po schodach.

- Jeszcze nie. Poradzimy sobie sami. Nieprawda, Steve?

Steve, potężnie zbudowany mężczyzna około czterdziestki, zmarszczył brwi. - Jeżeli pan tak twierdzi, sir - powiedział niepewnie. - Ale żeby być w porządku, powinniśmy...

- Nie! - Pitt urwał dyskusję. - Zobaczmy najpierw, co złapałimy. Biegł przez hall zaróżowiony z podniecenia.

Steve z nieszczęśliwym wyrazem twarzy, podążył za swym pracodawcą do wschodniego skrzydła domu. W przestronnym salonie Pitt zatrzymał się przy konsoli podobnej do tej, jaka znajdowała się w jego sypialni i dokładnie się jej przyjrzał. - Nie wszedł na żaden inny czujnik. Wciąż jest w sadzie. Nie mógł powstrzymać chłopięcego podniecenia w głosie. Miał rzadką okazję, by użyć drogiego sprzętu, jaki produkowała jego firma.

Chwycił z szuflady przy konsoli duże urządzenie, przypominające suszarkę do włosów i machnął nim dumnie. Było to następne cacko do ochrony, wyprodukowane przez jego firmę - podręczny detektor podczerwieni. Wskazał na drzwi do patio.

Steve zawahał się. - Czy nie powinniśmy włączyć zewnętrznych świateł? Cała posiadłość miała światła, teraz wyłączone. Jedno naciśnięcie guzika wystarczyłoby na rozświetlenie całości niczym Blackpool Tower.

- Nie - odparł Pitt szorstko. - Mogłoby go to przepłoszyć.

- Myślałem, że właśnie o to chodziło - wymamrotał Steve, otwierając drzwi i wychodząc na patio. I wtedy, spoza podwójnej glazury, służącej jako izolacja, usłyszał psy.

Pitt był Wielkim Łowczym w lokalnym kole łowieckim i hodował swoje własne foxteriery. Było ich 17. Trzymane były w rzędzie bud niedaleko sadu. Teraz dochodził stamtąd jazgot, niczym w dniu Sądu Ostatecznego.

- Słyszysz psy? - zapytał Pitt. - Najwyraźniej zwąchały gągatka.

- Albo gagatków - powiedział Steve złowieszczo. Nie był tchórzem, ale człowiekiem ostrożnym, i był z tego dumny. Z doświadczenia wiedział, że ci, co podejmowali zbędne ryzyko, nie dożywali emerytury. A on miał zamiar jej dożyć.

Pitt jednakże nie miał zamiaru być ostrożnym. Pospiesznie przebiegł trawnik i Steve był zmuszony udać się za nim.

Gdy dotarli do bud, ujrzeni, że psy były w szale podniecenia, skacząc i szarpiąc siatkę wybiegów.

Obserwując ich zachowanie, Steve niespokojnie popatrzył w stronę sadu. Wcale mu się to nie podobało. Psy nie dostałyby szału na widok zwykłego włamywacza. Z pewnością wyczuły coś innego, ale co? Pociągnął nosem. Czyżby mu się wydawało, że poczuł jakiś dziwny zapach w powietrzu?

Pitt tymczasem wyciągnął swój detektor podczerwieni w kierunku drzew i spojrzął na mały podświetlony ekran. - Nic - oznajmił zawiedzionym głosem. - Idziemy dalej.

Zachowując się cicho, weszli do sadu: Steve czujnie obserwował mijane drzewa, Pitt, spoglądał na swój detektor, którym wymachiwał co rusz przed sobą.

Po chwili Pitt wydał zduszony okrzyk strachu.

- Co się stało? - zapytał niespokojnie Steve, unosząc broń.

Pitt spoglądał na swoje stopy. - Wlażłem w coś! W wielkie gówno!

Steve pochylił się. Pitt miał rację. I na dodatek wyglądało na to, że jest świeże. Wyprostował się i rozejrzał niespokojnie. - Ma pan rację, to zwierzęce gówno, i nie chciałbym spotkać tego zwierzaka, który to zrobił...

- Zwierzak? Jaki zwierzak? - sapnął Pitt.

- Nie mam pojęcia. Ale cokolwiek to jest, jest duże. Zbyt duże.

- Ale w okolicy nie ma dzikich zwierząt... - zaprotestował Pitt.

Steve zawahał się i powiedział: - Proszę nie zapominać o zoo Penwarda. - W domu Pittów, od dnia śmierci ich syna, był to temat tabu. - Raz się zdarzyło, mogło się powtórzyć.

- Nigdy! - odparł sucho Pitt. Moja własna firma konstruowała nowe płoty wokół posiadłości. Nic się stamtąd nie może wydostać.

Steve westchnął: - No dobrze, możliwe więc, że coś uciekło z cyrku. Jednak, cokolwiek to by nie było, jest dla nas zbyt duże. Nie damy sobie z tym rady. Powinniśmy wrócić do domu, włączyć wszystkie światła i wezwać policję.

- Nie - powiedział Pitt po chwili namysłu. - Powiem ci, co zrobimy: wypuścimy wszystkie psy. Niech one się tym zajmą.

- Nie sądzę, by to był dobry pomysł, sir - powiedział Steve. - Jeżeli to znowu któryś z dużych kotów...

- To nie jest żaden duży kot - zaprotestował Pitt. - Mówiłem ci, że żaden z nich nie zdoła się już więcej wydostać z terenu zoo Penwarda. Mogę to zagwarantować. Idziemy!

Mając coraz gorsze przeczucia, Steve podążył za swoim pracodawcą w stronę psich bud. A idąc, stale rozglądał się niespokojnie dookoła.

Pitt otworzył tłoczącym się niespokojnie psom drzwi od ich wybiegu. Tak, jak deptały się nawzajem z nerwowego podniecenia, chcąc się wydostać z zamknięcia, tak teraz wystrzeły całą sforą w ciemność, ale w stronę przeciwną do sadu...

Po chwili ciszy, jaka zapadła między mężczyznami, pierwszy odezwał się Steve. - Przynajmniej wiemy na pewno, że to nie żaden lis... Odwrócił się w stronę sadu z bronią gotową do strzału.

- Nie rozumiem tego - wymamrotał Pitt. - To przecież najlepsze psy myśliwskie w całym hrabstwie.

- Może potrafią wyczuć to, czego my nie potrafimy - odparł Steve. - Powinniśmy wrócić jednak do domu. I to teraz.

- Nie, zaczekaj chwilę. Pitt ponownie uniósł swój detektor podczerwieni. Zerknął na wyświetlacz i wykrzyknął:

- Hej, mam odczyt! Jest gdzieś tam! - wskazał na rząd drzew po prawej stronie. Steve spojrział w tym kierunku, lecz niczego nie zauważył, żadnego ruchu.

- Dobry Boże! - znowu odezwał się Pitt. - Rejestruje mi tu ośmiokrotną ciepłość ludzkiego ciała.

Steve dokonał szybkiej kalkulacji myślowej i wyszło mu, że to musi być jakiś potężny kot, może następny tygrys syberyjski, jak wtedy...

Mylił się jednak. To, co wyłoniło się zza jabłoni, nie było tygrysem. Stało na dwóch nogach i miało około siedmiu stóp wzrostu. Miało też długi ogon i głowę gada, ozdobioną dwoma kostnymi grzebieniami po bokach. Przechyliwszy teraz głowę jak ptak - dziwne zwierzę przyglądało się mężczyznom.

Steve ze zdziwienia aż rozdziawił usta. Pitt tego jeszcze nie widział, wciąż bowiem gapił się w swój detektor.

- Panie Pitt... - odezwał się Steve zduszonym głosem.

- Chyba idzie w naszym kierunku, bo wskazówka idzie w górę skali... - powiedział Pitt i podniósł głowę. - Dobry Boże... Steve wypalił z obu luf dubeltówki, celując w głowę stworzenia. To ryknęło z bólu i zaczęło machać łapami wokół głowy. - Najwyraźniej dostało w oko.

- Uciekamy! - krzyknął Steve, dając Pittowi szturchańca w ramię. Ten jednak, zamiast biec, zaczął cofać się wolno z oczami wciąż utkwionymi w zwierzęciu. - Co to jest...? - zapytał w osłupieniu.

- A co to kogo obchodzi, ty stary durniu! Uciekaj do cholery! - ryknął Steve na całe gardło. Było już jednak za późno. Zwierzę

zauważyło ich zdrowym okiem. Rzuciło się ku nim z furją.

- Jezu - Steve aż się zachłysnął z wrażenia. Odwrócił się na pięcie i zaczął biec, nie zastanawiając się, czy Pitt zrobi to samo. Wiedział, że nie ma szans na dopadnięcie domu, więc skierował się ku psim budom. Budy były z betonu, jedynie zadaszone drewnem.

Wgramolił się przez furtkę i padł na brzuch w wybiegu. Coś ciężkiego wylądowało mu na nogach. Drgnął z przerażenia, lecz to był tylko Pitt, czółgający się tuż za nim.

- Goni mnie! - wrzasnął Steve'owi w ucho.

- Ciii! Zamknij się - syknął ten, ujrawszy nogi stworzenia zbliżającego się ku rzędowi bud. Wielkie szponiaste stopy minęły budy i zatrzymały się. Steve wiedział, że z jednym okiem i po ciemku, trudno będzie stworzeniu ich zauważyć. Zwłaszcza, że oczy osadzone miało po bokach - jak ptak. Gdyby leżeli absolutnie bez ruchu i bez słowa, mogliby w ogóle nie zostać zauważeni.

Dla Steve'a, leżącego niemal pod swoim pracodawcą, długa chwila ciągnęła się w nieskończoność... Z obrzydzeniem zorientował się, że leży twarzą w psim łajnie. To faktycznie noc gówen, pomyślał kwaśno.

Kątem oka dojrzał szponiaste nogi i ogon. Powoli zaczynały się oddalać. To coś zrezygnowało!

Nagle cały teren rozblił wszystkimi światłami! Zrobiło się jasno, niczym w dzień. - O Chryste... - zaskowyczał Pitt. Steve ze złością domyślił się co się stało. Pani Pitt, niewątpliwie zastanawiając się, gdzie się tak długo podziewają, zdecydowała się zejść na dół i włączyć oświetlenie.

Zaskoczony światłem stwór zatrzymał się gwałtownie i rozejrzał nerwowo. Teraz Steve mógł mu się przyjrzeć dokładnie - był wielki. Miał co najmniej 15 stóp od czubka nosa do końca ogona.

Skórę miał w brązowoszare cętki, twardą i pokrytą łuską. Steve nagle doznał szoku - przecież to dinozaur. Ale skąd... jak?

Nie było czasu na rozwiązywanie zagadki. Pitt gramolił się już na nogi. - Widział nas - krzyknął.

- Ty głupku - zaklął Steve, gdy potwór odwrócił się i spojrzał w ich kierunku zdrowym okiem. Rozwarłszy pysk, ruszył w ich stronę. Zdawało się, że ilość jego zębów jest niepoliczalna.

- Do budy, szybko! - wrzasnął Steve, włączając na czworakach do najbliższej budy. Pitt wczuł się za nim i teraz siedzieli, strachliwi ściśnięci w małym, ciasnym pomieszczeniu, silnie pachnącym prawowitymi mieszkańcami.

Kiedy przez najbliższą chwilę (i tak trwającą całe wieki) nic się nie zdarzyło, Steve uwierzył, że dinozaur (bo tego, że to dinozaur był już pewien) znowu stracił nimi zainteresowanie. Ale właśnie, gdy zaczął dochodzić do siebie, tuż nad ich głowami rozległ się trzask pękającego drewna i w dziurze po dachu pojawił się pysk potwora.

Zanim Steve zdążył zareagować - szczęki dinozaura zamknęły się wokół głowy Pitta i uniosły go, wrzeszczącego i kopiącego z budy. Steve mocno uchwycił wierzgające nogi. Przez chwilę Pitt był jeszcze ciągnięty ku górze, gdy nagle spadł na Steve'a.

- Czy wszystko...? - zaczął Steve gramoląc się spod pracodawcy, ale nie miał po co kończyć pytania. Pitt go nie słyszał.

Był bez głowy.

Rozdział xx

- Dinozaur? Na wolności w Warchester? - zapytał posterunkowy Keith Driscoll, z rozbawieniem spoglądając to na jedno, to na drugie. - Dobra, poddaję się. Co to za żart?

Pascal jęknął. Było tak, jak podejrzewali. Ani Driscoll, ani jego kolega na służbie, nie uwierzyli w ich opowieść. Spróbował ponownie. - Keith, to nie żart. Czy wyglądamy, jakby nam były żarty w głowie? To wszystko prawda, przysięgam! I ty musisz coś z tym zrobić, zanim zginie więcej ludzi.

Drugi posterunkowy, Tom Hazelmere, nie mógł oderwać oczu od Jenny. Szamotanina z drutem kolczastym zamieniła jej koszulkę w strzępy, odsłaniające teraz niemal całą lewą pierś. Pascal zauważył to dopiero teraz, Jenny najwyraźniej także. Gdy spostrzegła, co tak bardzo interesowało Hazelmere'a, usiłowała jakoś się zasłonić resztkami koszulki. Nie udało jej się to, zaś oczy Hazelmere'a stały się jeszcze bardziej okrągłe.

Driscoll, który też nie mógł oderwać oczu od jej piersi, zaśmiał się głupawo: - Nie wiem, co oboje kombinowaliście tej nocy, ale wyglądacie, jakbyście ją spędzili na szaleństwach. Co się stało? Rozwaliliś samochód? Gazowałeś się? Pochylił się ku Pascalowi i pociągnął nosem. - Nie czuję żebyś pił.

Pascal z trudem powstrzymywał się przed pochwyceniem starego szkolnego kumpla i uduszeniem go. Bardzo wolno i bardzo spokojnie powiedział: - To może brzmi niedorzecznie, ale po Warchester grasuje bardzo duże i bardzo niebezpieczne zwierzę. Jest niemal tak duże jak piętrowy autobus, ale, jak zechce, potrafi

poruszać się z niesamowitą prędkością. Uciekło z zoo Penwarda. Możliwe, że pozostałe zwierzęta też już są na wolności.

- Chcesz powiedzieć, że grasuje więcej niż jeden dinozaur? - zapytał Driscoll z wyraźnym niedowierzaniem.

- Sir Penward hodował je w tajemnicy. Klonował je ze skamielin. To na razie zbyt skomplikowane, by teraz wyjaśniać, po prostu mi uwierz! On jest nienormalny. To wariat! Miał zamiar wypuścić je na wolność, żeby opanowały cały świat.

- Chciał nas zabić - wtrąciła Jenny. - Chciał nas zamordować - rzuciła lwom...

Driscoll odwrócił się ku Jenny. - Sir Penward chciał was rzucić... lwom? - uśmiechnął się szeroko. - A co się stało? Nie lubi chrześcijan, czy jak?

- Wiem, że brzmi to niewiarygodnie, ale to prawda! Każde słowo. Wystarczy kogoś wysłać do posiadłości, żeby sprawdził. Kiedy stamtąd uciekaliśmy, panował tam straszliwy chaos. Wszędzie były zwierzęta polujące na ludzi. Sir Penward pewnie też już nie żyje.

Wciąż szczerząc zęby, Driscoll zapytał: - A jak te zwierzęta, te całe dinozaury wydostały się na wolność?

- Myślę, że to lady Jane specjalnie je wypuściła - odpowiedział Pascal zimno.

- Lady Jane? - Driscoll uniósł brwi. - Dlaczego?

Pascal potrząsnął głową. - Nie ma czasu wnikać teraz w szczegóły. Słuchaj Keith, zrób mi przysługę i udaj, że mi wierzysz chociaż przez parę chwil. Zadzwoń do Penward Hall. Zobaczysz, czy ktokolwiek się zgłosi.

Driscoll spojrzał na zegarek. - Jest dopiero czwarta nad ranem i ty chcesz, żebym zrobił z siebie głupka, dzwoniąc tam o tej porze?

- Cholera! - wykrzyknął Pascal, uderzając pięścią w biurko. - Dlaczego, kiedy potrzeba, nigdy nie ma w pobliżu mądrego policjanta!

Driscoll spoważniał nagle. - Spokojnie, Dave. Nie dam się nabrać na takie bzdury, nawet tobie. Do tego momentu byłem bardzo cierpliwy. Teraz pora, byście opowiedzieli mi prawdę. Co się wam przytrafiło?

- O Boże... - jęknął Pascal i opadł zrezygowany na krzesło.
- To beznadziejne. Gadał dziad do obrazu.

Hazelmere, tymczasem, napatrzywszy się na do połowy odkryte piersi Jenny, podszedł do drzwi. - Hej - odezwał się. - Czy to przypadkiem nie jest Jaguar Percy Olivera?

- Jeżeli Percy Oliver jest właścicielem „Phoenix Arms”, to tak - odparł Pascal.

Driscoll dołączył do Hazelmere'a, potem odwrócił się ku Pascalowi. - Skąd się tu wziął? - zapytał podejrzliwie.

- Ukradliśmy go - powiedział Pascal spokojnie, osiągnąwszy już punkt zupełnej obojętności. Zrobił, co mógł, by dostarczyć ostrzeżenie. Teraz, bez względu na to, co nastąpi, za nic już nie będzie odpowiedzialny.

- Ukradliście? - wykrzyknął Driscoll. - Ale dlaczego?

Pascal nie mógł powstrzymać uśmiechu. Całą, mrozącą krew w żyłach opowieść o grasujących po Warchester dinozaurach zdystansowała wiadomość o kradzieży samochodu... Wzruszył ramionami. - Dlaczego? Była to kwestia wyboru między kradzieżą, a pożarciem przez dinozaura, który wyglądał jak jedna wielka morda na dwóch nogach. To ten, który nas gonił. Poza tym stary Percy Oliver i tak już nie będzie potrzebował samochodu. Kiedy go widzieliśmy ostatni raz, był właśnie wdeptywany w ziemię...

Driscoll popatrzył na niego, poczym kiwnął, by podszedł ku drzwiom. Gdy stanął obok, policjant wskazał noc za szybą.

- Co tam widzisz Dawid?

- Nic.

Driscoll otworzył drzwi. - A co słyszysz?

- Nic.

- Tak jest. Nic. A gdyby na wolności było zwierzę, wielkie jak autobus, nie sądzisz, że już byłyby jakieś oznaki jego obecności? Może jakiś krzyk o pomoc? - odwrócił się i wskazał tablicę rozdzielczą. - Może jakiś telefon od mieszkańców, informujących, że właśnie spostrzegli syna Godzilli?

Pascal milczał.

- Gdzie jest twój dinozaur, Dave?

Rozdział XXI

Dzięki czystemu zbiegowi okoliczności, na pytanie Dris-colla mogłaby odpowiedzieć matka Pascala.

Mając od dawna kłopoty ze snem, tej nocy nie spała w ogóle. Martwiła się o Pascala. Mimo, że w ciągu ostatnich tygodni nie spędził nawet jednej nocy w domu - przynajmniej do niej dzwonił. Teraz minęło już 48 godzin, odkąd słyszała go po raz ostatni.

Leżała, przewracając się z boku na bok i usiłując nie myśleć o tych wszystkich okropnościach, jakie mogły przytrafić się jej synowi. Żałowała, że nie знаła powodu jego dziwnego zachowania w ciągu tych ostatnich paru tygodni; przypuszczała, że jego nocne nieobecności w domu mają związek z jakąś nową dziewczyną. Dlaczego jednak jej o tym nie powiedział? Gdy próbowała go o to pytać, po prostu ją zbywał, mówiąc, że to ma związek z jego pracą. Wiedziała jednak, że to nieprawda. Niewiele było do roboty w „Warchester Times” za dnia, a jeszcze mniej w nocy... Co więc ukrywał przed nią?

Jakiś dźwięk zza okna zakłócił tok jej niewesołych myśli. Zmarszczyła brwi. Brzmiał jak stłumione chrząknięcie, czy parsknięcie zwierzęcia...

Zdziwiona, wstała z łóżka i podeszła do okna (jej sypialnia znajdowała się na piętrze i wychodziła na tyły domu). Serce aż stanęło jej z wrażenia, gdy to ujrziała.

Przez wysokie na 5 stóp mury oddzielające poszczególne ogródki, przechodził dinozaur. Widziała go doskonale w świetle

księżycy i nawet zdawało jej się, że rozpoznaje gatunek - Tyrannosaurus Rex (myliła się, był to oczywiście tarbozaur).

Kiedy wielka bestia weszła do jej ogródka, w domu zadrżała podłoga. Gdy zaś płaska głowa mijała jej okno - będące na wysokości oczu potwora, przez mrozącą krew w żyłach chwilę zdawało jej się, że ich wzrok się skrzyżował. Była niemal pewna, że teraz zwierzę wepchnie swą wyszczerzoną mordę do jej okna.

Nic takiego jednak nie nastąpiło. Ujrzała, jak gigant ostrożnie przechodzi przez następny mur - do ogrodu Benfordów. Obserwowała go, dopóki nie znikł jej z oczu. Chciała otworzyć okno i wychylić się, by zobaczyć, dokąd się skieruje, dotarłszy do końca rzędu domów. Powstrzymała się jednak. Stała bez ruchu zdjeta potwornym strachem.

- Mam 49 lat i początki choroby umysłowej... - powiedziała do siebie. - Boże, dlaczego... dlaczego? Dlaczego ja?

Stała tak jeszcze przez chwilę, zagubiona we własnych przerażających myślach. Nawet nie usłyszała psa, który, rozszedł się na koniec ulicy, ani też jego skowytu pełnego bólu i nagłej ciszy jaka po tym nastąpiła.

Ruszyła się wreszcie i podeszła do stolika nocnego. Wzięła stamtąd butelkę valium i połknęła od razu trzy tabletki. Potem położyła się spokojnie na łóżku.

Kierowca 30-tonowej ciężarówki zerkał co chwilę na siedzącą obok dziewczynę. - Tę, to przypiliło... - pomyślał podniecony. No, bo jakież inny powód mogłaby mieć, by jechać stopem o tej porze. Wprawdzie nie zachowywała się, jak te inne, które rozpoznawał na odległość, ale kto to teraz może być pewien... Nasłuchiwał się dosyć o mieszczańczkach, które zasilały szeregi tzw. „ciężarówek”. Nazywane były „brygadą do niewybrednych zadań”... Równie dobrze on mógłby być takim zadaniem.

Ponownie spojrzął na dziewczynę. Siedziała oparta o boczną szybę i podparwszy brodę rękami, oglądała mijane krajobrazy. Prezentowała się doskonale. Biuściasta blondynka, około dwudziestki. Miała na sobie sztruksowy żakiet i obcisłe jeansy. Naprawdę obcisłe jeansy. Kierowca poczuł, że z podniecenia robi mu się ciasno w spodniach.

- Mieszkasz w Warchester? - zapytał.
- Nie - odparła nawet na niego nie spojrzawszy. - Mam tam przyjaciół. - Nie była drobiazgowa.

- Studentka?

- Już nie - odparła z odcieniem gorczy w głosie.

Zauważył obrzek wokół oczu, jak gdyby niedawno płakała.

Po chwili milczenia znowu zapytał: - Masz zwyczaj jeździć stopem o takiej godzinie?

- Czasem - wciąż patrzyła w okno.

- To może być niebezpieczne. Nigdy nie wiadomo, kto się trafi.

- No i co z tego.

Zacisnęła dłonie na kierownicy. Miał rację! Prosiła się o to! Może miała sprzeczkę ze swoim chłopakiem i chciała się zemścić przygodą na boku, może się nudzi i szuka dreszczyku podniecenia. A może to po prostu nimfomanka, lubiąca jak się ją dokładnie przeleci. Jakikolwiek miała powód - dostanie to, czego chciała. Znał miejsce nieopodal, gdzie można było zjechać z drogi. Miejsce ładne i zaciszne.

Spojrzął na nią raz jeszcze. Wyciągnął dłoń i położył na jej udzie. Wolno odwróciła ku niemu głowę, ale w tym momencie coś innego, na drodze przed nimi, przyciągnęło jej uwagę. Spoglądając przed siebie szeroko otwartymi oczami, krzyknęła: - Uwaga!

Wrócił wzrokiem na drogę, ale za późno. W światłach reflektorów zdażył zauważyć tylko jakieś wielkie zwierzę, całe zielone i składające się z samych zębów i pazurów. Potem nastąpiło zderzenie.

Megalozaur, zaspokoiwszy swój apetyt w zagrodzie dla bydła, znajdującej się z tyłu zoo, zaczął myśleć o zaspokojeniu swego równie wielkiego apetytu seksualnego. Wywędrował z posiadłości Penwarda w beznadziejnym poszukiwaniu żeńskiego członka swego gatunku, nieświadom faktu, że od seksualnego spełnienia dzieli go 130.000.000 lat.

W końcu wydostał się na drogę, w samą porę, by zostać przejechanym przez rozpędzoną 30-tonówkę, kierowaną przez innego samca, też mającego w głowie wyłącznie seks.

Siły były nierówne. Dwutonowy dinozaur nie miał szans wobec 30-tonowego kolosa, jadącego z prędkością 40 mil na godzinę. Zginął na miejscu z roztrzaskanym w paru miejscach kręgosłupem.

Rozpędzona ciężarówka ujechała jeszcze jakieś 100 jardów, wlokąc za sobą szczątki, nim zatrzymała się.

- Jezu - jęknął przerażony kierowca. Po twarzy ciekła mu strużka krwi z rozbitego o przednią szybę czoła, trząsł się cały ze zdenerwowania. Dziewczyna, była wprawdzie zupełnie biała ze strachu, nie odniosła jednak żadnych obrażeń.

Wyskoczyła z kabiny. Po paru głębokich oddechach, spojrzała na drogę. Z tego, co leżało na niej, mogła domyśleć się kształtów przejechanej ofiary.

Kierowca także wysiadł i lekko się zataczając, podszedł ku przodowi ciężarówki. Spojrzawszy na pojazd, wydał zduszony okrzyk grozy.

Podeszła i popatrzyła na wgnieciony przód; nawet masywny zderzak był mocno wgięty. Woda i olej wyciekały na drogę. Nawet dla jej niefachowych oczu oczywistym było to, że to koniec podróży.

- Cholera! Co ja teraz zrobię? - lamentował kierowca. - Jutro w południe mam dostarczyć towar do Peterborough! Szef

mnie zabije! - Nagle spojrzal na dziewczynę oskarżająco i warknął - To twoja wina.

- Moja wina? - zapytała ze zdziwieniem. - Dlaczego?

- Bo mnie rozpraszałaś! Specjalnie! Napalałaś się na mnie, aż w końcu zaskoczyłem! Ty cholerna suko. Wszystkie jesteście takie same! I teraz zniszczyłaś mi sprzęt.

Spoglądała ze zdumieniem na kierowcę - brzuchatego, łysiejącego 40-latkę, w końcu odezwała się chłodno: - Słuchaj pan, nie wiem, o czym pan mówi. Ale wiem, że to co walnęło w pańską brykę leży tam na drodze - wskazała kciukiem. - I dobrze byłoby, gdybyśmy poszli zobaczyć, co pan przejechał.

Mrucząc pod nosem jakieś przekleństwa, na temat zagrożeń jakie dla takich żonatyh jak on, stwarzają opętane seksem nimfomanki, kierowca wspiał się do kabiny po latarkę. Następnie wrócili do martwego zwierzęcia.

- O ja cię kręcę... - wykrzyknął kierowca, oświetlając szczątki. - Co to jest?

- Dinozaur - odparła oszołomiona. - Przejechał pan dinozaura.

- Przejechałem co?

- No wie pan, takiego z filmów.

- A... - pokiwał głową. - No tak, ale ja czytałem, że te... one wyginęły wieki temu... Są, jak to się mówi... wymarłe. Tak, wymarłe.

- Najwidoczniej nie w Cambridgeshire - odpowiedziała sucho.

- Cholera, te pieprzone władze powinny jakoś ludzi ostrzec... że takie coś łązi po okolicy!

- Myśli pan o znaku: UWAGA, DINOZAURY...? - zapytała dziewczyna poważnie, walcząc usilnie z napadem hysterii.

- Coś w tym rodzaju - energicznie kiwnął głową.

- Spójrz na jego zęby. Pewnie był bardzo niebezpieczny.

Ostrożnie dotknął czubkiem buta przedniej łapy zwierzęcia.

- Cholera, ważył chyba ponad tonę.

Dziewczyna popatrzyła nerwowo na drzewa. - Mam nadzieję, że nie ma ich więcej w pobliżu.

Spojrzał na nią ze strachem. - A może ich tu być więcej?

- Nie wiem, co myśleć. Wiem tylko, że takie stworzenie nie ma prawa istnieć. W ogóle nie powinno go tutaj być! Coś podejrzanego się tu dzieje. Powinniśmy wrócić do kabiny i poczekać aż nadjedzie jakiś samochód.

Pospieszyli ku ciężarówce, mając nadzieję, że ujrzą jakiś samochód. Droga była jednak przerażająco pusta.

Dziewczyna wsiadła do szoferki pospiesznie, kierowca zawałał się. - Pójdę wystawić światła ostrzegawcze, żeby nikt się na nas nie władował.

Patrzyła, jak rozstawia zasilane baterią żółte światła ostrzegawcze przed maską ciężarówki. Wkrótce znikł jej z pola widzenia - poszedł oświetlić tył wozu.

Czekając na jego powrót, miała cały czas nadzieję, że wkrótce ujrzy światła jakiegoś samochodu. Bała się nie tylko tego, że może się pojawić jeszcze jakiś stwór, ale także niewątpliwych problemów z kierowcą... Wprawdzie szok spowodowany wypadkiem na razie wybił mu z głowy seks, ale podejrzewała, że dojdzie do siebie i zaczną się kłopoty.

Czas mijał, a mężczyzna nie wracał. Wychyliła się, ale kontener zasłaniał widok. - Hej, wszystko w porządku? - zawołała, nie usłyszała jednak odpowiedzi. Otworzyła drzwi i wychyliła się jak mogła najdalej. W żółtym blasku świateł ostrzegawczych dostrzegła jego nogi. I nagle, te nogi zaczęły się usuwać z pola widzenia... Coś ciągnęło kierowcę po ziemi.

Schowała się szybko do kabiny, zamykając za sobą drzwi i okna. Trzęsła się ze strachu. Więc jest jeszcze jeden taki potwór... I właśnie złapał kierowcę.

Siedziała w straszliwym napięciu, usiłując mieć na oku oba boczne lusterka jednocześnie. Czas mijał przeraźliwie wolno.

Krzyknęła, gdy coś nagle wskoczyło na maskę pojazdu. Ale nie był to dinozaur - to była pantera. Duża czarna pantera.

Dziewczyna skurczyła się na siedzeniu. Zastanawiała się, czy szyba wytrzyma, czy też pantera dostanie się do środka.

Wtem, ku jej zaskoczeniu, dziki kot zwyczajnie usiadł na masce, mimo iż wciąż intensywnie przyglądał się dziewczynie. Najwidoczniej jednak nie spieszyło mu się, by ją pochwycić. I nawet wiedziała dlaczego - pewnie dopiero co pożarł kierowcę.

Podczas ciągnących się między nimi w nieskończoność zapasów wzrokowych, dziewczyna przypomniała sobie narzekania przyjaciół. - Warchester? To najnudniejsze miejsce w całej Anglii. Tutaj nigdy nic się nie dzieje.

Najwidoczniej musiały nastąpić daleko idące zmiany.

- Wiesz, co myślę? - zapytał Driscoll.

- Nie. A co myślisz? - odparł sarkastycznym pytaniem Pascal.

- Myślę, że wy dwoje wdepnęliście w jakieś kłopoty tej nocy. Może mieliście wypadek samochodowy, czy coś w tym rodzaju. Albo daliście sobie ostro w gaz. Więc wpadło wam do głowy, żeby wziąć samochód Percy Olivera, a teraz ładujecie mi tu jakieś głodne kawałki, żeby mi zamydlić oczy.

Pascal spojrział na Jenny. - Przygazowaliśmy? Koką czy herą, bo nie pamiętam?

Jenny wtulona w krzesło, zasłaniając ramionami piersi, milczała.

Driscoll kontynuował poważnie. - Słuchaj Dave, przez wzgląd na naszą starą przyjaźń, zrobię wszystko, co mogę, by ci pomóc.

Daję ci szansę na opowiedzenie swojej wersji wydarzeń - zanim będę musiał zawiadomić Percy'ego o kradzieży.

- Długo będziesz musiał czekać, aż podejdziesz do telefonu. Ostatnim razem widziałem go zamienionego w placek - powiedział zimno Pascal, spoglądając na zegarek. - Im więcej tracisz czasu, tym więcej tych zwierząt może być już na wolności. I to nie tylko dino... te duże gady - poprawił się. Także wielkie koty. Spotkaliśmy lwa w domu Penwarda, co oznacza, że ich ogrodzenie też zostało zniszczone. Jeden Bóg wie, ile tych dzikich zwierząt wałęsa się po okolicy. Musisz coś zrobić, Keith.

Driscoll pokręcił ze smutkiem głową. - Widzę, że naprawdę chcesz mi łądować te głodne kawałki.

Pascal uśmiechnął się złośliwie. Doszedł do stadium, gdy było mu wszystko jedno i poważnie zaczynał się zastanawiać, czy przypadkiem Driscoll nie ma racji. Może faktycznie to wszystko jest tylko wytworem jego chorej wyobraźni. Może oszalał.

- Dave, błagam cię, spójrz prawdzie w oczy - powiedział Driscoll. - Gdyby po Warchester biegały luzem jakiekolwiek dzikie zwierzęta, wiedzielibyśmy o tym. Poza tym McCaffrey i Nolan są na patrolu i gdyby coś było, pierwsi by to zobaczyli.

- Kto wie, może już widzieli - powiedział Pascal. - Może właśnie teraz są degustowani przez któregoś z pupilów Penwarda. Dawno miałeś od nich wieści?

Driscoll spojrzał na niego zboląłym wzrokiem. - Okay, nie wykorzystaleś szansy. Teraz, to już muszę zadzwonić do Percy Olivera. Sięgnął po telefon, ale zanim zdołał podnieść słuchawkę, na tablicy rozdzielczej zamigotało światelko i odezwał się dźwięk telefonu. Marszcząc brwi, Driscoll podniósł słuchawkę.

Pascal uważnie obserwował jego twarz. Nie był zbyt zdziwiony widząc, jak błędnie gwałtownie.

- Co... co? Jest pani pewna? Proszę się nie ruszać z domu i pozamykać wszystkie drzwi, pani Pitt. Przyjedziemy, jak najszybciej. Tak, tak, przyrzekam. Muszę się teraz rozłączyć, pani Pitt. Proszę zachować spokój.

- Co jest? - zapytał z ciekawością Hazelmere.

- To była pani Pitt - powiedział wolno. - Była przerażona. Podobno jakieś dzikie zwierzę jest w ich ogrodzie i jest przekonana, że zabiło jej męża.

- No, to się zaczęło - mruknął Pascal.

Rozdział XXII

- Masz okazję oglądać rzadki, a wspaniały widok, Jenny
- Pascal nadał swemu głosowi nieprzyjemny ton. Miał zamiar teraz wziąć na Driscollu odwet za to, że nie chciał wierzyć w ich opowieść. - Właśnie widzisz policjanta, który wreszcie odkrył, że 2 i 2 to 4.

Driscoll skontaktował się przez radio z wozem patrolowym, kierując go do rezydencji Pittów. Odkładając mikrofon, stwierdził z troską w głosie. - Są o jakieś pół mili i będą tam za parę minut.

- Są oczywiście nieuzbrojeni? - zapytał Pascal.
- Oczywiście.
- No to lepiej powiedz im, żeby nie szwendali się po tyłach ogrodu Pitta. I nie pomogłoby im nawet, gdyby mieli rewolwery. Jeżeli to tarbozaur jest z wizytą u Pittów, to poradzić mogłaby tylko bazooka.

Driscoll nerwowo przejechał palcami po włosach. Słuchaj, przyznaję, że coś jest w tej twojej historii o dzikich zwierzętach. Ale nie dam się nabrać na te bzdury o dinozaurach.

- Jak chcesz - Pascal wzruszył ramionami. - Ale kiedy to wszystko już się skończy i będziesz musiał napisać raport - pisz go w takim razie ad kosz. To będzie koniec twojej kariery jako gliny.

Driscoll chwycił za słuchawkę. - Dzwonię do Penward Hall. Dowiem się, czy nie uciekły stamtąd jakieś zwierzęta.

- Tracisz czas - głos Pascala był pełen znużenia. - Zadzwoń lepiej do inspektora Bodycombe'a i powiedz, że masz stan krytyczny na swoim terenie. Niech postawi w stan gotowości służby

specjalne w całym hrabstwie. Jest już na pewno więcej wypadków, niż może przyjąć lokalny szpital. I niech wezwie wojsko. Będzie nam potrzebne do walki z tymi stworami.

Ale Driscoll nie słuchał. Czekał ze słuchawką przy uchu, czy i kiedy po drugiej stronie kabla - w Penward Hall - ktoś odbierze telefon.

Tymczasem drugi aparat na biurku Driscolla rozdzwonił się niespokojnie. Odebrał go Hazelmere.

Kiedy Driscoll wreszcie odłożył trzymaną słuchawkę, Tom powiedział: - Mam na linii kierowcę cysterny, w budce obok „Phoenix Arms”. Mówi, że całe miejsce wygląda jak po przejechaniu buldożera. I że w ruinach znalazł trupy, które wyglądają jakby były niedojedzone.

Driscoll gwałtownie poszarzał. Porwał słuchawkę. - Dzwonie do starego. Ty dzwoń do sierżanta i reszty, niech się tu natychmiast zameldują. Hasło: stan krytyczny 09.

- Aha - wymamrotał jadowicie Pascal. - Tryby zaskoczyły...

Jenny wstała i podeszła ku niemu. - Idę do biura. Muszę wykonać parę telefonów...

- Dokąd?

- Jeden do rodziców. Chcę się dowiedzieć, czy wszystko w porządku, mieszkają na uboczu.

- Dobry pomysł - powiedział. I on powinien zadzwonić do swojej matki, dowiedzieć się, czy nic jej nie zagraża. Po namyśle jednak doszedł do wniosku, że nie... Wstał. Wysilek wywołał grymas bólu. Kostka wciąż bolała jak diabli i na dodatek była już cała spuchnięta.

Wyszli nie zauważeni przez zaferowanych policjantów.

Na zewnątrz, Jenny zatrzymała się nasłuchując. - Posłuchaj, kiedy Keith pytał cię przedtem czy coś słyszysz - nie było żadnego dźwięku, a teraz...

Pascal kiwnął głową. Było tak, jakby rozszczękało się całe miasto psów...

Kiedy Jenny dodzwoniła się już do swoich rodziców, zwróciła się do Pascala stanowczym tonem: - Jak tylko zaczniesz wyglądać jak człowiek i doprowadzisz się do porządku, zabieramy się do roboty.

- Do roboty? - zapytał, nieobecny duchem.

- Zapomniałeś już, dlaczego się w to wszystko wpakowaliśmy? Poszukiwaliśmy sensacji. Historii stulecia - jak mówiłeś. - No i mamy ją!

Pascal gapił się na nią z mieszaniną zdumienia i podziwu. Zapomniał po co wdarł się do zoo. Uleciały mu z głowy wszystkie myśli związane z dziennikarstwem... A Jenny, pomimo tych wszystkich przeżyć sprzed ostatnich paru godzin, okazała się profesjonalistką. Jeszcze nie tak dawno temu, w ogóle nie przyjąłby do wiadomości, że Jenny nad nim dominuje. Teraz jednak sytuacja zmieniła się.

Prowadząc go do łazienki, gdzie znajdowała się apteczka, Jenny mówiła dalej. - Po pierwsze zadzwonimy do agencji i prześlemy zapewnienie, że dostaną wyjątkową historię ze wszystkimi detalami w ciągu paru godzin... Do diabła! Żałuję, że nie mamy zdjęć!

- Może powinniśmy zadzwonić do Henry'ego - zasugerował.

- Nie, jeszcze nie teraz. Byłoby to dla niego zbyt niebezpieczne, gdyby się tam teraz plątał.

- Przede wszystkim, w ogóle by nam nie uwierzył. A skoro o tym mowa - to agencja również nam nie uwierzy.

- Ale do czasu. Driscoll już na pewno podniesie alarm na całe hrabstwo. I agencja będzie miała na głowie tylko potwierdzenie telefoniczne, że naprawdę coś wielkiego stało się w Warchester.

Pozwolił na zabiegi wokół swego rozciętego ramienia. Kiedy zdejmowała mu z pleców zakrwawioną koszulę, ból wrócił ze zdwojoną siłą. - Fatalnie wygląda - oznajmiła. - Ale przynajmniej przestało krwawić.

Myjąc mu ranę płynem dezynfekującym zmieszonym z wodą, poprosiła aby opowiedział jej wszystko co wie o dinozaurach Penwarda. Spełnił jej prośbę i w przerwach między parkosyzmami bólu streścił jej historię, jaką usłyszał od Penwarda. Również i o tym, jak kod genetyczny zawarty w skamieniałych komórkach dinozaurów jest po prostu kopiowany w żywych komórkach ptaków.

- Kurczaki! - wykrzyknęła z niedowierzaniem. - Mówisz, że te wielkie potwory zostały stworzone z komórek kurczaków?

- Brzmi wariacko, wiem, tak mi powiedział - odparł Pascal i przeszedł do opowieści o pokrewieństwie genetycznym ptaków z dinozaurami, i o tym, jak te drugie dały początek ptasiemu gatunkowi...

Opowiedział jej o planie Penwarda, mającym na celu wypuszczenie w wielu odludnych częściach świata par dinozaurów, zdolnych do rozrodu. - Widział się w roli Noego. Noego królestwa dinozaurów. Miał zamiar im pomóc w zawładnięciu ziemią.

- Boże! - wykrzyknęła Jenny z podnieceniem. - Miałeś rację, David, to będzie historia stulecia! I na dodatek nasza!

Pascal uśmiechnął się, ale nie podzielał jej entuzjazmu. Na razie. Dopadło go znowu poczucie winy. Dzięki śledztwu w zoo - dzięki jego śledztwu, działa się to wszystko. Czy lady Jane wypuściłaby te stworzenia, gdyby jej nie odrzucił? Wątpił w to, a przecież dlatego właśnie zginęło mnóstwo ludzi. I najprawdopodobniej zginie ich jeszcze więcej, zanim wszystkie dinozaury zostaną wyłapane lub zabite.

Gdy zrobiła przy nim to, co mogła, by doprowadzić go do jakiego porządku, zdjęła resztki koszulki i jeansy, tak by teraz

on mógł zdezynfekować jej zadrapania. Miała rany na twarzy, na nogach - zadrapania od drutu kolczastego i okropnie wyglądającą ranę pod prawą pachą. Ale w porównaniu z nim, i tak wyszła z tego niemal bez szwanku.

Przypomniawszy sobie, kiedy ostatnim razem widział Jenny nagą - było to w biurze, tej nocy, kiedy natknął się na nią z Chiltonem... Wspomnienie bolało jeszcze, jednocześnie niespodziewanie go podniecając. Zazdrość - pomyślał - jest wielkim afrodyzjakiem...

Jenny siedziała na zamkniętej klapie sedesu, wyciągnawszy nogi przed siebie, by mógł je zdezynfekować. Siedziała pochyłona do przodu. Z prowokacyjnie sterzącymi piersiami. A już niemal zapomniał jak piękne miała piersi... Klęcząc przed nią popatrzył jej poważnie w oczy. - Tęskniłem za tobą, Jen. Tęskniłem za tobą całą...

Uśmiechnęła się. - Ja także za tobą tęskniłam...

- A ten typ - Tony Chilton - masz zamiar się z nim dalej spotykać?

- Nie rozumiem.

- Owszem, rozumiesz...

Udawiała, że nie wie, o czym mówi. - Nie mogę przestać się do niego odzywać, tylko dlatego, że znów jesteśmy razem. Jest moim znajomym.

- Kochankiem, chciałaś powiedzieć.

- Posłuchaj, kręciłam z nim, bo mnie nagle puściłeś kantem. Zerwałeś ze mną, bez słowa wyjaśnienia. Cierpiałam, byłam samotna. Nic nie miałam obwiniać mnie o Tony'ego.

- Przepraszam... - wymamrotał.

- Dlaczego to tak zakończyłeś, David? Czemu nie chcesz mi podać powodu?

Pokręcił głową. - To zbyt głupie teraz. Kiedyś ci powiem. Najważniejsze, że znowu jesteśmy razem, to najważniejsze. Prawda?

Dotknęła ręką jego twarzy. - Tak, prawda.
- Kochajmy się teraz, tutaj, na podłodze - powiedział nagle.
Oczy jej urosły i roześmiała się. - Nie możemy, David, mamy tyle do zrobienia! A poza tym, nie jesteś w stanie się kochać.
Położył rękę na jej udzie. - Proszę, Jenny. Bardzo cię proszę. To dla mnie ważne.
Popatrzyła na niego z niemym pytaniem w oczach i nagle rysy jej zmiękły. Zsunęła się na kolana przed nim, zarzucając mu ręce na szyję. - Dobrze - powiedziała. - Ale będziemy musieli się pospieszyć...
Pocałował ją i powiedział: - Dla odmiany, spróbuję być szybki.
Znowu ją pocałował, przesuwał ręce po jej gładkiej skórze. Zaczepił kciukami ojej rajstopy i ściągnął je z niej...

Jenny, ubrana w zapasowy żakiet, jaki zawsze trzymała w biurze, wisiała przy telefonie, rozmawiając z agencją prasową w Cambridge. Podawała im fachowo skonstruowaną opowieść o tym, że policja podjęła energiczne kroki, zmierzające do opanowania sytuacji zaistniałej po ucieczce dzikich zwierząt z zoo Penwarda. Nie używając ani razu słowa „dinozaur”, przekazała im jednak wiadomość o potworach potajemnie i po kryjomu hodowanych w nielegalnym laboratorium genetycznym.

Pascal prawie jej nie słuchał. Zdał sobie sprawę, że nie jadł od 24 godzin i że jest niesamowicie zmęczony.

- I co, kupują? - zapytał, kiedy się rozłączyła.
- Tak. Powiedziałam, że najpóźniej o 7.00 prześlemy całą historię. - Spojrzała na zegarek. - Nie mamy wiele czasu, wiem, ale do tego czasu, każdy dziennikarz w kraju będzie się pchał do Warchester. Będą walili drzwiami i oknami... Zaczynamy stukać.

- Zaczynaj - odpowiedział. - Ja jednak zadzwonię do mamy.
Długo czekał, aż matka podniesie słuchawkę, gdy to zrobiła -
głos miała zaspany.

- Wszystko w porządku? - zapytał niespokojnie. - Dziwnie mówisz.

- David, gdzie byłeś? Wracaj do domu. Potrzebuję cię. Źle się czuję.

- Co się stało?!

- Chyba... chyba zwariowałam. Mam halucynacje. Przed chwilą patrzyłam przez okno mojej sypialni i wydawało mi się, że widzę - nie, nie mogę ci powiedzieć - to zbyt zawstydzające...

- Co widziałas, powiedz - zażądał.

- Nie, nie chcę ci o tym powiedzieć, to takie...

- Widziałas dinozaura? - zapytał.

- Ale skąd wiedziałas?

- Posłuchaj i odpowiedz - to ważne. Czy był podobny do ty-ranozaura?

- Tak, ale...

- Dokąd poszedł?

- Chyba na zachód, bo wlaź do ogrodu Benfordów.

- Chryste, mamo. Potem ci to wytłumaczę. Siedź w domu i pod żadnym pozorem nie wychodź. Nie miałaś halucynacji. Wierz mi - wyłączył się.

- Tarbozaur jest już w mieście; idę powiedzieć Driscollowi.

- Twoja matka go widziała?

- Tak i to na tyłach naszego domu... - skierował się ku drzwiom.

- Poczekaj, idę z tobą - krzyknęła.

Usłyszeli tarbozaura, gdy tylko wyszli na ulicę. Zresztą trudno było nie rozróżnić i nie poznać jego specyficznego ryku, od którego Pascalowi aż włosy stanęły dęba. Rozległ się brzęk szkła.

Jenny wskazała na centrum handlowe, niedaleko. - To stamtąd! Chyba on jest w środku!

Wszystkie alarmy w centrum rozdzwoniły się. Driscoll i Hazelmere już biegli chodnikiem.

- Keith - krzyknął Pascal. - Będziesz miał okazję ujrzyć coś, co nie istnieje!

Driscoll robił wrażenie człowieka, który nie daje sobie rady z życiem. Odwrócił się do Pascala, kiedy z centrum rozległ się wielki huk. - Co to jest? Skąd się wzięło?

- To jeden z tych nie istniejących dinozaurów, o których ci opowiadałem! Chodź i zobacz! krzyknął Pascal, przechodząc przez ulicę. - Jenny, ty zostań - dodał.

Ale była tuż za nim, gdy dotarli do wejścia. Nie było sensu protestować. Zajrzał przez metalowe kraty chroniące drzwi. Zauważył coś wielkiego na końcu pasażu; było jednak za ciemno, by przyjrzeć się dokładnie.

- To tarbozaur - wyjaśnił dwóm policjantom. - Albo jakiś inny, musiał wejść od tyłu...

Driscoll pochylił się i zaczął otwierać zamki w kratkach.

- Mam klucze. Muszę się tam dostać i sam to zobaczyć.

- Nie bądź głupi - wybuchnął Pascal - nawet nie jesteś uzbrojony!

Ale Driscoll go zignorował. - Weź dwie 32-ki z biura inspektora - rozkazał Hazelmere'owi.

Ten zawahał się. - Ale inspektor ma klucze od gabloty, poza tym trzeba mieć oficjalne zezwolenie...

- Nie gadaj tyle! Tylko wykonaj. Włam się do gabloty, a ja biorę pełną odpowiedzialność!

Driscoll już otworzył kłódki i podniósł kratę. Hazelmere, po chwili zastanowienia pobiegł na komendę.

- Coś mi się przypomniało - powiedziała Jenny. - Zaraz wracam.

I zanim odpowiedział - biegła już przez ulicę.

Mając nadzieję, że Jenny pozostanie z dala, Pascal obserwował, jak Driscoll podniósłszy kraty, otwiera szklane drzwi.

Z zewnątrz dochodziły spotęgowane dzwonki alarmowe.

- To coś włączyło także alarmy pożarowe! - wymamrotał Driscoll. Szkło wciąż pękało pod silnymi uderzeniami tego czegoś w środku.

Driscoll wszedł do środka, a Pascal bezwiednie podążył za nim, obiecując sobie, że gdyby ujrzał dinozaura, znajdzie się na ulicy z prędkością światła.

- Tu powinny być kontakty... powiedział Driscoll macając po ścianie. Odnalazł je i natychmiast, sekcja po sekcji - rozbłysły wszystkie światła w nowym centrum handlowym, będącym dumą i radością Izby Handlowej.

- Jezu - zachłysnął się Driscoll.

Tarbozaur znajdował się po przeciwnej stronie pasażu. Dookoła niego wały się szczątki tego, co zniszczył w rajku konsumentów Warchester. Na pokrytej rozbitym szkłem podłodze leżały różne rzeczy. Począwszy od potłuczonych telewizorów, a skończywszy na zabawkach.

Nagle oświetlony dinozaur uniósł głowę i ujrzeli połowę owczarka alzackiego zwisającego mu z pyska, zaś reszta psa smutno wystawała spomiędzy pazurów potwora. Niewątpliwie był to jeden z trzech owczarków pilnujących w nocy centrum, niewątpliwie też tarbozaur urządził sobie w centrum polowanie. I stąd te zniszczenia. Zresztą, podczas gdy stali spoglądając, tarbozaur machnął ogonem - wybijając szyby w następnej witrynie.

- To jest dinozaur! - krzyknął Driscoll.

Pascal chwycił go za ramię. - Cieszę się, że mi uwierzyłeś - pociągnął go. - Uciekamy.

Ale gdy cofali się ku drzwiom, dinozaur ich zauważył i wydając wściekły ryk ruszył za nimi. Wypuścił z pyska pozbawione głowy szczątki psa. Skalę ryku spotęgowała pustka pasażu.

Pascal z Driscollem prześliznęli się przez drzwi zatrzasnąjąc je za sobą. - Krata - krzyknął Pascal. - Na miły Bóg! Opuść ją na dół!

Szarża dinozaura na szczęście została zatrzymana przez zde-
rzenie z fontanną na środku centrum. Opóźnienie było tylko
chwilowe. Siedmiotonowy ciężar szybko poradził sobie z beto-
nowo-gipsowym szkaradztwem. Woda, zakręcana na noc, teraz
sikała na wszystkie strony z uszkodzonych rur.

Spuścili kratę w samą porę, by zastopować dinozaura przy
drzwiach. Pascal i Driscoll pędzili przez ulicę czując odłamki
strzaskanych szklanych drzwi świszczące im koło uszu.

Po drugiej stronie ulicy Pascal obejrzał się. Dinozaur walił
łbem w metalową kratę. Wiadomo było, że kratka już długo nie
wytrzyma... Już zaczynała się wyginać pod siłą uderzenia.

Ktoś minął biegiem Pascala, pędząc ku wejściu. Ze zgrozą uj-
rzał Jenny z aparatem fotograficznym. Pewnie z biurka Watesa.

- Jenny, ty idiotko! - rzucił się na nią. - Wracaj! On wylazi...

Rozdział XXIII

Jenny zatrzymała się niecałe 5 jardów od wejścia i uniosła aparat. Rozjuszony tarbozaur roztrzaskał już część kraty i wsunął głowę w wyrwę.

- Zwariowałaś? - wrzasnął Pascal dopadwszy jej. Zaczął ją odciągać, ale wyrwała mu się. - Jeszcze parę zdjęć - krzyknęła. - Dopóki jest w świetle.

- Jeżeli nie ruszysz swego głupiego tyłka, to zaraz będziesz fotografowała go od środka - chwycił ją ponownie.

Głowa dinozaura wystawała teraz z boku kraty trzeszczącej pod jego ciężarem.

Nagle Driscoll i Hazelmere znaleźli się obok, strzelając do zwierzęcia. Celowali w głowę i pomimo, że śmiesznie wyglądały ich rewolwery w porównaniu z kolosem miotającym się przy kracie, ich strzały musiały odnieść skutek, bowiem tarbozaur się cofnął.

Obaj policjanci wystrzelali całą amunicję. Pascalowi udało się odciągnąć Jenny na drugą stronę ulicy. - Ty głupia dziwko! Więcej tego nie rób!

Ale tylko się uśmiechnęła pokazując aparat. - Zaraz je wywołam w ciemni Henry'ego. Uczynią nas sławnymi.

Chciał jej powiedzieć, że jeżeli ona ma zamiar narażać życie, to on gwizdże na taką sławę, ale jego tok myśli został przerwany jękiem syren nadjeżdżającej, jedynej w całym Warchester, straży pożarnej.

Samochód zatrzymał się przed centrum i załoga rozbiegła się po ulicy. W tym momencie tarbozaur powrócił do dzieła - niszczenia kraty. Strażacy zamarli w pozach nie tyle strachu, co niedowierzania. W innych warunkach Pascal doskonale by się

bawił wyrazami ich twarzy i oczu na widok dinozaura, ale teraz w perspektywie wszyscy mieli dzikie zwierzę przy głównej ulicy Warchester.

- Złączyć węże! Złączyć węże! - ktoś wrzasnął. - To jedyna szansa, żeby go zatrzymać. Ruszajcie się, do cholery! - to Driscoll biegając pomiędzy strażakami, krzyżąc wymachiwał im bronią przed nosem. Pascal doskonale wiedział, o co chodziło Driscollowi i na szczęście część strażaków zrozumiała również... W pośpiechu zaczęli podłączać sprzęt do hydrantów.

I w samą porę. Akurat gdy dwa węże były już gotowe - parę metalowych rygli wystrzeliło ze ściany niczym kule i cała krata wypadła na chodnik. Dinozaur, schylając się, wyszedł na ulicę.

Natychmiast dwa niesłychanie silne strumienie wody uderzyły go z obu stron. Siła była tak wielka, że uderzenie zważyło dinozaura z nóg. Gdy upadł, ziemia aż jęknęła. Usiłując się podnieść, kolos kopał szaleńczo nogami i dziko ryczał.

- Mamy więcej węży? Musimy podłączyć więcej! - krzyknął Driscoll. Na szczęście jednak reszta strażaków oprzytomniała i rzuciła się ku sprzętowi.

Tarbozaurovi wreszcie udało się wstać. Chciał się rzucić do przodu na swych kruchych oprawców, ale jeden z węży wymierzony w głowę oślepił go strumieniem wody. Następne węże również zostały na niego skierowane i wreszcie cztery strumienie wody zmusiły go do wycofania się.

- Pchajcie go do pasażu! - rozkazał Driscoll. - Możemy go tam zatrzymać, blokując wejście z tyłu i z przodu pojazdami.

Krok po kroku protestujące, szamocące się prehistoryczne zwierzę zostało zmuszone do cofnięcia się do centrum handlowego; za nim szli strażacy, kierując wprost na niego strumienie

wody ze wszystkich węży i zwalając stworzenie raz po raz z nóg.

Tarbozaur był zdezorientowany. Silne uderzenia wody w oczy i wrażliwe uszy zbiły go z tropu.

Wreszcie wpadł w panikę.

Rycząc głośno, wielkie monstrum usiłowało uciec przed nastpnikami. Ale zamiast uciekać tam, skąd przyszedł, dinozaur na ślepo rzucił się na kolumnę podpierającą półpiętro nad nim.

Impet, z jakim siedem ton cielska w nią uderzyło - rozwalił kolumnę na części; zaś całe półpiętro zważyło się na ryczącego z bólu dinozaura. I zakryło go zupełnie. Kiedy wielka chmura pyłu opadła - nastąpiła śmiertelna cisza.

Tarbozaur był martwy.

Pani Myra Goodwin obudziła się, usłyszawszy swego dziesięcioletniego synka Filipa w ogródku przed domem. A cóż on robi o tej porze, pomyślała poirytowana. Była 5.50 rano i dopiero świtało. Cholerny chłopak! Był nieznośny - i to dzięki ojcu, który większość czasu spędzał w rozjazdach służbowych, a kiedy już był w domu, to psuł chłopca obrzydliwie.

Filip śmiał się w podnieceniu. Mgliście zastanawiała się, czym można się bawić o 5.50. Usłyszała inny głos - coś pośredniego między beczeniem owcy, a gęganiem gęsi;

Wyskoczyła z łóżka i stanęła w oknie. Ujrzała syna w pidżamie i szlafroku, karmiącego trawą jakieś dziwne zwierzę. Początkowo myślała, że to słoń. Jednak to, co wzięła za trąbę, okazało się być szyją, zakończoną małą nieproporcjonalną głową.

Otworzyła okno i zawołała. - Filip! Co to jest?

Spojrzeli na nią oboje, zaś zwierzę zabczało. - To dinozaur, mamó. Mogę go zatrzymać? Proszę.

Pani Myra Goodwin westchnęła. - Znowu jakiś zwierzak. Nie wiem - powiedziała. - Musisz zapytać ojca.

Mieszkańcy Warchester - ci, którzy jeszcze żyli - obudzili się jakby w innej rzeczywistości, od tej, w której kładli się spać. Samochody policyjne - wolno jadąc ulicami miasta - z megafoonów ogłaszały ostrzeżenia dla ludności, by nie ruszać się z domu. Nad miastem krążyły helikoptery, w większości z wojskowymi znakami. Także samochody opancerzone i lekkie czołgi typu Scorpion pojawiły się na ulicach miasta. Co się dzieje? Wojna? Mieszkańcy byli zdezorientowani.

Lokalna rozgłośnia radiowa nie przekazała zbyt wielu szczegółów, podając jedynie, że pewna liczba dzikich i niebezpiecznych zwierząt uciekła z zoo Penwarda i powtarzając policyjne ostrzeżenie by nie opuszczać domów do odwołania. To wielu ludziom nie wyjaśniało sytuacji. Dla wielu - było zagadką. Nawet, jeżeli parę dzikich kotów uciekło z zoo, to czy ta szeroko zakrojona operacja wojskowa nie była przesadą?

Dopiero w późniejszych wiadomościach w „Dzień dobry, Brytania” padło po raz pierwszy słowo dinozaur...

Krok po kroku mieszkańcy Warchester informowani byli o fakcie istnienia w okolicy prehistorycznych potworów na wolności. Brzmiało to nieprawdopodobnie, gdy informowano o tym, jak się Penwardowi udało stworzyć te stworzenia dzięki osiągnięciom inżynierii genetycznej. Przez cały dzień przed mikrofonem radia i TV trwała parada różnych ekspertów dyskutujących i wyjaśniających jakim sposobem udało się sir Penwardowi coś takiego osiągnąć. Wreszcie, zaczęło to wyglądać coraz mniej nieprawdopodobnie, za to stawało się coraz bardziej przerażające.

Wiele osób z tej okolicy nie potrzebowało ekspertów do potwierdzenia faktu istnienia dinozaurów. Osoby te bowiem na własne oczy miały okazję się o tym przekonać. Jak Sylwia Pitt, żona zmarłego Stanleya, która spędziła parę straszliwych godzin w piwnicy na wina - po ujrzeniu przez okno, jak dinozaur rozdarł na strzępy dwóch policjantów. Ten sam dinozaur nieco wcześniej zabił jej męża.

Gdy zobaczyła, że obaj policjanci wysiadają z samochodu, usiłowała ich ostrzec (wcześniej bowiem zauważyła dinozaura za węglem domu). Jednakże nie na wiele się to zdało - szli wprost ku drzwiom frontowym. Następnym, co zobaczyła, było rzucenie się dinozaura na policjantów. Jeden z nich - niemal przegryziony na pół - zginął natychmiast, drugi usiłował uciec. Zanim jednak dopadł samochodu - wpadł w szpony dinozaura. Dla Sylwii Pitt, która odwróciła szybko głowę, by nie widzieć okrutnego widoku, śmiertelny krzyk policjanta zdawał się trwać bez końca.

Dilophozaur z dziwnie ozdobioną głową został zauważony jakieś pół godziny później przez mleczarza. Dinozaur spokojnie szedł ulicą ekskluzywnej dzielnicy najdroższych rezydencji Warchester... Ujrawszy go, mleczarz wyskoczył ze swojej jadącej wolno furgonetki i popędził do drzwi najbliższego domu. Tak długo bębnił, aż zostały otworzone. W progu stanął zirytowany starszy człowiek. Mleczarz po prostu wskazał dinozaura - mijającego akurat fronton domu - i wepchnął się do mieszkania. Starszy człowiek rzucił okiem na dziwne zwierzę i pospiesznie zatrzaskał drzwi. Próbowali potem dzwonić na policję, ale linia była stale zajęta. Wiele osób próbowało dodzwonić się w tym czasie na policję.

Jednym z nich był farmer Stan Lewis, który, ku swojemu ogromnemu zdziwieniu, właśnie zauważył ogromnego gada długości jakichś 20 stóp z długą kolczastą płetwą biegnącą wzdłuż grzbietu. Stwór ten uganiał się za jego mlecznymi krowami po jednym z pastwisk. Po wielokrotnych usiłowaniach

dodzwonienia się na policję, farmer wziął karabin i poszedł sam rozprawić się z dziwacznym intruzem, mimo rad żony, by tego nie robił.

Więcej go nie widziano.

Następnym podenerwowanym był sprzedawca - Vincent Haye. Jadąc do Warchester natknął się na trzy następujące po sobie niesamowite widoki. Najpierw leżące na drodze szczątki wielkiej jaszczurki, następnie na skrwawione strzępy człowieka, aż w końcu, mijając unieruchomioną wielką ciężarówkę, ujrzał dużą, czarną panterę rozłożoną na masce pojazdu. Obrzuciła go przelotnym spojrzeniem, gdy przejeżdżał, po czym wróciła wzrokiem ku przerażonej, skurczonej w szoferce dziewczynie. Sprzedawca ani myślał się zatrzymywać. Docisnął gaz i dojechał pełną prędkością do budki telefonicznej parę mil dalej.

Człowiekiem, któremu udało się dodzwonić, był jakiś przypadkowy ranny ptaszek za kierownicą. Zameldował, że jadąc ujrzał całe stado lwów w polu... Zresztą, jak na ironię to nie dinozaur, a dzikie koty stanowiły większy problem dla policji i wojska. Przede wszystkim było ich ponad 60 - lwów, tygrysów, panter, lampartów, jaguarów i pum. Wydostawszy się z zoo, przestraszone przez potężne gady, opuściły posiadłość i rozproszyły się po okolicy. Paru członków z naprędce skleconych oddziałów niedoświadczonych myśliwych - padło ofiarą ataków dzikich kotów, zanim zapadł zmierzch.

Myśliwi wytropili pierwszego dinozaura o 10.20 rano. Został osaczony na placu zabaw szkoły podstawowej przez jednostkę wojska. Był to dilophozaur. Po serii strzałów karabinowych, które jednak nie wyrzuciły mu większej krzywdy, został dopiero zabity z działa Scorpiona, który nadjechał do pomocy.

Drugi dinozaur został zabity godzinę później. Załoga wojskowego helikoptera Ryś - zauważyła w polu dinozaura jedzącego

krowę. To był dinozaur, na którego poszedł polować Stan Lewis - leżący teraz na sąsiednim polu z paroma swoimi krowami...
Martwy.

Ten dinozaur - noszący naukową nazwę altispinax - poruszał się na czterech łapach w odróżnieniu od pozostałych dinozaurów wyhodowanych przez Penwarda. Ojczyzną jego była prehistoryczna Anglia wczesnego okresu kredowego.

Ryś zniżył lot i padły strzały z broni pokładowej - 20 mm działa AMP 621. Altispinax rzucił się do ucieczki, ale został parę razy trafiony, z czego raz w głowę. Z roztrzaskaną czaszką, zrobił jeszcze parę kroków i zarył nosem w ziemię, kopiając konwulsyjnie nogami i rzucając masywnym 4-tonowym cielskiem...

Najtrudniej było zabić plezjozaura. Barka, z 12 osobami, jakie przeżyły przyjęcie ś.p. Dickiego Redforda, została odkryta dopiero po 9.00 rano.

Żołnierze, wiedzący już, jakiego rodzaju jest to zwierzę - użyli do ataku granatów ręcznych. Woda wokół barki została zarzucona granatami, ale oprócz fontanny wody, skotłowanego błota i paru martwych ryb na powierzchni nic więcej nie było, plezjozaur zniknął. Stało się jasne, że gad oddalił się z tej części rzeki. Pozostało znaleźć odpowiedź na pytanie - gdzie się udał: w dół czy w górę?...

Wysłano pilną prośbę do marynarki wojennej o udostępnienie helikoptera Wesland Sea Cup - do zwalczania łodzi podwodnych. Równocześnie żołnierze w gumowych pontonach wyposażonych w silniki, popłynęli w dwóch kierunkach, rzucając co jakiś czas granaty w wodę.

Rozwiązanie zagadki związanej z miejscem pobytu gada nadeszło wraz z telefonem pewnej zrozpaczonej kobiety. Telefon odebrano na komendzie policji - zamienionej w centrum dowodzenia operacją. Kobieta zgłosiła zaginięcie męża, zapalonego

wędkarza. Nie wrócił z połowu, na który udał się o świcie. Miejscem jego regularnych połowów był odcinek rzeki niedaleko mostu, niemal w centrum miasta.

Żołnierze na pontonach pospieszyli do wskazanego miejsca. Znowu do wody poleciały granaty. Mieszkańcy Warchester zaskoczeni już tego ranka paroma niespodziankami - teraz usłyszeli złowieszczy huk granatów. W wielu domach popękały szyby okienne.

Kiedy 20 granatów rzuconych opodal mostu eksplodowało - zdawało się, że i tutaj plezjozaura nie ma. Żołnierze odetchnęli z ulgą. I właśnie w tym momencie obok jednego z pontonów z wody wystrzeliła wielka głowa na końcu długiej szyi... Zaskoczeni 4 żołnierze nie zareagowali dostatecznie szybko. Gapili się w niemym zdumieniu na zwierzę, gdy głowa ruszyła ku nim i uderzyła dokładnie w sam środek kruchego pontonu. Jeden z żołnierzy został zabity uderzeniem, drugi został wciągnięty pod wodę przez gada, dwóch pozostałych zostało szybko wyciągniętych z wody na nadpływające inne pontony. Zaraz też rzucono więcej granatów...

Kiedy bestia wynurzyła się znowu - jasne było, że została śmiertelnie ranna. Z pyska plezjozaura buchała krew, rzucał głową w szale bólu. Żołnierze otworzyli do niego ogień ze swoich 7,62 mm karabinów automatycznych. Niepotrzebnie jednak. Plezjozaur był martwy. Kiedy uspokoiły się agonalne drgawki i uniósł się na wodzie bez ruchu, żołnierze ujrzeni, że na brzuchu miał liczne ślady wybuchów granatów.

O 11.13 przed południem jednostki wojska wkroczyły do posiadłości Penwarda i ostrożnie skierowały się ku domowi i zoo. Jako pierwsze jechały lekkie czołgi Scorpion. I właśnie jeden z nich stał się pierwszą ofiarą operacji.

Niecałe ćwierć mili od domu i kompleksu zoo, załoga prowadzącego czołgu ujrzała dinozaura z apetytem pałaszującego krzaki. Miał długość około 25 stóp i przypominał gigantycznego pancernika. Pokryty był kosmatymi płytkami zakończonymi rogowymi wypustkami. Ale najbardziej imponujący był jego ogon. Niezwykle gruby, kończył się wielką kostną maczugą z długimi szpikulcami.

Scorpion zawrócił z drogi i zbliżył się do dinozaura, który natchmiast przypadł do ziemi w postaci obronnej. W tej pozycji zwierzę było nieosiągalne dla jakiegokolwiek ataku.

W czołgu załoga debatowała czy ich 20 mm działko będzie skuteczne wobec grubej łuski, czy strzał zdoła go zabić czy mają próbować. Wyglądało na to, że zwierzę było roślinożerne i mogło wcale nie stanowić zagrożenia. Dowódca czołgu miał właśnie zaproponować by zaczekali do przybycia naukowców z Muzeum Historii Przyrody, gdy dinozaur skoczył do ataku.

Jego kościsty, dziobaty łeb uderzył prosto w bok czołgu, wbijając się w lekki pancierz, następnie zwierzę zaprezentowało swą siłę niszczenia. Machnęło potężnym, zakończonym ostrą koleczastą maczugą ogonem prosto w tył czołgu. Efekt był równy trafieniu z działa 90 mm. Czołg eksplodował.

Zaskoczony, lecz cały i zdrów, dinozaur (skolozaur - z późnego okresu kredowego) odsunął się od płonącego wraku. Chwilę później jego mały mózdzek już zapomniał o zajściu i zwierzę powróciło do jedzenia.

Wstrząśnięte załogi pozostałych Scorpionów podjęły akcję. Trzymając się poza zasięgiem zwierzęcia oddały w jego kierunku salwę z dział i karabinów maszynowych ciężkiego kalibru. Długo trzymał się przy życiu, ale strzelano doń, dopóki nie przestał się ruszać... Kanonada ustała dopiero, gdy ze zwierzęcia nie zostało nic poza stertą zwęglonego mięsa i kości rozrzuconych po ziemi.

Od tego momentu żołnierze nie ryzykowali - strzelano do wszystkiego, co się ruszało...

O 12.45 bitwa o Penward Hall została wygrana. Wszystkie dinozaury były martwe. Do tego czasu wydarzył się jeszcze tylko jeden wypadek. Żołnierz penetrujący jeden z pokoiów na piętrze dworu został zaskoczony przez deinonychusa. W ruch poszedł straszliwy pazur - i żołnierz padł rozszarpany, zanim zastrzelili gada towarzysze.

A potem już było po wszystkim.

A przynajmniej tak się zdawało.

Rozdział xxiv

Jako jedyni ludzie, znający całą historię przed pojawieniem się prehistorycznych zwierząt w Warchester - Jenny i Pascal przez większość dnia wypytywani byli bez końca o szczegóły przez policję, armię, oficjeli rządowych i naukowców. Gdy okazało się, że Pascal wie więcej od Jenny, zezwolono jej na opuszczenie posterunku. Pascal został rzucony na pastwę pytających.

Jedyną przerwą Pascala była wizyta (szybka!) w szpitalu, gdzie znękany lekarz zbadał go, założył mu szwy na ramieniu, oznajmił, że kostka jest zwichnięta, nie zaś złamana i orzekł, że jest w stosunkowo dobrej kondycji. Po tym zawieziono go znowu na posterunek.

Kiedy z upływem dnia docierały wieści o ilości śmiertelnych wypadków - poczucie winy Pascala wzrosło. Nie mógł powstrzymać myśli, że gdyby nie zaplątał się w sekret Penwarda, to wszystko by się nie stało. Próbował się uspokajać myśląc, że i tak prędzej czy później, lady Jane zrobiłaby to samo, z jakiegokolwiek powodu, i zdał sobie sprawę z tego, że to ona wypuściła deinonychusa za pierwszym razem... Ale, znowu, gdyby się nie wmieszał w całą aferę, kto wie, może Penward zdołałby wprowadzić w życie swój makabryczny plan - rozpuszczenia dinozaurów po całym świecie... Jednak męczące poczucie winy pozostało. Nie mógł się pozbyć wrażenia, że to on był iskrą zapalną wydarzeń tego dnia...

Późnym popołudniem został zawieziony wojskowym gazikiem do Penward Hall. Władze miały nadzieję, że ujrawszy ponownie to miejsce, przypomni sobie fakty, o których może

zapomniał, a które mogłyby mieć wielkie znaczenie.

Odczuł grozę gdy gazik wjechał na dziedziniec, a on ujrzał na ziemi rzędy ciał, przykrytych czarnym plastikiem. Najwyraźniej niewielu ludziom Penwarda udało się ujść z życiem. Nie był też pewien, czy ciało lady Jane nie leży przypadkiem pod jednym z plastikowych całunów.

Jakiś starszy rangą oficer i rządowy naukowiec zabrali Pascala do kompleksu laboratoryjnego. - Ważne, by przypomnieli sobie pan dokładnie co mówił sir Penward, ile wyhodował dinozaurów... powiedział oficer.

Pascal, znający na pamięć to pytanie, stawiane mu już wielokrotnie, westchnął. - Jestem pewny, że 10. Pamiętam, że sir Penward mówił o sukcesie w wyhodowaniu 10 dinozaurów.

- No, w takim wypadku - zaliczyliśmy je wszystkie - powiedział naukowiec. - Wojsko znalazło 4 trupy, a z tymi zabitymi brachiozaurami, to jest 10.

- Mam nadzieję, że deinonychusa też zabito? - zapytał Pascal. - Tego ze sterzcącymi pazurami.

- Zabiliśmy wszystkie - odparł oficer.

- To dobrze - Pascal się wzdrygnął. Ten stosunkowo mały, czerwonawy dinozaur przerażał go bardziej, niż wielki tarbozaur... Wciąż miał przed oczyma te straszliwe, niczym kosy, pazury na tylnych nogach stwora.

- Teraz chodzi o jajka w inkubatorze - powiedział naukowiec. - Chcemy być pewni, że żadne nie zostało zabrane.

- Wciąż nie odnaleziono sir Penwarda? - zapytał Pascal.

- Nie. Ani lady Penward. Problem leży w tym, że wiele ciał jest nie do zidentyfikowania. W niektórych przypadkach pozostało parę kości lub pojedyncza kończyna. Dopóki nie przeprowadzimy sekcji wszystkich dinozaurów, nie będziemy wiedzieć ilu ludzi pożarły.

- Czy istnieje możliwość, że sir Penward uciekł?
- Tak. Po sprawdzeniu okazało się, że brakuje dwóch Land Roverów i Bentleya. Mogły być zabrane przez pracowników - jeden Land Rover - porzucony, został znaleziony w Kattering parę godzin temu. Ale sir Penward mógł jeden zabrać. I dlatego chcemy wiedzieć, czy wziął ze sobą jajka...

Pascal zajął przez szybę. W inkubatorze było 6 jajek, mniejszych od tych, które jak pamiętał, Penward mu pokazywał. Pokręcił głową. - Widziałem tylko jeden inkubator - odparł. - Ale chyba nie ten. Pamiętam, że Penward pokazywał mi większe jajka - było ich 4 i on mówił, że są jajkami tyranozaura.

Weszli do następnego laboratorium. Tutaj w inkubatorze były 2 jajka. Były znajome... - To chyba tu ze mną przyszedł wtedy... - odezwał się Pascal. - Ale przedtem były 4 jajka...

Obaj mężczyźni wymienili poważne spojrzenia.

- Czy te jajka żyją? - zapytał Pascal.
- Nie, kiedy nasi ludzie tu weszli, prąd był wyłączony... specjalnie chyba - powiedział naukowiec. - Myślę, że sir Penward nie chciał by dostały się w obce ręce.

- Więc nie żyją... wszystkie dinozaury.. - odezwał się cicho Pascal.

- Tak. Z wyjątkiem brachiozaura - powiedział naukowiec.
- Moi koledzy z Muzeum Historii Przyrody twierdzą, że kiedy dorośnie osiągnie wagę 80 ton. Może być całkiem niezłą atrakcją turystyczną, jeżeli dożyje wieku dojrzałego.
- Teraz musimy stawić czoło faktowi, że wkrótce mogą się wykluć jeszcze dwa potwory... - ponuro dodał oficer- jeżeli brakujące jajka są jeszcze żywe.

Pascal został odwieziony z powrotem i po paru pytaniach przedstawicieli Departamentu Środowiska, został zwolniony do domu. Miał się zameldować znowu rano następnego dnia. Była godzina 19.00 kiedy zaszedł do gazety, Jenny nie zastał, ale była

od niej kartka z prośbą, by zadzwonić do niej do domu, i egzemplarz tego co napisała tego popołudnia dla jednej z ekskluzywniejszych niedzielnych popołudniówek. Kiedy do niej zadzwonił, opowiedziała mu podnieconym głosem, że kopię reportażu przesyłała do agencji prasowej, a oni wynegocjowali 20.000 funtów z „Sunday Times” za prawo do druku. - Zgodziłam się na tę sumę w twoim imieniu. W porządku?

- Oczywiście - odparł znużony. - Cieszę się. Zastanawiał się, czemu świadomość, że nagle jest bogatszy o 10.000 funtów nie robiła na nim wrażenia. Czuł się dziwnie odrętwiały.

- To nie wszystko - dodała. - Agent o nazwisku Lesley Parson zaproponował mi, czy nie napisałabym czegoś szybkiego dla wydawnictwa kieszonkowego. Mówił, że można osiągnąć za to pułap 50.000 funtów. Obiecałam, że zadzwonię wieczorem, po rozmowie z tobą. Ale trzeba by to napisać w ciągu miesiąca - dodała. - i co ty na to?

Usiłował się wciągnąć w rozmowę. Nie miał ochoty jeszcze raz przeżywać i... opisywać swoje przejścia z ostatnich 48 godzin.

- Nie wiem, Jenny - odparł. - Nie jestem pewien, czy mógłbym napisać nawet połowę książki w ciągu miesiąca.

- Ja mogę odwalić pisanie - odpowiedziała z werwą. - Wiesz, jak szybko piszę. Ty zaś możesz mi swoją część podyktować.

- No w takim wypadku - zawahał się. - To chyba w porządku.

- Nie brzmi to entuzjastycznie. Coś nie tak?

Westchnął. - Jestem zmęczony. Chcę na razie zapomnieć o dinozaurach. Już nie mogę Jen. Rozumiesz?

Nastąpiła cisza w słuchawce. Jenny odezwała się wspólnym głosem. - Rozumiem. Przeszedłeś o wiele więcej niż ja.

Słuchaj, przyjedź do mnie na noc. Rodzice się zgodzą... Coś ci ugotuję, i możesz sobie spać w pokoju gościnnym.

Westchnął. - Byłoby wspaniale, ale muszę wdepnąć do matki. Poza tym nie miałbym siły prowadzić samochodu, padam z nóg.

Umówili się na rano, w redakcji, jeszcze przed jego wizytą na policji. Pascal udał się do domu.

Ku swojemu rozdrażnieniu ujrzał tłum reporterów i kamery telewizyjne pod domem matki. Kiedy przedarł się do drzwi i wreszcie znalazł się w mieszkaniu, matka powiedziała mu, że telefon urywa się dosłownie od dziennikarskich próśb o wywiad. Pascal natychmiast wyłączył telefon...

Po dojściu do siebie, po ujrzeniu syna pełnego ran i zadrapań, matka zażądała opowiedzenia całej historii od początku. Jedząc podany mu obiad, streścił jej wydarzenia minionych 48 godzin. Kiedy pół godziny później kładł się spać, nie mógł zasnąć, mimo wielkiego zmęczenia. Cały czas miał przed oczyma sceny z nie tak odległej przeszłości - dozorcę rozszarpanego przez tarbozaura, lokaja bez ręki, nerwowego deinonychusa, syczącego i atakującego szponiastą łapą... dinozaura wpadającego do sali i roztrzaskującego ze straszliwym impetem okno...

Przez to wszystko przebijało się poczucie winy i świadomość, że coś bardzo ważnego wymknęło mu się spod kontroli...

Wreszcie zdecydował się - wstał, zadzwonił do Jenny i oznajmił jej, że skoro nie może spać, to zaraz u niej będzie.

- Jen - powiedział w słuchawkę - bardzo cię potrzebuję.

Wydawało mu się, że tylko jej obecność przywróci spokój jego myślom.

Wbrew protestom matki wyszedł z domu i znowu natknął się na reporterów koczujących przed domem. Przedarł się przez nich z okrzykiem - „Żadnych komentarzy” - gdy go dopadli z

mikrofonami. Cholerni reporterzy - pomyślał wsiadając do samochodu.

Rezydencja Stamperów znajdowała się w ekskluzywnej dzielnicy Flagenglen. Był to ładny piętrowy dom, zbudowany pod koniec XIX wieku. Stał pośród ogromnego ogrodu, będącego radością pani Stamper. Tuż za nim rozciągały się lasy Ashton.

W drodze do rezydencji napotkał parę samochodów policyjnych i patrolę wojskowe. Wprawdzie polowanie już się zakończyło, ale i policja i wojsko były w stanie pogotowia, gdyby okazało się, że jakieś zwierzę jeszcze jest na wolności. Ludność także została ostrzeżona przed opuszczaniem mieszkań. Pascal został zatrzymany przez jeden z patroli i zwrócono mu bardzo grzecznie uwagę, że to niebezpiecznie poruszać się po drogach. Ale błysnął legitymacją prasową i oznajmił, że jedzie w sprawach zawodowych.

Zaparkował i wysiadł. Oczekiwał, że drzwi otworzą się zanim do nich dojdzie. Podejrzliwy pan Stamper zawsze reagował na głos samochodu. Ale nic takiego nie nastąpiło.

Pascal zadzwonił do drzwi i rozpamiętywał kiedy był tu po raz ostatni; parę miesięcy temu, gdy zerwał z Jenny. Niewesołe to były wspomnienia i dziękował Bogu, że się zmieniło.

Zadzwonił jeszcze raz. Nic. Żadnych głosów, czy kroków, tylko gdzieś w głębi radio. Może wszyscy byli w starej, dużej kuchni na tyłach domu. Ale i tak usłyszeliby dzwonek.

Zadzwonił po raz trzeci, długo wciskając guziczek. Wciąż nic. W tym momencie poczuł ukłucie strachu. Zdecydował się na tylne drzwi od domu.

Pośpieszył ku tyłowi budynku, modląc się po drodze, by wszystko było w porządku i by okazało się, że jego niepokój był płonny.

Niemal wybuchnął płaczem gdy ujrzał drzwi od kuchni... Zostały z nich same drzazgi wepchnięte jakąś siłą do środka.

- Jenny! - krzyknął strasznym głosem wpadając do pomieszczenia. Jenny nie było - za to jej matka leżała na podłodze w kałuży krwi. Jej szyja, klatka piersiowa i brzuch były straszliwie poranione. Była jedną wielką raną.

Pascal oparł się o krzesło by nie upaść, poślizgnąwszy się na zakrwawionej podłodze. Podniósł krzesło i osłaniając się nim wszedł do korytarza. Przekonany był, że natknie się na lwa lub tygrysa. Pewnie któreś z tych cholernych zwierząt wymknęło się z pułapki.

Ale nie pojawił się żaden dziki kot... Pascal szedł wzdłuż korytarza, zaglądnąwszy do drzwi pokojów. Nigdzie nie było Jenny...

W drzwiach jednej z łazienek znalazł Janet, młodszą siostrę Jenny. Na podłodze obok leżał nasiąknięty krwią ręcznik, wanna była pełna wody. Pewnie się kąpała gdy usłyszała...

Podniósł ręcznik i przykrył nim ciało.

U podnóża schodów natknął się na pana Stampera. Głowę miał niemal zupełnie oddzieloną od ciała...

Oczekując najgorszego, Pascal popędził na górę. Ale ani Jenny, ani żadnego drapieżnika nie znalazł.

Schodząc na dół, starając się nie patrzeć na ciało pana Stampera, Pascal nagle zdał sobie sprawę, że cały dom wypełniony jest znajomym odorem... śmierdzącym, nieprzyjemnym zapachem... zapachem dinozaura...

Ale jakim cudem? Przecież wszystkie zostały zabite, z wyjątkiem małego brontozaura. Nawet, gdyby te z jajek się wykluły, byłyby zbyt małe by spowodować takie spustoszenie. Więc co to było?...

Wrócił do kuchni i popatrzył przez roztrzaskane drzwi. W ciemności rozpościerał się perfekcyjnie ostrzyżony trawnik, dalej zobaczył kontury szklarni i nic więcej. Krzyknął imię Jenny, mając nadzieję, że odezwie się skądś, ale odpowiedzi nie było.

Zdecydował, że zanim wybierze się szukać Jenny, najpierw zadzwoni po pomoc. Podszedł do telefonu wiszącego na ścianie obok lodówki. Ale gdy zaczął kręcić numer, usłyszał, że od strony ogrodu ktoś biegnie ku domowi.

W nadziei, że to Jenny rzucił słuchawkę i dopadł drzwi.

Jednak to nie Jenny biegła przez trawnik do domu. To, co wgramoliło się poprzez roztrzaskane wejście do kuchni miało 5 stóp wzrostu, skórę koloru zaschniętej krwi, pokrytą łuską. A ze strasznych tylnych nóg unosiły się ku górze zakrwawione ostrza szponów...

Deinonychus...

Ale jakim cudem? Oficer mówił, że został zabity...

Ze straszliwym skrzykiem dinozaur rzucił się na Pascala, unosząc nogę do śmiertelnego ciosu i wyciągając łapy by go przytrzymać podczas ataku...

Ale, podobnie jak Pascal, deinonychus pośliznął się na zalanej krwią podłodze i przejechawszy po niej zderzył się z lodówką. Pascal schylił się, unikając machających w powietrzu łap potwora usiłującego wstać i dopaść drzwi. Biegąc ku tyłowi ogrodu, nagle przypomniał sobie słowa Penwarda: „Na dzień dzisiejszy wyhodowaliśmy 10 dinozaurów. 11, jeśli doliczyć plezjozaura...”

Jedenaście potworów, a nie jak powiedział władzom 10. To go cały czas dręczyło. To znaczy, że cały czas były 2 potwory o zakrzywionych szponach...

Usłyszał podobny do papuziego skrzek za sobą. Zerknął przez ramię i ujrzał deinonychusa przeskakującego przez drzwi. Rozejrzał się szaleńczo za jakąś bronią. Dojrzał widły leżące pośród innych narzędzi. Porwał je i stanął oczekując natarcia...

W samą porę, gad bowiem gotował się do skoku przez drzwi.

Teraz parę zdarzeń nastąpiło jednocześnie. Pascal poczuł gwałtowne szarpnięcie obu ramion i lodowaty chłód od szyi do

żołądka. Równocześnie poczuł, że leci z ogromną siłą ku tyłowi. Rozległ się brzęk pękającego szkła, straszliwy ryk dinozaura i poczuł eksplozję bólu w kręgosłupie upadając ciężko na coś twardego.

Parę minut leżał oszołomiony. Kiedy mógł wreszcie usiąść zobaczył, że dinozaur zdycha.

Ostrza widel utknęły zwierzęciu głęboko w klatce piersiowej. Leżał teraz na boku słabo podrygując i świszcząc resztką oddechu.

Pascal pozbierał się na nogi. Spojrzał po sobie i zobaczył, że także został zraniony. Wielka dziura z prawej strony klatki piersiowej odsłaniała żebra i obficie ociekała krwią...

Z trudem walcząc z omdleniem, przestąpił konającego gada i wyszedł ze szklarni. Musiał znaleźć Jenny.

Ignorując potworny ból w kostce, pokuśtykał ku zaroślom na skraj lasu. Zauważył coś leżącego pośród liści. Przeszedł z trudem przez niski murek, obejmując się rękami, jakby chciał powstrzymać ciało przed rozpadnięciem się na części. Pokuśtykał ku temu czemuś pośród liści.

Krzyknął ze zgrozy. To była ręka Jenny.

Kawałek dalej odnalazł ją - przesiąknięty krwią strzęp człowieka. Upadł na kolana i rozplakał się. Był pewny, że nie żyje, nawet w ciemności jej rany były okropne. Ale nagle usłyszał, że cichutko zajęczała.

Żyła!

Nadludzkim wysiłkiem podniósł ją z ziemi, przeniósł przez murek i doniósł do połowy drogi do domu. Tam upadł. Nie miał już sił. I wiedział, że sobie nie poradzi. Umrą tu oboje, zanim ktokolwiek ich znajdzie.

Skulił się i przytulony do Jenny płakał. Nie słyszał, że ktoś podszedł do nich. Ale usłyszał pełne zgrozy - O, Jezu!

Podniósł głowę. Nad nimi stał wystraszony człowiek około 30-ki. To był jeden z reporterów sprzed domu matki. Musiał za nim jechać w nadziei na wywiad...

Pascal uśmiechnął się. - Cholerni reporterzy - wymamrotał. I
zemdlął.

Rozdział xxv

Wiejski dom na końcu trzymilowej alei. Aleja była zaniedbana, dziurawa, zaś żywopłot po bokach tak się rozrósł, że w wielu miejscach tworzył coś w rodzaju tunelu. Wydawać by się mogło, że nie da się tamtędy przejechać.

Bentley był zaparkowany przy domu. Penward przykrył go gałęziami i liśćmi. Dom był opuszczony - nikt od lat w nim nie mieszkał. I od lat do nikogo nie należał, ani nie był w spisie... To był idealny układ. Teraz Penward był zadowolony, że od dnia kupna w ogóle w niego nie inwestował.

Zorganizował w środku wszystko jak należy - rozpalił duży ogień, mimo swej słabości, teraz należało poczekać aż małe pomieszczenie się ogrzeje. Był pewien, że jajka żyły. W Bentleyu całą drogę miał włączone ogrzewanie. Teraz to już nie potrwa długo, był pewien. Bał się tylko, że umrze, zanim to nastąpi.

Upadł na zdezelowany fotel i patrzył na jajka ułożone obok kominka... Do czasu gdy pierwsza skorupa zaczęła pękać, sir Penward już nie żył.

Lady Jane obudziła się kompletnie zszokowana. Głowa jej pulsowała, w gardle czuła przeraźliwą suchość, było jej niedobrze i nie mogła się ruszyć.

Odkryła bardzo szybko, że unieruchomiona była mocnymi więzami. Wokół nóg miała łańcuch - zaczepiony kłódką o rurę w ścianie. Wokół szyi - sznur przymocowany do czegoś za nią. Leżała na plecach, na podłodze. Gipsowy sufit był niski i popękany. Usiłowała zorientować się gdzie jest, próbowała usiąść.

Ujrawszy Penwarda w fotelu, krzyknęła jego imię, ale pozostał bez ruchu. Wokół niego była kałuża krwi... Wykrwawił się na śmierć.

Coś się poruszyło, jakieś zwierzę, szczur? Skrzywiła się usiłując się odwrócić. Podłoga zasłana była gazetami - doskonała kryjówka dla szczurów.

Nie mogła usiąść. Sznur na szyi skutecznie to uniemożliwił.

Znowu szelest gazety z innej strony. Gdzieś za nią.

Rozpaczliwie próbowała dojrzeć co to i zauważyła, że to nie szczury lecz młody tyranozaur rex.

Był jeszcze mały, ważył jakieś 7 funtów, ale natura już przygotowała go do życia - dając potężną szczękę i mocne zęby.

W ten sposób był już pełnosprawnym mechanizmem do zabijania... i zjadania...

Ugryzł lady Jane w udo, odskakując przy tym z kawałkiem mięsa w zębach. Brat jego, zachęcony sukcesem zrobił to samo...

Krzyki lady Jane rozlegały się długo i rozpaczliwie po opuszczonej farmie. Trwały niemalże 12 godzin... Ale nikt ich nie słyszał.

Cały tydzień trzymali Pascala w szpitalu. Kazali mu jeszcze leżeć w domu przez dwa tygodnie, ale on od razu pojechał do Cambridge zobaczyć Jenny. Leżała tam na specjalistycznym oddziale chirurgii.

Wciąż była na oddziale intensywnej opieki, ale pozwolono mu ją odwiedzić. Usilnie się opanowywał, by nie zauważyła, że doznał szoku ujrawszy ją, całą w rurkach i przewodach: ramiona, nos, klatka piersiowa - wszędzie same rurki i przewody. Także spod kołdry wystawał przewód połączony z butelką na podłodze...

Zmusił się do uśmiechu, podchodząc do jej łóżka. - Cześć! - powiedział wesoło. - Nie musisz wstawać na mój widok, leż, leż...

Na jej opuchniętej, bladej twarzy pojawił się słaby uśmiech.

Delikatnie pocałował ją w usta. Miała dziwny oddech. Chwytał ją za lewą rękę; prawa cała była w białym kokonie...

- Nie wyglądasz dobrze - szepnęła. - Czy powinieneś już wstać?

- Ja? Czuję się świetnie! A ty? Doskonale wyglądasz! Wyobrażałem sobie, że będziesz cienko zipać, a tymczasem widzę symulantkę...

- Bzdury. Wiem jak wyglądam.

- Wyglądasz świetnie.

- Będę miała blizny... - wskazała oczami na piersi i brzuch.

- Nonsens - odparł stanowczo. - Pozszywają cię i zrobią lepiej niż oryginał.

Pokręciła głową - Nie wiem jak będę wyglądać... i ta ręka... - głos jej zamarł i zamknęła oczy.

- Twoja ręka będzie okay. Będziesz jeszcze grała w tenisa, zobaczysz... Rzeczywistość była inna. Chirurg powiedział Pascalowi, że dopiero za tydzień będzie wiadomo, czy ośmiogodzinna operacja przyszycia ręki udała się... Jeżeli nie będzie prawidłowej cyrkulacji krwi, trzeba będzie amputować... Zresztą nawet gdyby ręka została i tak nigdy nie będzie w pełni sprawna...

- Będę ohydna. Rzucisz mnie.

- Rzucę? Nie rozśmieszaj mnie, bo mi szwy popękają, wszystkie 113!

W oczach miała łzy. - Nie zostawiaj mnie, David. Jesteś wszystkim co mam. Mama, tato, Janet, wszyscy...

- Posłuchaj, nie opuszczę cię - dotknął jej policzka. - Więc daj spokój. Tylko się denerwujesz niepotrzebnie. Pomyśl o czymś innym. O tym na co wydasz swoją połowę honorarium za nasz bestseller.

- Bestseller? - zapytała bezmyślnie. - Ale ta książka... ty ją napiszesz?

- Już zacząłem. Nie podoba mi się, ale myślę, że należy z tego wyciągnąć jakieś profity... Jeszcze nie mam zakończenia. Wciąż nie znaleźli lady Jane i sir Penwarda.

Oczy Jenny powiększyły się ze strachu. - David, on zabrał te jajka... Myślisz, że zrobi jeszcze więcej potworów? Chyba bym nie zniosła gdyby było ich więcej...

- Spokojnie... - dotknął jej ręki. - Policja myśli, że Penward opuścił kraj, korzystając z pomocy potężnych przyjaciół. Jest pewnie w Ameryce Południowej... Nie martw się, my nie zobaczymy więcej żadnego dinozaura...

Kiedy opuszczał szpital, żałował, że nie czuje tej pewności, jaką demonstrował przy łóżku Jenny. Miał okropne przeczucie, że koszmar się nie skończył i że w niedługim czasie... świat usłyszy nieco więcej o dinozaurach Penwarda...